

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.



**Małpy
Kaczyńskiego**
str. 3

**Prowadzimy
Obajtka na krzyż**
str. 20



**PODWÓJNY
NUMER**



NR 16-17 (1700-1701) 21 kwietnia - 4 maja 2023
CENA 13,32 zł w tym 8% VAT

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

ilustr. KAZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

You  Tygodnik NIE

eprasa.pl b8528a55a5

TYDZIEŃ Z GŁOWY

▶ Jak by na to nie patrzeć, Polska nałożyła sankcje na Ukrainę. Ojji, Du-d-eeeela, straciła przyjaciela!

▶ Z ziemi włoskiej do polskiej przyjechał prezydent Włoch – Sergio Mattarella. Towarzyszyła mu córka. Duda odznaczył Mattarellę najwyższym polskim odznaczeniem, Orderem Orła Białego... Rzeczoną córką Laura dostała nagrodę pocieszenia – Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

▶ W Białej Podlaskiej odnotowano pierwsze jaja wyborcze. Dziecko poczęte kury poleciało w stronę Tuska i Trzaskowskiego, którzy przyjechali spotkać się z sympatykami. Oberwał ochroniarz. Jajo – RIP.

▶ Jaja jajami, ale Sejm RP zdecydował o powołaniu państwowej komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski w latach 2007–2022. Dżban Kowalski wygadał się, że chodzi o upupienie Tuska. Komisja ma działać na warunkach, które według komentatorów łamią artykuły Konstytucji RP: art. 2, art. 10, art. 42, art. 105, art. 175, art. 198. Jeśli ostatecznie Dudzie będzie dane przyklepać istnienie komisji, to kolejną pizzę powinien spożywać w pierdłu.

▶ Była minister cyfryzacji w rządach PiS Anna Stężyńska powiedziała o rzeczonej ustawie: „Regularny stalinizm. Nie w Tuska, tylko we wszystkich niewygodnych wymierzona jest ta antykonstytucyjna ustawa. Ciekawe, czy prezydenta będzie dane zawetować”. Też się zastanawiamy, co woli Duda: pizzę czy ukraińskie pierogi pielnieni?

▶ Obecnie PiS ma większe szczęście do kobiet, niż miało niegdyś. Specjalny zespół Paprotek Prezesa będzie miał zadanie przyciągnąć do urn kobiety z wolnego wybiegu. „Cyckami” owej reprezentacji stają się była wicepremier Jadwiga Emilewicz i wiceszefowa resortu rozwoju Olga Semeniuk. Jesteśmy szczególnie przekonani o znacznej zawartości stanika tej drugiej...

▶ Uschnięta Paprotka a marszalica Elżbieta Witek może spać spokojnie, to znaczy lepiej od swojego męża. Prokuratura Okręgowa w Legnicy odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie przekroczenia uprawnień przez personel Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Legnicy. Zastanawiamy się: co ci mąż zrobił, Witek, że go tak mordujesz pod kablami?

▶ Tymczasem pierwsza kitka III RP, czyli Jarek Jakimowicz, dostała do prowadzenia programu „W kontrze” kobietę godną swoich gustów i obyczajów. Ze oni tyle musieli myśleć na Woronicza, aż na tę Agnieszkę Siewiereniuk-Maciorowską wpadli! Maciorowska oprócz urzędą zasłynęła dotąd komentarzami dotyczącymi kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej.

▶ Niejaki Macierewicz złożył zawiadomienia do prokuratora generalnego i Prokuratury Krajowej. Opierają się one na zapisach: art. 134 kk, który sankcjonuje zamach na życie prezydenta, oraz art. 128 kk, mówiącego o usunięciu przemocą konstytucyjnego organu RP. W zawiadomieniu stoi również, że czynów dokonano „poprzez zabójstwo, w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie oraz z użyciem materiałów wybuchowych”.

▶ Sasin poczuł się konkwestadorem i poleciał do Chile. „Mamy argumenty i możliwość pokazania, że jesteśmy na rynku chilijskim ważnym graczem w wymiarze gospodarczym i społecznym” – powiedział. Pokazuj, Jacek!

Z URNY URBANA

Ten felieton Urban napisał w czerwcu 1999 r., 10 lat po odejściu nieboszczki Polski Ludowej. Minęły kolejne dwie z górą dekady, a proro-dzinna polityka wciąż nie schodzi ze sztandarów władzy, a jednocześnie Polaków nadal ubywa. Wygląda na to, że Urban miał rację. Świętą rację.

Czekając na Heroda

Państwo to zbyt poważna instytucja, aby jego urzędników i przepisy wciągać do swojego łóżka, angażować do tak intymnej rzeczy jak romanse. Państwo jest od robienia wojen, a nie miłości. Czyż chcąc – weźmy – zrobić kupe, wzywam wojewodę do asysty?

Kiedy nasze państwo było ludowe, zmuszało mnie do brania ślubów i rozwodów, ilekroć zakochałem się z wzajemnością. Wielkość mieszkanka, które dostawało się lub kupowało, była proporcjonalna do liczebności urzędowo powstałej rodziny. W Polsce Ludowej, podobnie jak na cmentarzu, metry przypadały na osobę. Miłość, do której państwo nie wtykałoby swojego czerwonego nosa, była więc możliwa, ale nazbyt ciasna.

W Polsce Antyludowej nacjonaliści, dewoci i inni pravicowcy, którzy tu rządzą, wnoszą nad głowami dwa programowe cele: antykomunizm i politykę prorodziną. Gryzą się one ze sobą. Skoro ślubna rodzina jest dla nich *über alles*, powinni komunę kochać, dążyć do przywrócenia socjalizmu, śpiewać „Międzynarodówkę”, modlić się do Bieruta. Półki socjalizm trzymał się mocno, stał na straży zakłamania, czyli moralności katolickiej. Z czasem dopiero, słabnąc, robił ukłony na rzecz wolności prywatnego życia.

Do 1956 roku za skrobanki szło się siedzieć, tak jak teraz. Ulubionym tematem zebrzań partyjnych było piętnowanie zdrań małżeńskich członków POP i scalanie zwichrowanych stadeł pod politycznym przymusem. Do końca lat 70. w hotelach nie wolno było dawać pokoi gościom różnej płci, którzy ze sobą nie mieli ślubu. Rygory hotelowe i trudności mieszkaniowe przepędzały miłość w krzaki, triumfowały więc wstrzemięźliwość i onanizm, gdyż w Polsce przeważnie jest zima. Wśród środków antykoncepcyjnych królowała głożulka Z. Jeśli zapobiegała ona zapłodnieniu, to tylko dlate-

go, że z damskiej pochwy toczyła śmierzdzącą pianę, co zupełnie zniechęcało do kopulacji. Socjalistyczne kondomy rozlażyły się przy do- tknięciu. Łazienek było mało, na wsi i w miasteczkach prawie się nie trafiały, co też sprzyjało płodzeniu dzieci, gdyż to wynika z brudu. Cenzura wykluczała pornografię. Wychowania seksualnego nikt nie śmiał prowadzić. Wystarczyło patriotyczne.

Politykę prorodziną komuna prowadziła tak daleko, że ułatwiała hodowlę napłodzonych dzieci sposobami dawno już zapomnianymi. Przedsiębiorstwa gospodarcze, a szczególnie przemysłowe, były tylko dodatkiem czy pretekstem do prowadzenia przyzakładowych żłobków, przedszkoli i poradni zdrowotnych dla działwy. Dla wyrośniętych utrzymywa- no darmowe internaty i domy akademickie. Ubogich a nierozgarniętych żywiła i kształciła Służba Polsce. Wakacyjne kolonie i obozy, wczasy rodzinne, stypendia, stołówki, świetlice oraz Milicja Obywatelska na ulicach czyniły wychowanie dzieci zgoła niemęczącym.

Prorodzinność klóci się nie tylko z antykomunizmem – także z innymi zajobami klerykałów. Potępiają oni konsumpcjonizm, tę podstawę kapitalizmu. Współczesna rodzina jest zaś wyłącznie zespołem wspólnej konsumpcji. Służą do rozdymania ambicji sprawunkowych. Dawno minęły czasy, gdy rodzina stanowiła podstawową komórkę produkcyjną w familijnym gospodarstwie wiejskim, zakładzie rzemieślniczym, sklepie czy karczmie.

Zdaniem nacjonalistów zdrowa budowa kapitalizmu wymaga koncentracji kapitału w rżnienie polskich rękach. Wielodzielność w rodzinach zamożnych powoduje zaś ustawiczne rozpraszanie kapitału poprzez dziedziczenie. Rozmnażanie się w ubogich rodzinach prowadzi do burzenia pokoju społecznego, potrzebnego kapitalizmowi do rozwoju, po-

głębia bowiem nędzę i ją mnoży poprzez dziedziczenie biedy. Sprowadza nieprzydatność, bezrobocie i frustracje młodzieży. Rodzenie licznych dzieci wyklucza pracę kobiet, pogłębiając niedostatek i marnując im życie. Kult więzów rodzinnych zmniejsza mobilność społeczną, a ona to jest warunkiem postępu cywilizacyjnego i uporania się z nadmiernym bezrobociem.

Zwiększenie liczby Polaków jest z różnych przyczyn zbędne, a gospodarczo szkodliwe w dobie zastępowania pracy ludzkiej automatami i komputerami. Zmusza do etatyzmu i w ogóle rozdymania budżetu państwa, np. zwiększania nakładów na zwalczanie bezrobocia, szkolnictwo, lecznictwo, mieszkania, drogi, wszystko. Prorodzinność gryzie się więc nie tylko z antykomunizmem, ale wręcz ze wszystkimi pozostałymi celami i dążeniami, które prawica deklaruje. Takimi jak doganianie Europy, dobrobyt, zmniejszanie podatków i funkcji państwa.

URBAN

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRASA ŚNIADANIOWA

▶ **Papież Franciszek** powiedział, że katolicka katecheza na temat seksualności jest „wciąż w powijakach”. I to niestety nie własnych.

▶ Ojciec **Tadeusz Rydzik** wszedł na rynek prezentów pierwszokomunijnych. Każde dziecko najbardziej marzy o różańcu ze szkła weneckiego.

▶ **Tomasz Lis** został skierowany przez prokuraturę na badania psychiatryczne. Skoro redaktor wszędzie widzi Kaczyńskiego...

▶ Na antenie Telewizji Republika pojawi się program kulinarny promujący **Lasy Państwo-we**. Świetnie, teraz wszyscy zaczną rozpalać ogniska w lasach.

▶ W Warszawie odbyły się **ćwiczenia antyterrorystyczne** policji i FBI. Razem będą bronić granic przed ukraińskim zbożem.

▶ **Pies-robot** będzie walczył z przestępcami w Nowym Jorku. Donald Trump powinien mieć się na baczności.

▶ **Min. Zbigniew Ziobro** chce wprowadzenia sztucznej inteligencji do polskiego systemu sądownictwa. Będzie to iloraz inteligencji zero.

MARTA M.

To jak było z tym zbożem?

Facebook

Przemysław Kowalski: Jak zawsze, wina Tuska.
Andrzej Kowalski: Polska największym spichlerzem Europy. Powinniśmy być dumni.
Maciej Dadej: Komisja Antka wyjaśni w raporcie.
Michał Jagiello: W kwestii zboża (każdy przyzna) rację miał Nikodem Dyżma.
David Pindor: Okazało się, że tańsze od węgla.
Michał Nowak: Technicznie rzecz biorąc, to ludzie zapłacili jak za zboże.
Michał Wróblewski: Z czegoś musi być zrobiony ten chleb od Glapy.
Marcin Kawa: Ludzie, którzy żyją jak zboże, stają się słomą historii.
Martin Bejrooth: Bo my musimy być silni i zdrowi... tylko na skrobi.
Tomasz P. Nowaczyk: Poszło na zbożny cel.
Krzysztof Dz Stand up: Pan mnie pyta o zboże, a ja widzę klientów w sklepach, kupujących chleb,



i oni z rodziną go jedzą, i ta rodzina rośnie, nasza polska wielka rodzina!

Płocka Liga: Kontenerowiec próbował zawrócić w kanale na Mierzei, utknął i się tranzyt zablokował.

Jarosław Soborski: NIK nic nie wie?

Roberto Cecon: Idzie Tusk przez wieś, worek zboża niesie, a ziarenka prosto z worka...

Filip Teknowski: Jedliśmy sól drogową i wędliny z padliny, to zboża technicznego nie zjemy?

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: Jak to było, jak to było? No normalnie: towar sytki, to się posypało.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.



Małpy Kaczyńskiego

Dlaczego zboże ukraińskie jest tańsze od polskiego i co z tego wynika?

Znalazłem! Koniec waszych egzystencjalnych problemów! Już wiem, co robić, aby ludzkość stanęła na nogi. Ująłbym to teraz w jednym zdaniu, ale byście nie uwierzyli, że to takie proste. Nie bierzcie przecież spraw na wiarę, tylko potrzebujecie dowodów.

Przez pierwszą połowę życia staramy się dowiedzieć, jak ten świat działa. Potem wymyślamy, jak powinien działać.

Wina pośredników

Zacznijmy od tego zrozumienia, które zapewne czynicie równoległe ze mną, kiedy zastanawiacie się, dlaczego Ukraińcy chcą zagłodzić polskich rolników, zalewając nasz rynek zbożem, podczas kiedy ludzie w Afryce umierają z głodu z prędkością jednego niedożywionego dziecka na 15 sekund (według raportu UNICEF z 2017 r.).

Logiczne wytłumaczenie jest takie, że porty Morza Czerwonego zostały zablokowane przez Rosjan i ukraińskie zboże nie płynie do Somalii, Etiopii i na Madagaskar. Transportowane jest drogą lądową przez Polskę do Afryki. Miało być w każdym razie transportowane, ale nie jest, bo nieuczciwi i nielogiczni pośrednicy (nieuczciwość to wszak pewna forma braku logiki) zamiast w Afryce, zboże sprzedają w Polsce.

Kupujący to zboże zachowują się już logiczniej. Wolą kupować zboże tańsze niż droższe. Dlaczego zboże na Ukrainie, gdzie rolnictwo jest na niższym poziomie, a kombajny muszą manewrować między lejami po bombach, jest tańsze niż u naszych rolników, którzy mają dotacje unijne, płaskie pola oraz dopłaty do paliwa rolniczego? Ano to logiczne: dlatego, że w Polsce zdrożało paliwo do traktorów oraz gaz do produkcji tych nawozów, które powodują, że zbóż można wyhodować więcej i taniej. Ale mimo wszystko jest nadal drożej niż na Ukrainie. Logicznie rzecz biorąc, należałoby przestać nawozić ziemię. Kosić tego zboża mniej, to może wówczas mielibyśmy go więcej i byłoby ono tańsze niż to z Ukrainy, przez to chleb mógłby znowu kosztować 2 zł, a nie 5 zł.

Nie czynimy tak, bo – co logiczne – żal nam jest rolników. Rolnicy uważają, że powinniśmy kupować droższe zboże, a nie tańsze, no bo jak oni nie sprzedadzą swojego droższego zboża, to powymierają z głodu.

Wolnorynkowi specjaliści zaleciłiby rolnikom, żeby zajęli się czymś innym – co logiczne – oczywiście nie podpowiadając czym. Rolnicy byłiby jeszcze bardziej wkurzeni, my jednak cokolwiek zdziwieni. Nie tak całkiem dawno w tym kraju brakowało żywności. W rolnictwie zatrudnionych było 280 tys. ludzi – przy obecnych ok. 140 tys. – ale nikomu wtedy nie groził głód.

Produkujemy więcej jedzenia, co zapewne – logicznie rzecz biorąc – jest wynikiem mechanizacji i latyfundacji polskiej wsi. Chociaż nie możemy być tego do końca pewni. Przypomnijmy, że wielki głód na Ukrainie w latach 30. XX w., zdaniem historyków, był właśnie wynikiem mechanizacji radzieckiego rolnictwa za pomocą amerykańskich traktorów i komasacji ziemi małorolnych w kołchozy. Zatem mechanizacja i latyfundacja jest lub nie jest przyczyną głodu i jest lub nie jest przyczyną samowystarczalności żywnościowej.

Wina Tuska

Ponieważ prosi rolnicy nie są w stanie poradzić sobie z problemem, w sprawie przybytku – od którego ponoć głowa im boli – włączył się polski rząd. Siłą umysłu chcąc rozwiązać sprawę.

Jarosław Kaczyński w wywiadzie do „Gazety Polskiej”, która ukazała się w minioną środę, rzekł był: „Ukraińskie zboże nie jest dla naszych rolników żadnym zagrożeniem”. Wrogiem ukraińskiego zboża jest Tusk, który w ogóle jest wrogiem Polski. Reprezentuje interesy niemieckie.

Natomiast jeszcze w sobotę – zanim wywiad się ukazał, ale z pewnością po tym, jak został przeprowadzony – Jarosław był w miejscowości Łyse. Tam klarował, że obowiązkiem jego dobrej władzy jest strzec interesów obywateli i import zboża ukraińskiego trzeba przystopować. Obiecuje też rolnikom jakieś dopłaty do zboża.

Ponieważ urzędnicy Unii widzą, że intelektualnie polski rząd sobie z tym wszystkim nie radzi, przypominają, że żaden członek wspólnoty nie może jednostronnie zablokować wwozu ukraiń-

skiego zboża do Europy. „Taka decyzja nie jest zgodna z unijnym prawem” – podkreśla Komisja Europejska. Zarazem stoi na stanowisku, że potrzebne są „systemowe rozwiązania” na najwyższym szczeblu, ponieważ 800 mln mieszkańców Afryki po prostu umrze z głodu przed upływem dwóch miesięcy.

Powiecie, że wszystko to już słyszeliście. Zakrawa to na jakiś nonsens lub jest nim podszyte. Inni lepiej zorientowani zauważają, że Jaruga upraszcza pewne sprawy ponad miarę, infantylizuje, a może nawet sztydzi. Gdyby analizować rzeczywistość dokładniej, ze szczegółami, wszystko dałoby się poskładać i to systemowe rozwiązanie znaleźć. Większość, która w ogóle niczego z tego nie rozumie, uważa, że jednak jest ktoś taki, kto wie lepiej. Że jeśli Kaczyński dziś mówi jedno, a jutro drugie, to po prostu dochodzi stopniowo do właściwych wniosków.

Powyższe stanowiska są prawie błędne – z wyjątkiem tego, w którym wspomniano o nonsense.

Wina chaosu

Musimy wrócić do fundamentu wszystkiego, który podpira obie konkurencyjne teorie powstania wszechświata (kreacjonizm i ewolucja). Fundamentem tym był chaos. Na początku był chaos! Ale nie tylko na początku. Przez 14 mld lat – stałmy na stanowisku ewolucjonizmu – we wszechświecie panowały chaos i przypadek.

Przypadek i chaos rządziły całym kosmosem, aż jakieś 20 tys. lat temu ludzka małpa stała się rolnikiem, a stała się, gdyż musiała myśleć logicznie i racjonalnie, wyciągać wnioski choćby co do tego, że ziarno rzucone w ziemię na wiosnę staje się kłosem na jesieni. Ludzka małpa zaledwie 200 wieków temu uznała, że czasy chaosu i przypadku się skończyły. Teraz wszystko ma się dziać logicznie i konsekwentnie oraz według jej woli. Przecież to jest śmieszne.

Zaczęło nam się zdawać, że można zapanować nad przypadkiem, który nas stworzył, i zaplano-

♪ ZBOŻE, COŚ POLSKĘ PRZEZ TAK DŁUGIE WIEKI... ♪

wać chaos, w którym ów przypadek się płał. To dokładnie widać na przykładzie ukraińskiego zboża. Są tu tylko jakieś pozory logiki i matematycznej konsekwencji unoszące się na bezgranicznym oceanie chaosu, popychane bezmiarem przypadkowych czynników, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a nawet zupełnie wytłumaczyć.

Zatem nie będzie żadnego „systemowego rozwiązania”, podobnie jak nigdy nie było żadnego skutecznego systemowego rozwiązania problemów społecznych. Było aż nadto systemów społecznych obiecujących niebo na ziemi i z żadnego nic nie wyszło.

Natomiast przecież niektóre problemy jakby znikły. Dlaczego? Po prostu z nich wyrosliśmy i zapomnieliśmy o nich. Nie rozwiązaliśmy większości problemów dzieciństwa, jak na przykład tego z młodzieńczym trądzikiem. Zwyczajnie wyrosliśmy. Podobnie będzie ze zbożową klęską urodzaju. Przypadek, chaos i dorosłość rozstrzygną sprawę, choć jak zawsze będą ofiary, a potem ci, którzy przypiszą sobie niezasłużenie sukces.

Ma to bardzo praktyczne znaczenie dla codziennej pragmatyki. Przestań planować i się zamartwiać. To nic nie da. Zdać się na chaos i przypadek. Iść czy nie iść do roboty? – rzuć monetą. Upić się czy pozostać trzeźwym? – rzuć monetą. Kupić, nie kupić? – rzuć monetą. Skoczyć z mostu czy nie skoczyć? – rzuć monetą. Skoro przypadek i chaos poradziły sobie ze stworzeniem wszystkich ludzi i ameb, poradzą sobie też z tym, za kogo masz wyjść za mąż, a za kogo nie. Po prostu rzuć monetą!

ROBERT JARUGA

O zbożu z Ukrainy i polskich rolnikach czytaj także na str. 6–7.

Kolejny numer tygodnika  **ukaze się 5 maja, gdy wstaniemy z kolan po długim weekendzie.**



Mistrzostwa Polski w Photoshopie

Prawda czasu, prawda ekranu, prawda...

Będzie o sprawie tak nieważnej, że nikt jeszcze się nią nie zajmował. Swojego czasu miałem pijacki epizod. Prowadziłem rower po chodniku o trzeciej rano w miejscowości Kanie. Wtedy, kiedy posługiwanie się rowerem w stanie pijaności zrobione zostało przez jakiegoś posta kretyna, wybranego przez innych idiotów, przestępstwem na podobę zabicia matki pchającej wózek z dzieckiem przez przejście dla pieszych na zielonym świetle. Obecnie pijanocykling jest tylko wykroczeniem, za które nie idzie się do więzienia. Złagodzenie nie wynikało z przesłanek rozsądkowych, ale praktycznych. Okazało się, że więzienia były pełne przestępców rowerowych, a policja błyszczała wspaniałymi wynikami w zwalczaniu bandytyzmu.

W związku z zająciami musiałem stawić się na policji w studiu fotograficznym. Tam technik policyjny, z właściwą sobie starannością, umieścił moją głowę na tle białym, w kontekście przymiaru fotograficznego umożliwiającego wyznaczanie wielkości antropometrycznych. Dzięki nim łatwo stwierdzić, jaką mam wysokość płata czołowego, szerokość zuchwy, głębokość oczodołów i wszystkie inne parametry czaszki umiejscawiające mnie gdzieś na skali typów kryminalnych dr. Lombroso. Między przestępcami urodzonymi a obłąkanymi. Moja twarz nie mogła wyrażać żadnych emocji. Oczy miały patrzeć na wprost. Oświetlenie eliminowało cienie i półcienie. Wszystko po to, żeby w razie czego państwo wiedziało, jak wygląda Robert Jaruga zagrażający życiu obywateli oraz fundamentom demokracji. Niestety nie dostałem odbitki na pamiątkę. Miałbym czym się przed wnukami chwalić. Poczutuję to za poważne naruszenie moich dóbr osobistych.

Podobną surową procedurę przechodzi każdy starający się o identyfikujące dokumenty państwowe. Jak ma jego gęba wyglądać w prawie jazdy, wynika z regulacji przynajmniej dwóch ustaw. Jeżeli urzędnik uzna, że sesja paszportowo-fotograficzna nie wypadła, trzeba procedurę powtórzyć. „Fotografowany miał zamknięte oczy” – częsty zarzut wobec Polaków pochodzenia azjatyckiego.

Są zatem mocne podstawy, aby państwowym fotografiom dowierzać. Niekiedy wchodzę na witrę internetową Sejmu RP, żeby się dowiedzieć, kto mną obecnie rządzi.

Ostatnio patrzę i widzę... O! Któż to? Humphrey Bogart?!

Uwielbiałem jego filmy. Zwłaszcza wyciskającą łyżę czarno-białą „Casablancę”. Całe życie marzyłem, aby urodzić się w Nowym Jorku, żeby być jak on – męski, szczupły i palić camele. Marzenie to się niestety nie spełniło, ale kupiłem kapelusz fasonu fedora i okulary przeciwsłoneczne.

Ale chwilęczkę, Bogart przecież nie żyje! Więc co robi w polskim sejmie? Czytam nazwisko nad fotografią i okazuje się, że to nie Humphrey Bogart, tylko Kaleta Piotr z PiS-u. Zaraz, zaraz! Jak to?! Ten budowlaniec o przetłuszczonych włosach, noszący krawaty w kolorze lakieru do paznokci 12-letnich dziewczynek?! No niemożliwe!



Skroluję dalej. O! Cóż to za anielska twarz?! Ta szminka jest trochę za czerwona, ale jakże idealnie stonowana z górą garsonki. Grażyna Torbicka?! Ta sama, która reklamowała Excellence Creme L'Oreal Paris. Nie wiedziałem, że robi teraz karierę w polityce.

Ale, ale! To nie jest Torbicka! To... yhm, Boże, Katarzyna Ueberhan z Lewicy.

Niemożliwe! No przecież ona zawsze występuje w chińskim T-shircie i marynarce zdartej z figury klauna Ronalda siedzącego przed którymś z McDonalldów. No i ma to smutne, rozczewnające spojrzenie boston teriera. Czy to na pewno jest ona?!



Nie jest ze mną dobrze. Trochę mi się poprawia, kiedy myślę: Ała! Bogusław Linda. Trochę mu się włosy przerzedziły, ale nie widziałem go od czasów „Psów”. Człowiek mógł się zmienić. Postępująca łysina oraz wąsy (bardzo dobrze!) robią z niego jeszcze twardszego twardziela, niż go pamiętam.

Ale zaraz – to nie jest Linda. Ten facet w marynarce od Christiana Diora to jest... No nie! No po prostu, kurwa, nie! Marek Dyduch z Lewicy! Przecież towarzysz Dyduch wygląda zupełnie inaczej – przywołuję z pamięci obraz Dyducha, jaki pozostał mi z ostatniego kongresu SLD.



No, ale wiadomo. Z lewicą, jak to z lewicą. Dopiero w PiS-ie są prawdziwi Polacy lepszego sortu.

Od razu rzuca mi się w oczy słowiańskie oblicze w dobrze dobranych okularach, pozbawione jakichkolwiek brodawek, śladów po trądziku, przebarwień i hirsutyzmu świadczącego o zaburzeniach hormonalnych. Któż to taki? Mhy! Nigdy bym się nie domyślił. To posłanka Barbara Bartuś.

Tylko że ja jako kojarzę ją inaczej. Cóż, ingerencja specjalisty od Photoshopa jest wyraźnie widoczna. Ten spiczasty podbródek to już jednak przesada. W zasadzie wszystko to lipa. Zdjęcie ma tyle wspólnego z posłanką Bartuś, że nosi ona te same okulary.



Ślina mi też cieknie na widok 38-letniej PiS-deputowanej Ewy Szymańskiej. Kto wie, kto wie, taka wysportowana, niczym ta pływaczka Otylia Jędrzejczak, która 10 lat temu zabiła brata podczas jazdy samochodem. Zadbana, konkretna. W sumie jestem po rozwodzie.

Ale chwila! Prawdziwa Ewa Szymańska ma lat 70! Ktoś najwyraźniej się pod nią podszywa.



Dalsza kwerenda sejmowej książki twarzy przekonuje mnie, że Iwona Arent, którą znamy, nie jest Iwoną Arent, którą widzimy na matrycy komputera.



Posłanka Anna Cicholska wynajęła do zdjęcia Zdzisławę Sośnicką, kiedy ta nagrywała „Uczymy się żyć bez końca”, co było chyba w 1984 r.



Natomiast zdjęcie Dziuk Barbary to jest rezultat kreatywnej interwencji sztucznej inteligencji, która za podstawę miała kadr z filmu „Przeminęło z wiatrem”, z tą... ten tego... Scarlett O'Hara.



Również męska linia naszego sejmu bardzo się amerykanizuje. Przykładowo taki Marek Gróbarczyk wygląda, co dziwne, nawet gorzej niż w rzeczywistości. W realu można by pomylić Gróbarczyka z Bernardem Madoffem, zanim trafił na 150 lat do więzienia. Wicie, za tę piramidę finansową, w której wydymał Stevena Spielberga (też Żyda) oraz kilkudziesięciu Leonardów Cohenów na 65 miliardów dolarów. Zobaczcie sami!

Natomiast Marek Gróbarczyk patrzy na nas z sejmowego zdjęcia tak jak ten Vito Corleone, primo voto Marlon Brando, cyniczny gangster z „Ojca chrzestnego”. Zwróćcie uwagę na jedwabny krawat, południową karnację i uśmiezek Mony Lisy prosto z Florencji. Te mroczne półcienie w tle także robią swoje.



Albo na przykład taki Janusz Cichoń z Koalicji Obywatelskiej. Przecież to jest wypisz wymaluj biały Barack Obama. Nawet te kolory w tle wzięte żywcem ze „stars and stripes” wyraźnie sugerują, że facet tylko przez pomyłkę nie został prezydentem USA.



Może to nieładnie się czepiać. Mamy w sejmie mniejszość niemiecką, którą prezentuje Galla Ryszard. Nie można nie ulec wrażeniu, że Herr Galla przed wizytą u fotografa oglądał „Upadek”, w którym tytułową rolę odgrywał Bruno Ganz. To samo czoło! Niepotrzebne okulary! Na szczęście został wyszparowany, żeby tło nie wyglądało jak ściany bunkra pod kancelarią III Rzeszy.



I tak dalej.

Zastanawiam się, czy to próżność, czy pragmatyzm powoduje, że parlamentarzysty prezentować się chcą jako ludzie, którymi nie są. Elektorat nie głosuje na programy, bo ich nie zna, a nawet jakby znał, to jeszcze gorzej, bo z reguły są to zestawy kiepskich obietnic.

Ludzie głoszą na nazwiska, nazwę partii i fizjonomię, które widzieli na plakatach wyborczych lub w sejmowej notce biograficznej. Ten wygląd jest ważny. Będzie jeszcze ważniejszy, co rozpoznać można po liczbie zawodowych aktorów, którzy stają się politykami. Pokusa, aby image podrasować, podpicić, ująć podbródek i uwydatnić kości policzkowe, a u mężczyzn dorobić twarzy zdrowe zęby oraz uśmiech metodami współczesnej techniki, jest wręcz nie do pokonania.

Ale w gruncie rzeczy to fałsz, kłamstwo, jarmarczny blef. Trzeba tę sprawę uregulować. Z wielu powodów ludzie powinni wiedzieć, jak naprawdę wygląda osoba, która stanowi ich prawa. Zwłaszcza że większość wyborców nigdy swoich wybrańców nie widziała na żywo. Istnieje ważny interes publiczny, aby oficjalne zdjęcia posłów, podobnie jak fotografie przestępców czy posiadaczy paszportów, odzwierciedlały rzeczywistość na miarę możliwości technicznych naszych czasów.

Byłbym naiwny, gdybym sądził, że posłowie od razu się wezmą za sprawę, kręcąc bat na własne dupy. Ale może chociaż na tej witrze sejmowej dodać adnotację: „Niniejsze zdjęcia posłów mają charakter poglądowy i orientacyjny. W rzeczywistości prawdziwe osoby mogą wyglądać zupełnie inaczej i różnić się od tych ze zdjęć nie do poznania”.

ROBERT JARUGA

Za nami 74. posiedzenie Sejmu RP, które odbyło się 12–14 kwietnia. Nielicznych zapaleńców oglądających obrady parlamentu na żywo uderza jedno: ziejająca z butelkwozielonych ław pustka.

Według regulaminu marszałek sejmu może potrącić jedną trzydziestą miesięcznej pensji posłowi za każdy dzień nieusprawiedliwionej nieobecności lub niewzięcie udziału w jednej piątej dziennych głosowań. W zeszłym roku za absencji oberwało się jedynie Antoniemu Macierewiczowi (dwie trzydzieste pensji) i Bartłomiejowi Sienkiewiczowi z PO (jedna trzydziesta). A i tych kar można było uniknąć. Zasada jest bowiem prosta: należy podpisać rano listę obecności. Wtedy można zasadniczo się oddać vel spierdolić na resztę dnia. Jedyne, o czym należy pamiętać, to o powrocie na głosowania odbywające się wieczorową porą, kiedy to – jak to zwykle bywa w przybytkach o wątpliwej reputacji – na sali sejmowej robi się tłoczno, gwarno, a niekiedy nawet i wesoło.

Gdzie zatem są posłowie, kiedy ich nie ma?

Trop 1 – komisje i podkomisje

Jakiś czas temu media odkryły, że posłowie dorabiają sobie w komisjach i podkomisjach, których jest od cholery. W większości nie wiadomo, co się na nich robi i czy cokolwiek z nich wynika. Głośna była sprawa podkomisji stałej do spraw osób niepełnosprawnych, a w zasadzie jej przewodniczącego Leszka Dobrzyńskiego, który zwołał ją aż dwa razy w ciągu trzech lat. Problemem jest to, że czy komisja/podkomisja jest zwoływana czy nie, jej przewodniczący tak czy siak co miesiąc dostaje z samego tytułu jej prowadzenia dodatek pieniężny. W przypadku prowadzenia komisji jest to 20 proc. uposażenia poselskiego (wiceprzewodniczący dostaje 15 proc.), a w przypadku podkomisji – 10 proc.

Przez cały 2022 r. działało w sejmie 60 podkomisji. Za bycie przewodniczącym można więc było zgarnąć dodatkowe 1282,66 zł brutto miesięcznie, czyli 15 391,92 zł rocznie. Gdy zbierze się to wszystko razem, wychodzi niebagatelna sumka. Wszystkie podkomisje kosztowały bowiem podatnika tylko w 2022 r. łącznie 923,5 tys. zł. Pięć z nich nie spotkało się w 2022 r. ani razu, 15 – tylko raz, a 16 – aż dwa razy.

Okazuje się, że czwarta władza nadal ma w Polsce jakieś znaczenie, bowiem nagłośnień sprawy w mediach przyniosło niebagatelne efekty. Podkomisję stałą ustroju samorządu terytorialnego po 547 dniach od ostatniego spotkania postanowił zwołać Andrzej Gawron z PiS. Obrady trwały aż 31 min i 3 s, czyli więcej niż wszystkie trzy poprzednie spotkania razem wzięte (pierwsze, które odbyło się 12 grudnia 2019 r., trwało aż 2 min i 11 s). Przykłady takich kwiatków można mnożyć.

Zostawmy w spokoju wydatki i ich zasadność i przejdźmy do kwestii organizacyjnych. W 2023 r. z jakiegoś powodu miłośnicy nam panująca Zjednoczona Prawica postanowiła zwoływać tylko jedno trwające trzy dni posiedzenie Sejmu RP, a nie dwa, jak było to w zwyczaju. Harmonogram dnia biednego posła jest więc napięty jak struna i rozpisany od godziny 9.00 do nawet 2.00. Ażeby przypadkiem nie tracić cennego czasu i nie wlec się niepotrzebnie do Warszawy po raz wtóry, harmonogram prac komisji i podkomisji idealnie wręcz pokrywa się z pracami sejmu. Jakby tego było mało, pokrywają się one jeszcze ze sobą. Przykładowo sześć posiedzeń komisji/podkomisji zaczynało się o go-

dzinie 16.00, a pięć o 11.30. Wynika z tego, że zasiadający w dwóch komisjach/podkomisjach jednocześnie poseł, przy odpowiedniej dozie pecha, powinien być już nie w dwóch, a w trzech miejscach jednocześnie.

Trop 2 – media

W trakcie obrad sejmu, jeśli nie w podkomisjach i komisjach, posłowie zazwyczaj szlają się po stacjach radiowych i telewizyjnych. Czasami pojawiają się osobiście, czasami rozmawiają na łączach bezpośrednio z sejmem – a to z biura, gabinetu, a to z korytarza. Skąd bądź. O ile rozmowa on-line wydaje się etycznie w porządku (w czasie sejmowych obrad są wszakże przerwy), o tyle opuszczanie sejmu i podróż na drugi koniec miasta w trakcie trwającej debaty jest dyskusyjne i jak słusznie zauważają zainteresowa-

ni sprawą internauci, ni chuja nie przeszkodzi w żadnej normalnej pracy.

Trop 3 – pilnuj swojego nosa

Pusta sala sejmowa kole w oczy ten promil obywateli o sadomasochistycznych skłonnościach, który obrady w ogóle ogląda. Zdawanie sobie sprawy z tego, że koledzy po fachu mają w głębokim poważaniu to, co chcesz powiedzieć, nie stanowi prawdopodobnie również najlepszej motywacji do płomiennych występow oratorskich.

I tak 13 kwietnia, w czwartek z rana, odbyło się exposé ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua. Na sali nie zabrakło siedzącego na pięterku w łożu prezydenckiej Andrzeja Dudy oraz korpusu dyplomatycznego, który z uwagą przysłuchiwał się około trzygodzinnemu wystąpieniu. Jedyne, czego zabrakło, to posłów.



Amba Fatima – poseł był i posła ni ma

W ten sam dzień, po godzinie 19.00 i zakończeniu pracy większości komisji/podkomisji, w trakcie czytania rządowego projektu ustawy o oszczędzaniu na cele mieszkaniowe w sali smętnej błąkało się kilkanaście osób. Nawet gdyby z puli 460 posłów odjął wszystkich będących członkami komisji/podkomisji (jest to ok. 190 osób), nadal wychodzi na to, że ponad 260 powinno płaszczyć dupę na zielonym welurze. Zapytana o powód swojej nieobecności Anna Maria Żukowska z Nowej Lewicy stwierdziła, że była na ważnym dla córki wydarzeniu. Co robiła reszta? Cytując „Sekretne okno” Stephena Kinga, to prawdopodobnie „pozostanie tajemnicą, nawet dla nich samych”.

Wnioski

Na koniec łyżka miodu do beczki dziegciu. Są bowiem posłowie zasługujący na pochwałę. Swoją wartość od lat wzorowo sprawuje nie kto inny jak król Konfederatów Janusz Korwin-Mikke. Z wyznaczonego miejsca w ławie sejmowej nie jest w stanie go wygonić nawet morzący go nader często sen. Aktywny jest także poseł Grzegorz „Szczęść Boże” Braun, umilający wielogodzinne nudne posiedzenia swoimi ciekawymi retorycznie, odmiennymi od wszystkich innych – jak i on sam – wystąpieniami.

Kontynuując wątek Konfederacji, niemiecka stacja telewizyjna ZDF, po uważnym przyjrzeniu się pracom polskiego sejmu z bliska, stwierdziła, że poseł Krzysztof Bosak i jeszcze nie poseł Sławomir Mentzen na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie idealnych kandydatów na zięcia. Nic, tylko pogratulować!

MAGDALENA RZEJAK

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Ukończono budowę masztu w południowej dzielnicy Puław, Włostowicach. O budowę 55-metrowej konstrukcji w Puławach starała się prywatna spółka. Firma wydzierżawiła część prywatnej posesji, a następnie uzyskała zgodę na postawienie wieży telefonii komórkowej na jej terenie. Ale maszt nie spodobał się ani mieszkańcom, ani radzie miejskiej. Swoje stanowisko radni uzasadniali małą odległością planowanego masztu od najstarszego w Puławach kościoła św. Józefa. Podajemy tę mało istotną w sumie wiadomość, ale chcieliśmy zaznaczyć, że w Puławach – wbrew obiegowej opinii – mieszka sporo pobożnych osób.

➤ Sukces Ordo Iuris: w mniej niż 24 godziny przygotowali apel w obronie JP2, pod którym podpisało się ponad 65 tys. osób. Odbywali spotkania, nagrywali materiały wideo, wypowiadali się dla mediów. Włączyli się w promocję odbywających się w całej Polsce marszów papieskich, a ich organizatorem zaofiarowali bezpłatną pomoc prawną. Cóż, spektakularne to to nie jest. Myśmy

też sporo pisali o JP2, wypowiadali się dla mediów. Dzień jak co dzień w pracy redakcji tygodnika. Różnica jest taka, że rząd wspiera Ordo Iuris, a nas nie tylko nie wspiera, ale rzuca nam kłody.

➤ Ks. Krzysztof Niespodziarski opiekuje się cmentarzem w Grotnikach. Pochowano tam Krzysztof Krawczyka. Jego nagrobek jest z każdą chwilą większy i większy. Rozrasta się, można powiedzieć. Ostatnio na modłę amerykańską postawiono przy nim płotek. „Pomnik jest pełen symboli, podobnie jak płotek. Oczywiście jest nawiązanie do ogrodzenia, jakie znajduje się wokół pomnika Elvira Presleya. Krzysztof mówił, że chciałby taki mieć” – wytłumaczył ksiądz.

➤ Ks. Sebastian Picur, który nabija sobie popularność na TikToku, wskazał, jaki prezent byłby odpowiedni na komunię dziecka. Mianowicie miałyby to być Biblia. Wywołał tym poruszenie i zgorszenie wśród internautów. Nie dziwimy się. Biblia na komunie? Od wszystkich gości po jednej? Po co komu kilkanaście takich samych książek? Po drugie po tzw. pierwszej komunii to już dzieciaki raczej się oddalają od Kościoła. Ci księża to jacyś tacy niezyciowi są.

➤ Rodzicom posyłającym dzieci do pierwszej komunii przypominamy: oprócz przy-

jęcia dla dziecka i licznych gości powinni przygotować kopertę dla księdza (zwyczajowo od 1,5 do 2 tys. zł), złożyć się na dekorację kościoła (całość nie powinna wynieść więcej niż 2–4 tys. zł), dać datkę organizację (no, po słowie od każdego by wypadało), i zorganizować „dar ołtarza” – na rzecz całej parafii (ok. 3 tys. zł od wszystkich). Bo inaczej komunie się nie przyjmie.

➤ „Wyborcza” opisuje sytuację jednego z liceów, gdzie w pierwszej klasie ksiądz

na katechezie zakazał dzieciom: tatuaży, zajęć jogi i nauki niemieckiego. W rezultacie na wywiadówce ustawiła się kolejka rodziców do wypisania dzieci z lekcji religii. Ci księża to bywają zabawni. Ale czasem robią dobrą robotę. Przypominamy przy okazji – religia w szkole jest nieobowiązkowa.



PAPIEŻ BIJE KONIA.

➤ 17 maja w kilkudziesięciu niemieckich kościołach kobiety będą głosić homilię. Gwoli ścisłości: będzie się to działo na katolickich mszach świętych w katolickich świątyniach – donoszą katolickie portale ze zgrozą. To realizacja jednego z postulatów tamtejszej drogi synodalnej. To już rozumiecie, dlaczego księża zniechęcają do nauki języka niemieckiego?

➤ Biskup kaliski Damian Bryl odwołał ks. Henryka Sikorę ze stanowiska proboszcza w parafii w Stradomiu Wierzytniej i skierował do Domu Księży Emerytów w Ostrowie Wielkopolskim. Powód? Skarga jednego z rodziców do dyrektora miejscowej szkoły podstawowej na „niepokojące zachowanie” księdza wobec uczniów. Jakże konkretnie, nie wiadomo, ale wydaje się, że nic konkretnego nie zaszło. Skąd taka przesadna reakcja wobec tego? Ano biskup woli widocznie na zimne dmuchać niż się na ciepłym sparzyć. Ktoś powie, że być może czepiają się niewinnego księdza. Może tak. Ale to wynik wieloletnich uporczywych zabiegów z ukrywaniem pedofilów w sutannach.

KLECHA

Wiadomości na pożytek pasterzy i owieczek zaczerpnięte zarówno z mediów katolickich, jak i szatańskich.

Wieś PiS-em stoi

Polski rolnik na polskiej wsi niemal nie występuje.

Jedni rolnicy klepią biedę z powodu pomoru świń. Inni przymierają głodem wskutek wypuszczenia do Polski ukraińskiego zboża. Ponieważ teraz ze Lwowa wjeżdżają do nas tysiące ton kurczaków, reszta rolników też pójdzie z torbami. A skoro tak, to jesienią PiS na pewno na wsi przegra wybory.

Taki przekaz płynnie ze wszystkich opozycyjnych publikatorów. Protesty rolników są dla nich bowiem jednoznaczne z tym, że skończyła się miłość polskiej wsi do aktualnie rządzących. Konstatacja ta byłaby nader miła, gdyby nie to, że jest fałszywa.

Gdzie ci chłopię?

Zakłada wszak, że polską wieś zamieszkują rolnicy. Tymczasem jest to prawda najwyżej w 9 proc. Tylu bowiem mieszkańców polskiej wsi utrzymuje się z rolnictwa. Władysław Kosiniak-Kamysz twierdzi nawet, że jest ich już 8,5 proc. Ale ponieważ szef PSL jest politykiem, to na pewno trochę łże.

Według Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), na wsi mieszka 40,1 proc. Polaków – jakieś 15,2 mln. Fundacja na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa w raporcie „Polska Wieś 2022” twierdzi, że gospodarstwa domowe rolników stanowią ok. 8 proc. gospodarstw domowych na wsi. A zgodnie z definicją GUS gospodarstwo domowe rolników to takie, którego „wyłącznym lub przeważającym źródłem utrzymania jest dochód z użytkowanego gospodarstwa indywidualnego w rolnictwie”. Socjologowie wsi od lat badają to, z czego żyje polska wieś. Wychodzi im, że co drugi pracujący wieśniak zatrudniony jest w jakiejś firmie. Jedna trzecia mieszkańców wsi utrzymuje się ze świadczeń społecznych – znaczy rent, emerytur i zasiłków. 7,4 proc. mieszkających na wsi czerpie dochody z pracy na własny rachunek. Niecałe 2 proc. jako źródło dochodu podaje „inne”. Kasa z uprawy i hodowli utrzymuje mniej niż co 10. wieśniaka. Ba, w ciągu ostatnich 10 lat z miast na wieś przeprowadziło się 3 proc. ich mieszkańców i na pewno nie zajmują się tam sianiem, zbieraniem czy udojem.

Jeśli więc źle się dzieje rolnikowi, to jego problemy ma w dupie ponad 90 proc. sąsiadów. Rolnicze protesty są dla mieszkańców wsi równie egzotyczne jak dla ludzi żyjących na Retkini, w Oruni, Niskowcu czy na Bródnie.

Transfer za transferem

Statystyki pokazują, że ludzie mieszkający na wsi zarabiają niemal tyle samo co miastowi. Ich dochody sięgają 96 proc. dochodów pracowników najemnych, 83 proc. pracujących na własny rachunek, 98 proc. emerytów i rencistów. Gdyby jednak uwzględnić dochody z działalności w szarej strefie, która na obszarach wiejskich jest bardziej rozwinięta niż w miastach, to dochody na wsi nie tylko byłyby nie mniejsze niż w miastach, ale nawet lekko je przewyższały.

Obałoby to obowiązuje wśród miastowych mit o tym, że do pieniędzy prowadzi lepsza i wyższa szkoła. Według spisu ludności z 2021 r. wśród ludności zamieszkałej w miastach 27,4 proc. stanowią osoby, które ukończyły uczelnię wyższą, a na wsi udział takich osób jest znacznie niższy i wynosi 16,6 proc. Tylko matura mogło się pochwalić 33,6 proc. w miastach i 30,4 proc. na wsi. Wykształcenie zasadnicze zawodowe miało blisko 25 proc. mieszkańców wsi przy 16,1 proc. miastowych. Ludzi z wykształceniem podstawowym na wsi też jest więcej, bo 15,9 proc., a w miastach ledwie 9 proc.

Brak magisterki czy matury w niczym mieszkańcom wsi nie przeszkadza ani nie czyni z nich głupków. Zarabiają bowiem na wszystkim, na czym się da. Choćby na 500 plus, o czym świadczy to, że rodziny z dziećmi stanowią połowę rodzin zamieszkałych na wsi, a w miastach niecałe 37 proc. Wieśniacy idą łeb w łeb z miastowymi, jeśli chodzi o pozyskiwanie pomocy socjalnej. Korzysta z niej po ponad 750 tys. osób w miastach i na wsi. Pamiętajmy jednak, że wieś zamieszkuje 40 proc. Polaków. Czyli do jej mieszkańców wędruje proporcjonalnie więcej socjału niż do miastowych.

Na wieś wędrują środki na termomodernizację budynków, dające ponad 100 tys. zł na chałupę. Łąduje tam kasa na fotowoltaikę, która powoduje, że na niektórych wsiach nie ma już chałupy bez



Rys. HENRYK CEBULA

paneli. Wieś lepiej od miastowych wykorzystuje też kasę na wymianę kopciuchów. Mieszkający w blokach i kamienicach miastowi o szmalcu na takie mecie mogą tylko pomarzyć.

Jednak tym, co od wielu lat jest trzonem dochodów nierolniczej części mieszkańców wsi, są dopłaty bezpośrednie do rolnictwa. Zarówno te krajowe, jak i unijne.

Teoretycznie powinny one trafiać do tych, którzy hodują lub uprawiają. Tymczasem 17 mld zł dopłat rocznie wcale nie wpada w ręce żyjących wyłącznie z rolnictwa 1,5 miliona osób.

Co prawda kombinator, ale nasz

Połowę polskich gospodarstw stanowią te mające mniej niż 5 ha powierzchni. To za mało, żeby się z tego utrzymać. Dlatego znakomita większość tych arealów jest dzierżawiona prawdziwym rolnikom. Oni tę ziemię orzą, obsiewają i zbierają tego owoce. Najciekawsze jednak, że im się to opłaca. Mimo że za uprawiany grunt nie dostają dopłat bezpośrednich. Te zasilają bowiem konto właściciela. Nawiasem mówiąc, jaka musi zatem być opłacalność bycia producentem rolnym, skoro nie dostaje on dopłat i na dodatek płaci za dzierżawę, a jednak mu się to kalkuluje?

Ludzie z PiS znakomicie sobie zdają sprawę z patologii z dopłatami. Wiedzą zatem, że z przekrętu korzysta finansowo mnóstwo mieszkańców wsi. Dlatego władza przymyka na to oko, traktując dopłaty dla nierolników jako kielbasę dla swoich wyborców.

Bruksela się na takie praktyki zeżliła i każe coś z tym fantem zrobić. Komisarzem od rolnictwa jest jednak Janusz Wojciechowski z PiS. Dlatego, żeby Unia się nie czepiała, wprowadzono definicję rolnika aktywnego zawodowo, bo tylko taki może się teraz łapać na dopłaty. Definicja nic nie zmieniając, zrobiła dobrze wiejskim kombinatorom. Bo po jej wejściu w życie

żaden właściciel gospodarstwa do około 20 ha użytków rolnych nie będzie musiał specjalnie wykazywać, czy ziemię osobiście użytkuje, czy też nie. Pozostałe zapisy definicji też żadnemu nierolnikowi nic nie robią, bo jak szacują organizacje producentów rolnych, dotyczyć będą aż 86,8 proc. wszystkich gospodarstw powyżej 1 ha, które użytkują 43,3 proc. użytków rolnych w kraju. Ich właściciele, którzy rolnictwem dawno już się nie zajmują, nadal z powodzeniem będą wy-

stępować o dopłaty, choć grunty oddali w bezumowne dzierżawy innym.

To chyba najjaśkawszy przykład tego, jak mocno rozbieżne są interesy ludzi żyjących z rolnictwa i 90 proc. mieszkających na wsi beneficjentów pisowskiego pompowania tam kasy. Wieś nie tylko producentom rolnym nie kibicuje w walce z rządem, ale ponieważ ma ich za bogaczy, życzy im jak najgorzej.

TADEUSZ JASIŃSKI

Terapia tępymi obcęgami

Czym blokada granicy dla ukraińskiego zboża nasiąknie, tym wyborami trąci.

Zamykając granicę dla produktów rolnych z Ukrainy z dnia na dzień, PiS postępuje z właściwą sobie subtelnością kowala dorabiającego jako dentysta. Nie zmienia to faktu, że coś trzeba było zrobić.

Nieograniczony napływ ukraińskiego zboża, miodu, jajek, drobiu i dziesiątek innych produktów to efekt rozporządzenia Komisji Europejskiej z 4 czerwca 2022 r., przyjętego przez Brukselę wobec zablokowania przez Rosję drogi morskiej, którą Ukraina zwykła eksportować żywność, co z kolei spowodowało galopujący wzrost cen i klęskę głodu, która dotknęła, według szacunków ONZ, 47 mln ludzi w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. To było sensowne moralnie i gospodarczo rozporządzenie, atoli sytuacja zmieniła się parę tygodni później, kiedy Rosja i Ukraina, za pośrednictwem ONZ i Turcji, osiągnęły porozumienie nazwane Czarnomorską Inicjatywą Zbożową.

Turcja – gołąbek pokoju

Jest to – co warto odnotować – jedyne funkcjonujące porozumienie między Rosją i Ukrainą od

początku wojny (nie licząc incydentalnych wymian jeńców). W jego ramach walczące strony zagwarantowały sobie wzajemnie bezpieczną drogę morską dla transportu żywności i nawozów. Porozumienie podpisano 22 czerwca. 1 sierpnia z Odessy do Libanu wypłynął „Razoni” – pierwszy statek z ukraińskim zbożem.

29 października Rosja zawiesiła porozumienie na kilka dni i oskarżyła Ukrainę o skorzystanie z gwarancji bezpieczeństwa do ataku dronów na rosyjskie statki w porcie w Sewastopolu. Ale już 2 listopada, po ofensywie dyplomatycznej prezydenta Erdoğan, Putin ogłosił, że powraca do porozumienia.

Mało tego, strona rosyjska zadeklarowała, że jeśli Rosja znowu zawiesiłaby jego działanie i zablokowała ukraińskie zboże płynące do najbardziej ubogich krajów, cały wolumen zablokowanego transportu przekaże za darmo z własnych zapasów, co jako żywo nie jest w jej interesie. Jak komentowała wówczas dla Reutera analityczka Tatiana Stanovaya z berlińskiego ośrodka Carnegie Russia Eurasia Center: „Konieczne było wycofanie się i zrobienie (niezbyt skuteczne) dobrej miny do złej gry. To znaczy, że Putin mimo wszystko nadal jest do pewnego stopnia racjonalnym politykiem, który wie, jak się wycofać w razie potrzeby”. Rosja jest świadoma, że porozumienie w sprawie eksportu żywności jest jej potrzebne, także politycznie – Trzeci Świat jest w znacznej mierze po jej stronie, ale to może się zmienić, gdy ludzie zaczną umierać

Cieęższy podajcie mi czołg

Czas bezmyślnych patriotów.

Bilion złotych wyda państwo polskie na zbrojenia. Spokojnie, jeszcze nie w tym roku, w ciągu najbliższych 12 lat.

W marzeniach rządzącego PiS przyszła Polska ma mieć największą armię w Europie Środkowo-Wschodniej. Dlatego od USA kupujemy 500 raketowych systemów HIMARS. Choć niedawno państwo polskie podpisało umowę zakupu 288 podobnych rakiet K239 Chunmoo od Republiki Korei. Te 788 systemów to nie w kij dmuchał. A przecież mamy już wyrzutnie WR-40 Langusta i setkę rakiet przeciwokrętowych NSM.

Dodatkowo państwo polskie kupić chce śmigłowce AW149 i AW101, samoloty F-35 i FA-50 oraz tureckie drony. I przynajmniej tysiąc czołgów amerykańskich, koreańskich, a nawet niemieckich. A także 800 armatohaubic, liczne moździerze Rak, zestawy raketowe Piorun, Pilica, Mała Narew. I 300 tys. karabinów Grot. Do nich 300 tys. gustownych beretów, tyleż ciepłych kalessonów i przynajmniej 600 tys. skarpet. Zakupu onuc nie będzie, bo to ruski przeżytek.

Do koszar żołnierz wszedł

Gdyby zsumować sprzęt już przez polskie wojsko posiadany, zakupiony i zamawiany, okazałoby się, że zabraknie nam wojska do jego obsługi. Dlatego minister Błaszczak czujnie deklaruje, że armia polska ma mieć niebawem 300 tys. dzielnych wojaków i jeszcze 50 tys. tych z WOT. Do tego kilkaset tysięcy przeszkolonych rezerwistów. Na razie, według informacji szefa MON, pod koniec 2022 r. polskie wojsko na stanie miało mieć 164 tys. żołnierzy.

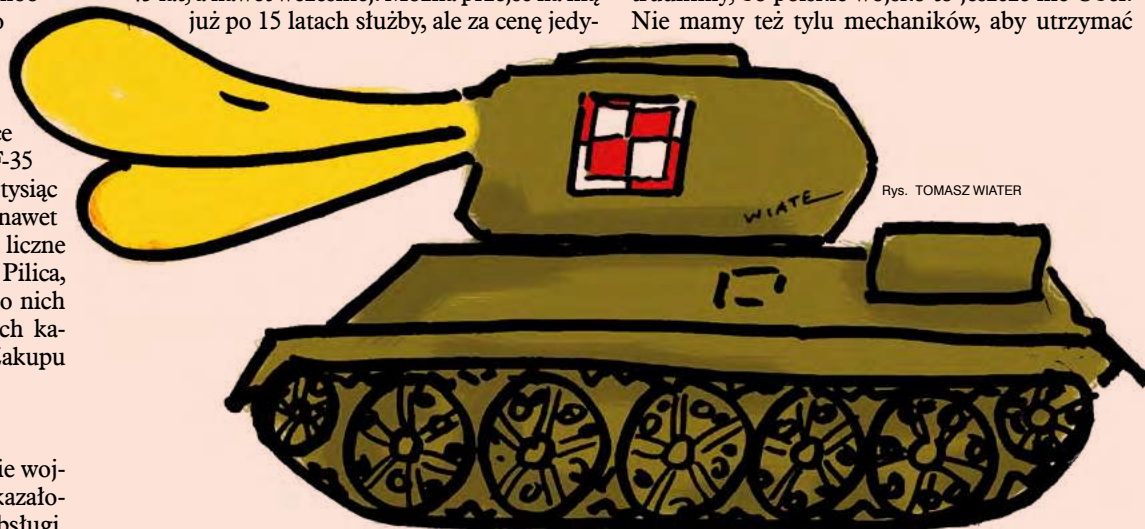
To oczywiście kłamstwo, bo już wtedy ruszyła fala przemiany zawodowych żołnierzy w rzeszkie emerytów. Nie udało się jej resortowi zatrzymać. Tylko w styczniu 2023 r. na wczesną emeryturę odeszło z wojska prawie 5 tys. wyszkolonych żołnierzy i oficerów. O kolejnych masowych odejściach informują nawet prorządowe media.

Obecnie polska armia realnie może liczyć około 115 tys. zawodowych żołnierzy i 25 tys. dzielnych wojaków z obrony terytorialnej, zwanych pieśczołtliwie terytorialsami. W ciągu najbliższych lat może uda się stworzyć armię liczącą około 150 tys. zawodowych wojaków plus 50 tys. zdeklarowanych terytorialsów. Więcej nie da się tak szybko zwerbować, bo w Polsce nie ma szkół

wojskowych, aby wyszkolić tylu wykwalifikowanych zawodowych żołnierzy.

Nie da się też szybko zwiększyć liczebności stanu armii, bo nie powstrzymamy odejść kolejnych roczników zawodowych żołnierzy na emeryturę. Nie tylko dlatego, że wizja realnej wojny, obecnej już w Ukrainie, sprzyja takim masowym decyzjom.

Wojsko polskie stale i systemowo produkuje młodych emerytów. Bo aby zachęcić do podejmowania służby wojskowej, stworzono tam bardzo korzystny system emerytalny. Dziś można odejść na emeryturę po 25 latach służby. Czyli w wieku 45 lat, a nawet wcześniej. Można przejść na nią już po 15 latach służby, ale za cenę jedy-



nie 40 procent podstawowej przyszłej emerytury. W ten sposób wojskowy fachowiec, mechanik albo spec od cyberbezpieczeństwa już po 15 latach służby dostanie taki socjał, a potem bez trudu znajdzie sobie pracę w firmach cywilnych. Do końca życia będzie dostawał ten socjał z budżetu MON, czyli z naszych podatków.

W zeszłym roku około 40 proc. budżetu MON przeznaczano na pensje i emerytury wojskowych. Z biegiem lat wydatki na emerytury na pewno się zwiększą, bo wojsko polskie stale będzie produkować kolejne kontyngenty młodych emerytów. Systemu takiego nie da się zlikwidować ani ograniczyć, bo nadchodzi wielki niż demograficzny. Deficyt młodych mężczyzn. I trzeba będzie ich wysokimi pensjami oraz atrakcyjnymi warunkami emerytalnymi do służby wojskowej przyciągać.

Czołg powoli także tam zmierzał

Polskie MON kupuje tak wiele i tak szybko, że nawet koreańscy producenci już przestrzegają przed poślizgami w realizacji kontraktów, choć to przodownicy pracy kapitalistycznej. Nie wy-

ją z fabryki, zanim nie skręca ostatniej gąsienicy. Amerykanie nie przestrzegają. Biorą zaliczki i opróżniają magazyny z dawno wyprodukowanego sprzętu. Nowy jedynie obiecują. Ale jeśli koreańscy i amerykańscy przodownicy pracy nie zdążą na czas z już zamówioną produkcją, to armia polska odetchnie z ulgą.

Prawdziwe problemy miałyby nasze wojsko, gdyby zagraniczni producenci skrupulatnie i terminowo wykonali te gigantyczne zamówienia. Dzisiaj nie mamy wystarczających zasobów pancerniaków i artylerzystów do obsługi zamówionego sprzętu. Tadzików albo Hindusów nie zatrudnimy, bo polskie wojsko to jeszcze nie Uber. Nie mamy też tylu mechaników, aby utrzymać

ten pozamawiany sprzęt w stałej gotowości bojowej. Ani tylu szkół zawodowych zdolnych wykształcić szybko i skutecznie takich mechaników.

Nie mamy we wschodniej Polsce mostów dostosowanych do transportu tego ciężkiego sprzętu wojskowego. Nie mamy garaży, magazynów na potrzeby nowego sprzętu. Nie ma mieszkań dla obsługującego go w przyszłości wojska. Szpitali, a nawet zakładów fryzjerskich, bo żołnierz musi być ostrzyżony.

Nie wiadomo też, w jaki sposób zamówione w Korei Południowej czołgi i armaty przyjadą do Polski. Zwykle transportuje się je koleją. Te koreańskie musiałyby jechać przez Koreę Północną i Rosję. Nie są to państwa przyjazne nam aktualnie. Zatem polskie zamówienia szybko tak nie pojadą.

Można wysłać je drogą morską, ale takie rejsy trochę potrwają. Nie będą bezpieczne, bo mogą zatrzymać je dla okupu współcześni piraci, ponieważ marynarka polska nie ma okrętów do ochrony takich frachtów. I wtedy Rzeczpospolita znowu zapłaci. Potem serwis do tego uzbrojenia też

będzie długo płynął. Dzięki takim zamówieniom polski budżet też nieźle popłynie.

Kto zdecydował, by kupować uzbrojenie tak daleko, i kto wziął za to zwyczajową prowizję, to pytania niegodne dzisiejszego polskiego patrioty.

Każdy zawodowy wojak wie, że same zakupy sprzętu to tylko 30 proc. przyszłych wydatków. Aż 70 proc. to koszty użytkowania i utrzymania nowego uzbrojenia. Przed wojną w Ukrainie roczny budżet polskiego MON wynosił około 49 mld zł. Już wtedy spełniał postulaty NATO, liczył powyżej 2 proc. ówczesnego PKB. W tym roku wydatki zaplanowano już na ponad 97 mld zł. To nie wszystko, bo rząd PiS dodatkowe pieniądze ukrył w Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Ile tam schował, oficjalnie nie wiemy. Plotki sejmowe mówią, że może być nawet 50 mln zł. Jeśli uznamy, że w tym roku wydamy na obronę „tylko” 130 mld zł, to przekroczymy poziom wydatków 4 proc. naszego PKB. Tak wiele wydają w NATO jedynie USA i Grecja. USA, bo mają największą na świecie armię. Grecja, bo jest stale skonfliktowana z sąsiednią Turcją. Ten rekordowy poziom wydatków na obronę w relacji do PKB będzie w Polsce na pewno rosnąć. Choćby dlatego, że polskie PKB przestaje rosnąć tak szybko jak polskie wydatki na wojsko.

Z opinią leci też minister

Wojna w Ukrainie zakończy się jakimś rozje-mem. Pokoju między Rosją, Ukrainą i NATO długo nie będzie. Wschodnia flanką NATO, czyli Polska, stanie się zmilitaryzowanym regionem. Pewnie nie tak nasyconym wojskiem jak linia demarkacyjna między państwami koreańskimi, nie tak zmilitaryzowana wewnętrznie jak w Izraelu. Ale groźba rosyjskiej agresji będzie organizowała życie kolejnych pokoleń obywateli Polski. Niezależnie od tego, czy będzie groźbą realną.

Jak taka stała militaryzacja polskiego państwa i społeczeństwa wpłynie na przyszłą jakość życia i gospodarki w Polsce? Teraz to temat tabu. Każda dyskusja o tym kończy się zakłębieniem, że „bezpieczeństwo Polski nie ma ceny”. Bo polską polityką i światem mediów rządzi teraz mentalna soldateska.

Nie ma w Polsce analiz dotyczących wpływu wzrostu wydatków na zbrojenia, militaryzacji życia społecznego na rozwój cywilizacyjny społeczeństwa.

Istniejące za granicą badania dowodzą, że każde jednoprocetowe zwiększenie wydatków na zbrojenia długofalowo przynosi zmniejszenie wzrostu PKB państwa o 6–9 proc. rocznie.

PIOTR GADZINOWSKI

z głodu. Putin nie zerwie tego porozumienia bez ważnego powodu.

Polska – łatwa i tania

Od tego czasu Czarnomorska Inicjatywa Zbożowa działa w zasadzie bez zakłóceń. Została przedłużona dwukrotnie: 19 listopada na 120 dni,

a 18 marca na kolejny okres, choć ten akurat jest sporny: Ukraina mówi o 120 dniach, a Rosja twierdzi, że zgodziła się tylko na 60. Tak czy inaczej, dzięki inicjatywie z czarnomorskich portów wypłynęło ponad 700 transportów wiozących 25 mln ton zboża i artykułów spożywczych do 45 krajów.

Ale to oznacza, że sytuacja, która uzasadniała rozporządzenie KE z 4 czerwca, przestała istnieć

już dwa miesiące później. I wtedy ktoś powinien był zastanowić się nad tym, czy tak całkowite otwarcie europejskich granic dla taniej żywności z Ukrainy nadal ma sens. Bo skutki tego otwarcia można było przewidzieć.

Do wojny w zasadzie cały ukraiński eksport żywności odbywał się przez czarnomorskie porty. Po otwarciu granicy z UE 60 proc. eksportu wędruje właśnie tędy – co nawet nietrudno zrozumieć. Łatwiej i taniej jest przewieźć zboże przez granicę do Polski niż pakować na statki i wysyłać na inny kontynent. A ukraińscy eksporterzy rolni to głównie zarejestrowane w rajach podatkowych korporacje, kierujące się logiką zysku, a nie misją wykarmienia świata.

Uchodźcy – jak ziarno

Latem zeszłego roku nikt nawet nie zająknął się na temat ograniczenia ukraińskiego eksportu do UE – z powodów, jak nietrudno zgadnąć, politycznych. Zalew ukraińskiego zboża i żywności zagroził przede wszystkim rolnikom z Polski, która jednak maszeruje w pierwszym szeregu ukraińskich sojuszników; trudno, żeby polski rząd jednocześnie krzyczał na Zachód, że jest winny rozzuchwalenia Putina, i domagał się więcej śmiertelności broni dla Zelenskigo, a w tym samym momencie zażądał zamknięcia granic przed ukraińskim eksportem. Podobnie niezręczna była sytuacja Bułgarii, Czech, Słowacji i Rumunii; ale nawet Węgry, które z determinacją siedzą okrakiem na barykadzie, nie odważyły się zażądać przywrócenia ceł.

Pod koniec stycznia ministrowie rolnictwa tych krajów nieśmiało prosili w Brukseli o jakąś interwencję, pewne ograniczenie importu, podzielenie się dobrodziejstwem taniej ukraińskiej żywności z resztą Wspólnoty. Nie spotkali się z nadmiernym zrozumieniem i w zasadzie trudno się dziwić: kiedy kraje europejskiego Południa prosiły nas o przyjęcie niewielkiej grupy uchodźców podczas kryzysu 2015 r., byliśmy podobnie życzliwi.

Kaczyński – jak kowal

Kluczowe pytanie – z dość marginalnej dla Europy, ale fundamentalnej dla nas perspektywy – brzmi: czy PiS-owi uda się pozamiatać cały ten burdel do wyborów?

Czy blokada na granicy zadziała, czy władza nie pęknie politycznie? W końcu tak brutalny antyukraiński ruch idzie w poprzek wszystkiego, co od roku wykrzykuje.

Czy da się opróżnić magazyny przed zniwami, czy logistycznie jest to nie do wykonania? Czy Bruksela jednak nie wymusi na rządzie jakiegoś kompromisu (choć to ostatnie akurat słabo jej wychodzi)?

Czy rolnicy dadzą się prześlagać, a jak nie, to czy zwrócą się do tzw. demokratycznej opozycji, czy też raczej do Konfederacji, która jest jedyną na polskiej scenie politycznej partią otwarcie ukraińskosceptyczną? Czy może dojdzie do protestów Ukraińców na naszych ulicach?

Słowem: czy PiS wygra, czy przegra na kowbojskim ruchu ogłoszonym przez prezesa w Łysych pod Ostrolęką?

Ja wiem, że to małostkowe rozważania, ale przynajmniej: wszyscy o tym myślimy. A co najgorsze, uczciwa odpowiedź brzmi: nie wiem.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



WIARA CZYNI CZUBA

1. Policja w Iranie pochwaliła się nowym pomysłem. Otóż wprowadzi specjalne radary, za pomocą których będzie wyłapywać kobiety nienoszące hidżabów. W oświadczeniu stwierdzono, że policja „w celu zidentyfikowania osób łamiących normy podejmie działania za pomocą inteligentnych kamer w miejscach publicznych i arteriach komunikacyjnych”. Nie będzie to jednak działanie brutalne: przestępczynie dostaną szansę poprawy. W pierwszym kroku „do osób naruszających prawo hidżabu wysłane zostaną wiadomości dowodowe i ostrzegawcze”, aby „poinformować je o prawnych konsekwencjach powtórzenia tego przestępstwa”. Odkąd policja do spraw moralności zatłukła na śmierć 22-letnią Mahsę Amini, która pokazała za dużo włosów na ulicy – kobiety w Iranie zapewne wiedzą, jakie są konsekwencje.

2. Na okoliczność wykładów pasywnych arcybiskup Canterbury Justin Welby podzielił się z wiernymi prawdą na temat swojego zdrowia psychicznego, wyznając, jak wiele antydepresantów było trzeba, żeby „przywrócić go do statusu Kłapouchego z czegoś znacznie gorszego”. „Złóćcie to wszystko na karb nieskończonej mądrości Kubusia Puchatka” – komentuje felietonista „Guardiana” Tim Adams, dodając, że głowa Kościoła anglikańskiego odwołuje się do pisarza, którego stosunek do religii był, delikatnie mówiąc, chłodny. Jak zauważył kiedyś A.A. Milne, Stary Testament „jest odpowiadający za więcej ateizmu, agnostycyzmu i niedowierzania niż jakiegokolwiek inna książka kiedykolwiek napisana; opróżnił więcej kościołów niż wszystkie konkurencyjne atrakcje, kina i pola golfowe”...

3. Prezbiteriański Kościół Australii wystąpił do rządu o zezwolenie na dyskryminację uczniów, którzy są gejami lub uprawiają seks. Kościół przekonuje, że w regulaminach prowadzonych przez siebie wyznaniowych szkół i przedszkoli powinien móc zapisać, że dzieci, które się bzykają, a już, Boże uchowaj, z dziećmi tej samej płci, nie mogą być przewodniczącymi samorządu szkolnego. Laburzystowski premier Richard Marles ma wątpliwości: „Przywództwo i cechy przywódcze nie są funkcją orientacji seksualnej i musimy zadbać o to, żebyśmy mieli jak najszerze spektrum potencjalnych liderów w naszym społeczeństwie”. Jego prawicowy poprzednik ma inne zdanie: „Rodzice mają prawo powiedzieć: »ja wyrastałem w tych wartościach i chcę, aby szkoła je krzewiła, dlatego wkładam rękę do kieszeni i płacę za naukę«”.

4. Dylan Mulvaney to transseksualna tiktokerka, która na swoim poświęconym transycji profilu pt. Droga do Dziewczynstwa ma 10 mln obserwujących, co wywołuje zainteresowanie dużych firm. Z okazji pierwszych urodzin jej kanału producent Bud Light – ulubionego piwa milionów Amerykanów – zadeedykował jej spersonalizowaną puszkę. Amerykańscy bigoci zatrzęśli się z oburzenia i ślubowali bojkot swojego ulubionego browaru. Najbardziej uniósł się niejaki Seth Weathers, który postanowił wypuścić z tej okazji własną markę piwa: żeby prawdziwi Amerykanie już nie musieli pić sików zboków. Marka nazywa się Ultrapravicowe Piwo Konserwatywne Taty. „Ameryka kupuje piwo od firmy niewiedzącej nawet, z której toalety skorzystać” – reklamuje swój browar tata. Toaleta przy browarze – rzecz podstawowa.

5. Ale to nie koniec afer wywołanych przez Dylan Mulvaney. W ramach układu z firmą Nike opublikowała ona na swoim koncercie nagranie z domowej sesji jogi w legginsach Nike’a. Wśród usportowionych bigotów wybuchła gównoburza, jeszcze gorsza niż ta od browaru. Tiktokerka występująca pod pseudo „Gadatiwa Mama” odpowiedziała filmikiem, na którym podpała swój stanik sportowy marki Nike i ogłasza, że od dziś będzie bojkotować tę firmę. Firma Nike „powinna się wstydzić”, że wybrała „małego chłopca” (Dylan jest 26-letnią transseksualną kobietą), „bez piersi i z tym czymś w spodniach, aby reprezentował prawdziwe kobiety” – oburza się Gadatiwa Mama – „od lat 60. walczyliśmy o nasze prawo do bycia kobietami”. Transfobia: to była właśnie ta idea, która przyświecała feministkom palącym staniki. Wcale nie chodziło o aborcję.

6. Sąd Najwyższy stanu Arizona ostatecznie uwolnił Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich od zarzutów, stawianych mu przez dzieci niejakiego Paula Adamsa. W 2010 roku Adams wyznał mormońskiemu biskupowi, że systematycznie molestuje swoją pięcioletnią córkę. Biskup wezwał na rozmowę żonę Adamsa, Leizę – co nie pomogło; zbok nie tylko nadal bzykał jedną córkę, ale 7 lat później wziął się też za następną, w zasadzie od jej urodzenia. Wszystko nagrywał komórką i wrzucał do sieci, co w końcu doprowadziło do jego aresztowania; wyhuśtał się w celi 6 lat temu. Teraz obie córki skarżą Kościół – i sprawa dotarła do stanowego Sądu Najwyższego, który stwierdził, że biskup nie miał obowiązku poinformować władz o hobby Adamsa, albowiem zachowanie tajemnicy było „uzasadnione i konieczne w ramach przekonań religijnych”.



Jebać Kukiza?

Od buntownika do klęcznika. Wsteczna ewolucja sceniczna pewnego rockmana.

A zaczęło się tak pięknie, jeszcze za komuny. Jako punkowiec w Jarocinie zbuntowany Paweł nie zgłosił tekstów o armii do cenzury, co miało szkodzić Ludowemu Wojsku Polskiemu. Rezolutny muzyk wyjaśnił wtedy, że korzysta z oficjalnego wydawnictwa MON z 1953 r. „Idzie wojsko i śpiewa”. Cenzorzy zostali z ręką w nocniku, choć zapewne zdawali sobie sprawę, że teksty są śpiewane prześmiewczo, ironicznie i złośliwie.

W obronie odmieńców

A potem przyszedł pierwszy popularny hit śpiewany przez Kukiza – „Skóra” zespołu Aya RL. Chwytna, prosta melodyjka zosta-

ła unieśmiertelniona dzięki elektryzującemu tekstowi wokalisty. To prosta, ale przejmująca – a może prosta, bo przejmująca – opowieść o nietolerancji, wręcz wrogości wobec inności:

„Stoję na ulicy z nią, stoję twarzą w twarz
Ktoś przechodzi, trąca łokciem, wzrokiem pluje w nas

Szeptem mówię: Mała, patrz
Cywilizowany świat”.

Co ciekawe, jak czytamy na stronie Cyfrowej Biblioteki Polskiej Piosenki, „Skóra” odnosi się do prawdziwej sytuacji z końca lat 70. Kukiz wtedy dzielnie stanął w Częstochowie w obronie jakiejś nastoletniej hipiski, agresywnie potraktowanej przez grupę normalsów, chcących usunąć tych odmieńców z pejzażu miasta. Oddajmy głos muzykowi: „Szedłem z dziewczyną, ktoś ją potrafił, celowo, ja stanąłem w jej obronie, choć ważyłem wtedy chyba mniej od Małysza. Dostałem dwa strzały w dziób, dwa kopy po żebrach. Tak boleśnie skończyła się moja dżentelmeneria. Oczywiście miałem poczucie krzywdy, ale też i dumy”.

Jebać kler

Kiedy zdechła komuna, na początku lat 90. pojawił się nowy wróg dla rockandrolowców. Był nim kler i służni wobec niego politycy, jebani równo przez Kazika, T. Love, Kobranockę czy Big Cyca.

Nowa kapela Kukiza, Piersi, była w awangardzie antyklerykalizmu. Ciężkim, chwila metalowym riffom towarzyszyły ostre, prześmiewcze, często prowokacyjne teksty.

W kawałku „Satany” słyszymy o opętaniu przez demona: „Bestia wyrwy mi duszę. Pożera sumienie. Przebrana za krzyż”.

Piosenka „ZCHN zbliża się” (1992 r.) nie była puszczana ani w radiu, ani w telewizji, nawet nie była grana na koncertach – jak wyjaśniali muzycy Piersi, obiecali to sądowi, który ich uniewinnił od zarzutu obrazy uczuć religijnych – ale była jednym z największych hitów początku ostatniej dekady XX w. Skandaliczne było połączenie tekstu o najebanym klesze, który rozbił auto, wracając z kołedy, z muzyką – melodią, która towarzyszyła dzieciom idącym do pierwszej komunii.

Kukiz przeczuwał kłopoty. Po pierwsze, oficjalnie autorem tekstu uczynił... Szatana. Po drugie, w tytule umieścił „ZCHN”, tymczasem oficjalny skrót klerykalnego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego brzmiał ZChN. Muzyk jechał po bandzie podczas przesłuchania przez prokuratorkę, co po latach wspominał tak:

„– Dlaczego pan napisał ten tekst? – pyta pani prokurator.

– To nie ja napisałem, to Szatan napisał.

– Jak to Szatan?

– Proszę sprawdzić w ZAiKS-ie, tam nie ma mojego nazwiska, pod tekstem podpisany jest Szatan.

– No i co, uważa pan, że Szatan chodzi po ziemi i pisze teksty?

– Przepraszam, ale właśnie obraziła pani moje uczucia religijne, podważyła pani jeden z dogmatów mojej wiary, jakim jest istnienie Szatana. Było tak: przez otwarte

Kariera polityczna fundamentalisty katolickiego.

Piaskownica Pawła K.

Absurdalna kariera polityczna Pawła Kukiza dowodzi słuszności tezy, którą w czasach, gdy ageizm nie był jeszcze niecenzuralny, zwykł powtarzać Ryszard Bugaj: polityka jest zajęciem dla ludzi dorosłych.

Paweł Kukiz, choć politycznych ambicji miał od cholery, nigdy nie miał ambicji dorosnąć. Smutny koniec faceta, który uważał się za trybuna ludowego, a został klientem Kaczyńskiego, wskazuje, jak źle kończą się dziecięce zabawy w piaskownicy na Wiejskiej.

Ratowanie świętego

To zabawne, bo kiedy w roku 2007 Kukiz po raz pierwszy ujawnił swój polityczny plan („zamarzyłem o powołaniu do życia partii, która byłaby liberalna w kwestii gospodarczego otwarcia na Europę i konserwatywna w poszanowaniu narodowych osiągnięć i tradycji”), mówił, że „nie będzie krzyczeć”, bo „w jego wieku to już nie ma sensu”.

Miał wtedy 44 lata, jego diagnoza pierwszych rządów PiS była wyważona i traciła pewną dojrzałością, choć generalnie nie miał do PiS nadmiernych pretensji: „Wprawdzie prawica ma nieco inny odcień, niżbym sobie tego życzył, ale to wciąż moja opcja. Nie mam zamiaru krytykować czegoś, o co przez całe życie walczyłem. Nawet jeśli oni popełniają błędy, to nie mieliby mi się w głowie, żeby po tym, jak wyśpiewywałem „Jak ja was, kurwy, nienawidzę» pod adresem SLD, miałbym teraz kpić z nowo wybranej władzy. Teraz trzeba czasu, by wszystko się ułożyło, dotarło”.

W 2010 r. Paweł Kukiz – który wcześniej popierał Tuska i Platformę – z dumą ogłosił, że „został fundamentalistą katolickim” i będzie głosiwał na Marka Jurka. Marek Jurek dostał 1 proc. głosów, więc Kukiz uznał, że musi osobiście przystąpić do akcji ratowania ojczyzny.

Angażował się w różne poważne akcje typu „Uratuj świętego” (krucjata modlitewna za poczętych zagrożonych wyskrobaniem) czy „Cała Polska chroni dzieci” (protest przeciwko Europride w Warszawie w 2010 r. – europejskiej paradzie społeczności LGBT, która miała być „pierwszym krokiem do adopcji dzieci przez homoseksualistów”), ale jego wejściem w wielką politykę był ruch Zmieleni.pl, kiedy to podjął próbę „zmiany systemu wyborczego wbrew klasie politycznej” poprzez wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych – JOW-ów.

Zabrać chamom złoty róg

JOW-y to pewny sposób na ekstremalne upartyjnienie sceny politycznej, stworzenie stałego systemu dwupartyjnego, gdzie żaden nowy ruch, niezależny od starej elity, nie ma szans wykiełkować. Widać to dokładnie w USA, przez wiele lat było widać także w Wielkiej Brytanii, na którą Kukiz się powołuje: dopiero śmiertelne znużenie wyborców, zarówno konserwatystami, jak i laburzystami, pozwoliło na zaistnienie innych partii, które mimo to nadal pełnią funkcję wyłącznie

przystawek w koalicjach montowanych przez dwóch hegemonów.

I ten skutek systemu jednomandatowego jest oczywisty: skoro w okręgu jest tylko jeden mandat, to wiadomo, że weźmie go kandydat z jednej z dwóch najsilniejszych partii, a głosy oddane na „trzecią siłę” z zasady idą do kosza. Kukiz uznał z dziecięcą prostotą, że to sposób na odpartyjnienie sceny politycznej, bo „wybierzemy sobie własnych posłów w JOW-ach” i oni zaprowadzą prawdziwą demokrację. Napisał nawet o tym piosenkę: „To nie jest demokracja / Tu rządzi partiokracja / Złodziejka i stagnacja / Trzeba chamom zabrać złoty róg”.

Idiotyczna recepta nie wyklucza trafności diagnozy: Polacy są wkurwieni na partiokrację, nie mają zaufania do systemu politycznego – działacz partii konsekwentnie znajduje się na dnie rankingu prestiżu zawodów. Kukiz ze swoją dziecięcą prostotą trafił do trzech milionów spośród tych wkurwionych, zdobył w wyborach 2015 r. 20 proc. głosów, co dało mu trzecie miejsce. W drugiej turze, zgodnie ze swoim wizerunkiem wywracacza systemu, nie poparł ani Andrzeja Dudy, ani Bronisława Komorowskiego. Za to założył formację, którą z właściwym sobie infantylnym egocentryzmem nazwał Kukiz'15, co z wdziękiem rozwinał jako „Koniec Układu Korupcji i Złodziejstwa”.

Popłynąwszy zbierania

Korupcji i złodziejstwa wprawdzie nie udało mu się zakończyć, ale za to rozpoczął nową karierę: w 52. wiosnę życia był rockman i wysuszony alkoholik został posłem na sejm. Wraz z nim mandaty zdobyło 41 innych osób, dość przypadkowych: od rapera Liroya do legendy opozycji, twórcy Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego, który już za czasów podziemia cieszył się powszechnie opinią świra, a przez ostatnie ćwierćwiecze systematycznie i bezskutecznie kandydował we wszystkich możliwych wyborach od sejmikowych do prezydenckich.

W 2015 r. nowy klub Kukiz'15, trzecia siła w sejmie, zgłosił przeciw powołaniu rządu Beaty Szydło, wytykając piśmowskiej premierzcy, że nie obiecała wprowadzenia okręgów jednomandatowych. Nowa nadzieja dla Polski twardo stała przy swoich ideach.

Klub – jak to bywa w przypadku tego typu przypadkowych zbieranin – zaczął się sypać, zanim jeszcze posłowie wymościли swoimi dupami fotele na Wiejskiej. Szczególnie spektakularny był przypadek posłanki Zwiercan, która zgłasowała za posła Morawieckiego, bo ją poprosił, albowiem musiał akurat wyjść z sali. Posłanka wyleciała z klubu Kukiz'15, choć wyraziła skrucie, dodając, że „nie wiedziała, że to jest niezgodne z prawem”; Morawiecki sam klub opuścił w wyrazie lojalności.

Medialną furorę wywołała też twitterowa kłótnia między Kukizem i jego dawnymi towarzyszami, ze szczególnym uwzględnieniem Marka Jakubiaka – właściciela browaru z sarmackim sznytem i kandydata Kukiz'15 na

prezydenta Warszawy na jesieni 2018 r. 10 dni po wyborach Jakubiak podpadł Kukizowi, wyraziwszy na Twitterze sympatię do dwóch posłów, którzy opuścili jego klub. „I taki bacik po pupci... Widzę to! Wilk w ekstazie (w pończochach), łajany przez Jakubiaka w kadzi, a obok masturbujący się Korwin przy odbycie Kornela” – napisał niedoszły prezydent RP. Kiedy wybuchła gównoburza, Paweł Kukiz najpierw ogłosił, że likwiduje konto na Twitterze, bo „ma do niego dostęp zbyt wiele osób”, w tym byli towarzysze partyjni, ale później skorygował zeznanie: „wczoraj przypomniałem sobie, że to jednak piątkowa noc przejęła i mnie, i moje konto na Twitterze. Kogo nigdy w życiu taki »piątek« nie przejął – niech pierwszy rzuci kamieniem!”, uściślając z młodzieńczym wdziękiem, że „popłynął”.

Polska potrafi, Paweł niekoniecznie

Koncyliacyjna osobowość i dojrzała polityka Pawła Kukiza sprawiły, że pod koniec kadencji z 42 posłów zostało mu 16. W wyborach do PE w maju 2019 jego lista dostała 3,7 proc. Co skłoniło antysystemowego muzyka do szukania porozumienia z ultrasystemową formacją, jaką jest PSL. Na plecach ludowców Kukiz wprowadził do sejmu sześciu posłów, w tym siebie. Rok później kukizowcy zostali wywaleni z klubu PSL–Koalicja Polska za antyeuropejskość. Kukiz założył sobie własne koło, które też szybko zaczęło się rozpadać, ale nadal zostało mu trzech posłów, których w maju 2021 r. przehandlował Kaczyńskiemu, ratując chwiejącą się większość rządową. Wprawdzie w październiku 2022 r. ogłosił, że „zawiesza głosowanie wspólnie z PiS do momentu uchwalenia sędziów pokoju” – to inna z jego koncepcji na temat dobrego rządzenia rodem z „Króla Maciusia” – ale jakoś nie powstrzymało go to od wspierania rządu w ważnych sprawach.

W styczniu tego roku Kukiz poskarżył się w Radiu Zet, że żałuje, iż nie brał subwencji, bo nie ma pieniędzy na walkę o swoje słuszne idee – i już 10 dni później premier Morawiecki kopsnął mu 4,3 mln zł z rezerwy budżetowej na fundację Potrafisz Polsko!. To kompletnie marginalna organizacja, która powstała pod kryptonimem Fundacja Stypendialna Dzieło św. Kingi w 2002 r. i w zasadzie nie działała, dopóki w 2016 nie zapisała się do Kukiza, stając się – wedle słów ówczesnego wicemarszałka sejmu z ramienia kukizowców – „think tankiem Ruchu Kukiz'15”.

Nawiasem mówiąc, lamentując nad błędem, jakim było niebranie dotacji, Kukiz zapomniał wspomnieć, że nie ma firmy, na którą mógłby ją brać. Jego partia Kukiz'15 została wykreślona z rejestru partii w lecie 2022 r., po zaledwie dwóch latach działania, z powodu niezłożenia sprawozdania finansowego za rok 2021.

W piaskownicy Pawła nikt nie zwraca sobie głowy odrabianiem pracy domowej.

AWŁ

Oczywiście

rację mają ci, którzy mówią, że muzyka to kurwa, która pójdzie z każdym tekstem.

A od kilkunastu lat ta muzyka jest przyciężkawa, nuząca, patetyczna do granic śmieszności. Współgra to z okładkami płyt, gdzie pojawiają się notorycznie barwy narodowe. A teksty Kukiza stały się wręcz autoparodią, czego symbolem jest kuriozalna – grana na wojenną nutę „Dnia pierwszego września” – „Dnia czwartego czerwca”. Zawodzącym głosem wykonawca śpiewa o „stolcu okrągłym”, „zdracach ludu”, którzy z „moskiewskimi pachołkami” „podzielili stołki”, a co gorsza, „naród pokłócił, Polskę zrujnowali. Boga się nie boją i nigdy nie bali”.

Prawdę mówiąc, dziś, gdybym spotkała Kukiza, niegdyś sceniczną bestię, niezłego tekściarza i wokalistę, zapytałabym go, któremu polskiemu politykowi zadedykowałby fragment swego kawałka „Rodzina słowem silna” z lat 90. – „Ty kurwo! Odpierdol się. Idź w pizdu, jebaj się, odjeb się”.

K.K.

okno sfrunęła kartka, jakaś siła kazała mi przepisać znajdujące się na niej słowa.

– No i co z tą kartką?
– Spłonęła”.

Grunt to bunt

Na wydanej w 1995 r. płycie „Powrót do rajnu”, kiedy rządził Kwaśniewski i SLD, tradycyjnie dostało się tęskniącym za PRL-em, a przy okazji prawicy i klerykałom („Powróćcie, komuno”): „Jedni chcą faszystów, drudzy księdzę wola, A ja chcę komuny oraz disco polo”.

Poza tym, jak to w tekstach Kukiza, wiele banalnych piosenek, czasem smutnych, czasem wesołych. O picciu alkoholu, dziewczynach. Niemniej zdarzają się piosenki-reportaże, czasem prawdziwe perełki. Choćby o politykach – beczelnych, chamskich, przyjaźniących, mających ludzi w dupie, a zarazem uważających się za wielkie paniska („Do Warszawy jadą pany”). Zabawni są też „Bolszewicy na mszy, czyli pieśń o cudownym nawróceniu”, punktujący przymilanie się dawnych towarzyszy do kleru.

Mnie zapadł w pamięć numer „O, miły doktorze!”. To wstrząsająca opowieść o kobiecie, która znalazła się w matni biedy i ustawy antyaborcyjnej. Idzie do lekarza, który się boi usunąć ciążę. Pan doktor może i by to zrobił, ale kobieta nie ma dość pieniędzy, by opłacić nielegalny zabieg. I musiała się udać do „babu”, która „drut jej tam wsadziła. Dziewczyna się wykrwawiła...”.

Jeszcze pod koniec lat 90. Kukiz pisał teksty, za które Kukiz obecny, kumpel narodowców zblatowany z PiS-em, dałby mu po gębie. Szokująco złośliwy, piętnujący prawacki antysemityzm jest

kawałek „Impresje nacjonalistyczne, czyli rzecz o syna wychowaniu”. Stylizowany jest na rozmowę pobożnego ojca antysemitę z synem. Dla potomności utrwalmy jej fragment:

„– Gdzież zatem pociechy, ojcze mój, szukać, Skoro kraj cały związki z żydostwem posiada?

– Tylko w modlitwie, chłopcze, znajdziesz ukojenie.

– Jakże to? Modlić się do Jezusa, króla żydowskiego, tata?

– Sza, Izaak!!!”.

Skręt w prawo

Wraz z upływem lat Kukiz zmienił swój nomen omen stosunek do prawicy i kleru: kiedyś ich omerdolił, teraz ich pokochał.

Piersi to był zawsze zespół stawiający przede wszystkim na zabawę, wyglupy, muzyczkę prostą i wpadającą w ucho. Nie bez powodu wydał w 1994 r. album „60/70 Piersi i przyjaciele” z rockowymi wersjami polskich hitów sprzed lat. Drogi Kukiza i Piersi się rozeszły. Pewnie Paweł tego żałował, bo na płycie „Piersi i przyjaciele 2” pojawiła się „Bałkanica”, wielki przebój roku 2013.

Coraz starszy wokalista postawił na karierę solową, zyskał nowe grono słuchaczy i stracił większość wcześniejszych fanów. Porzucił ironię i śmieszkowanie na rzecz klerykalizmu i nacjonalizmu (zwanego dla niepoznaki patriotyzmem) oraz wścieklej wrogości wobec PRL-u. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że z żartownisza – niczym Janek Pietrzak – przemienił się w nadętego pajaca.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Wprowadzenie chrześcijaństwa** na ziemi polskie to był olbrzymi przeskok kulturowy, mentalny i obyczajowy. Z wartościami chrześcijańskimi, które dzisiaj wypisywały się i wypisują w wartości podstawowe (tzw. kanon kultury europejskiej), jak chociażby **zmiana podejścia do rodziców** czy do kobiet.

dr Dariusz Kucharski, Radio Maryja, 14 kwietnia

■ **Państwo Polan, a następnie państwo polskie** znalazło się w kręgu kultury zachodniej budowanej na trzech filarach: kulturze greckiej, kulturze i prawie rzymskim i Ewangelii. Polska dzięki temu weszła w świat kultury, nauki i sztuki zachodniej. Przybywając do nas intelektualści ówczesnej Europy – **wykształceniu duchowni i mnisi**. Mnisi szerzyli kulturę agrarną, zakładali szkoły. Misjonarze propagowali nową religię w języku ludowym, ucząc modlitw i podstawowych prawd wiary, co przyczyniało się do ujednolicenia polskiej mowy. Łacina, będąca wówczas językiem nauki i dyplomacji, otworzyła Polaków na świat i wprowadziła też w ówczesny świat polityki. Chrzest Polski jest **fundamentem naszej polskości**, naszej tożsamości i dumy narodowej. Zatem w każdym polskim pokoleniu powinniśmy wracać do źródła, pójść pod prąd do początków.

ks. prof. Stanisław Nabywaniec, „Masz Dziennik”, 14 kwietnia

■ **Jako społeczeństwo polskie** pochodziliśmy z genotypu religijnego, jeszcze przedchrześcijańskiego, gdzie podejście do religii było bardziej delikatne, niekrwiożercze. Wydaje mi się, że dzięki temu była większa łatwość przyswojenia wartości, jakie niosło chrześcijaństwo. Tymi wartościami były **braterstwo, wolność, prawo do własności**, godność człowieka i do tego, że każdy człowiek bez względu na to, czy jest bogaty czy biedny, może starać się w bytowaniu ziemskim o uzyskanie godnego życia po śmierci, czyli raju.

dalej Kucharski

■ **Chrzest Polski** to był to **akt prawdy**, która dotąd jest dla nas obowiązująca. Człowiek, który do tej pory czcił stworzenie jako bóstwo, czy to w postaci kamieni, czy w postaci przyrody, piorunów, czy jakiegokolwiek postaci, przeszedł do ważnego etapu, to znaczy do czci samego Stwórcy. (...) Trudności cywilizacyjne, z jakimi się współcześnie spotykamy, polegają na **starym bałwochwalstwie**, czyli chęci powrotu do czczenia człowieka, czyli stworzenia jako bóstwa i detronizacji samego Stworzyciela.

abp. Stanisław Gądecki, PAP, 14 kwietnia

■ **Chrystus prosił siostrę Faustynę**, aby przekazała nam, żyjącym obecnie, szczególne przesłanie: „Powiedz zbolelej ludzkości, niech się przyluli do miłosierdnego Serca mojego, a Ja ją napelnę pokojem”. Zboleła ludzkość to przecież my, ludzie boleśnie dotknięci „pandemią”, narody cierpiące z powodu wojen (jak m.in. na Ukrainie czy w Syrii). Rodzice o zbolełach sercach, których **dzieci zasłuchane w syreni śpiew ideologów LGBT**, ekologizmu czy piewców apostazji, odchodzą od Boga, wiary i Kościoła.

Adam Białous, PCh24.pl, 16 kwietnia

■ **W roku 1995, na prośbę Episkopatu Polski, Jan Paweł II, gorący czciciel Miłosierdzia Bożego**, wprowadził to święto dla wszystkich diecezji w Polsce. Natomiast w dniu kanonizacji siostry Faustyny (30 kwietnia 2000 roku) ten sam papież ogłosił Święto Bożego Miłosierdzia dla całego Kościoła. To pewnie jeden z głównych powodów, dla którego papież Jan Paweł II jest dziś tak **mocno atakowany** przez „budowniczych” nowego **bezbożnego świata**.

dalej Białous

■ **Ci, którzy najgłośniej krzyczą** o współczuciu wobec przeżywającej tragedię po samobójczej śmierci dziecka rodziny [Mikołaja Filiksa – W.K.], nie mieli i nie mają żadnego współczucia wobec innych bohaterów swoich tekstów, np. duchownych niesłusznie oskarżanych o **przestępstwa pedofilii**. dr Jolanta Hajdasz, dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Radio Maryja, 16 kwietnia

■ **Wyjaśnienie do końca i – w ramach możliwości – ukaranie odpowiedzialnych** za zbrodnię smoleńską, ale także za **oszustwo smoleńskie**, to jest jeden z warunków naszego **ostatecznego zwycięstwa**. Zwycięstwa tej lepszej Polski, Polski nieidealnej, ale Polski, w której naprawdę dąży się do tego, by ludzie mieli realnie równe prawa i by nikt nie cierpiał głodu, by każdy mógł znaleźć dla siebie jakieś miejsce.

Jarosław Kaczyński, przemówienie, 16 kwietnia

Wybrał **WALDEMAR KUCHANY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Kanalik pierwszej Polki

Samotnia bratanicy prezesa.

„Wszyscy Polacy są równi wobec prawa i wobec wszystkich musi być ono równo sankcjonowane” – powtarza Jarosław Kaczyński. Tak wytyczne prezesa realizuje jego rodzina i dwór.

Jezioro Szymon leży na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, na urokliwym odcinku między Giżyckiem a Mikołajkami. Dupy nie urywa. Ot, okrągła, płytka miska o podmokłych, trudno dostępnych brzegach. Obszar Chronionego Krajobrazu Krainy Wielkich Jezior Mazurskich.

W pobliżu jeziora ma nieruchomość spółka Jana Investment, której prezesuje Piotr Zieliński. Jest trzecim mężem pierwszej Polki Marty Kaczyńskiej. Spółka specjalizuje się w hodowli bydła. Została założona w 2015 r. przez Anasa Salahadina Adiego i Bassela Mansoura, a jej kapitał założycielski to 50 tys. zł. Mało, ale wg Krajowego Rejestru Sądowego Anas Salahadin, szerzej znany jako polski król sushi, jest związany z 63 firmami, więc wie, jak rozkręcić dobry biznes.

Marta Kaczyńska lubi samotnię nad Szymonem i często tu pomieszkuje.

Droga

O mazurskim rajy Marty Kaczyńskiej zaczęło być głośno przy okazji budowy drogi ekspresowej S16. W 2021 r. media doniosły, że są trzy warianty jej przebiegu. Preferowany jest wariant C: droga ma przebiegać pół kilometra od samotni. Kilka miesięcy później ustalenia trafiły do kosza.

– Co się takiego zdarzyło, że Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zmieniła rekomendację? Czyje interesy zostały naruszone? – pytał Piotr Jakubowski, burmistrz Mikołajek. Przedstawił swoją teorię: – Bezpośrednio jest tym zainteresowana spółka z obcym kapitałem, w której władzach są osoby związane z rządzącymi w kraju prominentami. Mieszkańcy doskonale wiedzą, kto tam mieszka. To żadna tajemnica – juddi!

GDDKiA wymiękła, kiedy urzędnicy uświadomili sobie, że w samotni Kaczyńskiej będzie słychać hałas z drogi? Skąd! Oto oficjalne wyjaśnienia GDDKiA: owszem, „wariant C wy-

padł najlepiej według kryteriów technicznego i ekonomicznego”. Owszem, „uzyskał więcej punktów”. Ale tylko „nieznacznie więcej”. Jak wiadomo, w Polsce najbardziej liczą się ludzie. A „lokalna społeczność negatywnie oceniła przebieg drogi w wariantcie C, składając bardzo dużą liczbę protestów”.

Kanal

Ledwo przycichła sprawa drogi, miejscowi rybacy postawili na nogi Zarząd Zlewni Wód Polskich w Giżycku. – Z samotni Kaczyńskiej zbudowano kanał do jeziora Szymon. 150 metrów długości, kilka szerokości, tak, żeby mógł płynąć jacht. I port. Zniszczono naturalną linię brzegową jeziora, ucierpiała roślinność i zwierzęta – krzyczeli. – Czy odbyło się to pod kontrolą naukowców? Są na to papiery? – pytali. Był marzec 2022 r.

Aby kanał i port były legalne, potrzebna była decyzja o warunkach zabudowy, pozwolenie wodnoprawne, pozwolenie na budowę. Należało wydeptać ścieżki do trzech urzędów (gmina, starostwo, Wody Polskie).

– Nic nie wiemy – oświadczyli urzędnicy.

Zgodnie z art. 475 ustawy Prawo wodne za uszkodzenie lub zniszczenie brzegów śródlądowych można trafić do paki na rok.



Rys. HENRYK CEBULA

przekop zrobili żli ludzie, np. Donald Tusk, w celu kompromitacji PiS.

– Na tym etapie nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie – powiedział rzecznik. Przyznał, że stan faktyczny jest taki: podkopano 276 mkw. jeziora, usuwając trzcinę i istniejące dno (działka skarbu państwa). Na działce spółki Jana Investment wykopano kanał o powierzchni 4845 mkw. W trakcie rozmowy w ogóle nie pojawiła się myśl, że kanał był, a obecny właściciel jedynie go udrożnił.

To dziwne, bo w każdym opracowaniu dotyczącym jeziora Szymon są informacje, że prowadzi do niego wiele rowów melioracyjnych. Należało od razu wziąć taką możliwość pod lupę. Prawdopodobieństwo, że również w tym miejscu był kiedyś jakiś kanał, było bardzo duże. Dlaczego prokuratura potrzebowała roku, aby sprawdzić rozwiązanie najkorzystniejsze dla rodziny panującego?

Na koniec coś śmiesznego. Naukowcy zajmujący się mazurską przyrodą wyliczyli, że w minionym roku doszło do 100 umyślnych dewastacji brzegów jezior mazurskich. To niedopuszczalne, sami wiecie czemu. Jest więc reakcja państwa. Tuż odpowiedzialne za ochronę wielkich jezior mazurskich – od Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska po wojewódzkiego komendanta policji, w sumie siedem bardzo ważnych instytucji – podpisały porozumienie o jeszcze ściślejszej współpracy w celu zwalczania nielegalnych działań ze strony użytkowników wód śródlądowych.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rów

Kilka dni temu media doniosły, że spółka zarządzana przez Piotra Zielińskiego nie popełniła przestępstwa. Kanał istniał już wcześniej. Nikt o nim nie wiedział, bo był zarośnięty. Jana Investment jedynie udrożniła ściek, czyli zrobiła przyrodzie dobrze. Prezes Zieliński powinien dostać medal, a nie być ciąganym przez prokuraturę.

Wody Polskie zapewniły, że zgadzają się z tą oceną i nie będą się odwoływać. Urządzenia melioracyjne muszą być utrzymywane w odpowiednim standardzie, a w to utrzymanie wpisuje się usuwanie przeszkód niepozwalających wodzie spływać swobodnie.

Opinia publiczna zgłupiała. Tak się składa, że gadałam z prokuratorami w trakcie śledztwa, i to były ciekawe rozmowy.

Kulisy śledztwa

Zwykle po wpłynięciu zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa prokuratura wysyła w teren śledczego, aby przeprowadził oględziny, oraz przesłuchuje świadków. W tym przypadku zaniechano tych podstawowych, podręcznikowych czynności. Prokurator od razu powołał biegłego.

WIEŚCI GMINNE I INNE

W miejscowości Pasieka na drogę wojewódzką nr 819 wtargnęła rozszalała łódź. Jadąca asfaltem toyota ostro hamowała. Samochód wpadł do rowu. Wywrócił się na dach. Przyleciał helikopter Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, aby ożywić znajdującą się w aucie dzieci i dwie osoby dorosłe. Jak donosi portal Lublin112.pl, sprawca wypadku został ukarany mandatem. Wreszcie! Wreszcie policja wzięła się za łosie.

Na 28 kwietnia zapowiadane jest otwarcie międzynarodowego portu lotniczego Warszawa-Radom, który jak nazwa wskazuje, znajduje się w Radomiu. Pierwszy ma tam wylądować samolot z Paryża, inaugurujący tak długo oczekiwane połączenie lotnicze Paryża z Radomiem. Dyrektor lotniska Grzegorz Tuszyński powiedział: „Wierzymy, że ten projekt się uda – znaczy lotnisko, jako przedsięwzięcie biznesowe”. Trochę nas to martwi. Zdawało nam się, że wydatkowanie prawie 900 mln zł na inwestycję, która już raz zbankrutowała, opierało się na szacun-

kach makroekonomicznych, a nie na wierze. Oczywiście źle się nam wydawało – bo to wiara czyni cuda, a biznesplanu nie. A cuda będą dyrektorowi Tuszyńskiemu bardzo potrzebne.

Kwitnie natomiast lotnisko w Rzeszowie, gdzie rzeczywiście zdarzył się cud, bo nikt nie planował, że Putin rozpęta wojnę z Ukrainą. Napisał o tym brytyjski dziennik „Financial Times”. Jest to druga publikacja o Rzeszowie tej dostojnej gazety w ostatnim kwartale. Organ międzynarodówki kapitalistycznej rekomenduje inwestowanie w przyrzeszowskie nieruchomości, których ceny wzrosły o 50 proc. Zdaniem ekspertów dziennika to nic nie szkodzi, bo Rzeszów będzie rozkwitał jeszcze przez następne 10 lat. Skąd oni to wiedzą?

Chciałoby się powiedzieć, że po sześciu latach, w których było 3,5 roku opóźnienia, kończy się remont magistrali kolejowej z Warszawy do Poznania. Planowany – dodajmy – na 2,5 roku. Nie mówmy jednak hop, bo minister infrastruktury Andrzej Bittel mówił to o grudniu. Czyli jeszcze chwila, zakładając, że chodziło mu o grudzień tego roku. Dziwi nas bardzo taki stan spraw, gdyż inżynieria budowlana i finansowa to rzekomo nauki ścisłe. Jak to się zatem dzieje, że tacy ściśle wyedukowani inżynierowie myślą się w swoich stosunkowo prostych obliczeniach o ponad 100 proc.? Zapewne taki bałagan jest starannie za-

planowany, o czym po prostu nie byliśmy informowani.

Przed Konsulatem Ukrainy w Krakowie podpalili się, polawszy wcześniej benzyną, 63-letni Ukrainiec. Na znak protestu przeciw innym nieco młodszym obywatelom Ukrainy, którzy o siódmej rano wystawili przed tym konsulem wiadomo po co, zamiast z bronią w ręku umierać na froncie od ognia ruskiego napalmu. Facet, kiedy czytacie te słowa, prawdopodobnie już nie żyje. To oznacza, że ma szczęście. Krakowska prokuratura bowiem wszczęła śledztwo w sprawie narażenia na utratę życia przez samopodpalacza nieustalonych osób stojących razem z nim pod konsulem. Za to – gdyby żył – mógłby iść na trzy lata do więzienia.

Dobra wiadomość nadeszła natomiast z Wrocławia. W tamtejszym zoo urodziły się języki uszate. Języki uszate wyglądają mniej więcej tak jak zwykle jeże z uszami kangura. Jeżeli wybieraliście się do zoo zobaczyć coś ciekawego, to już nie do Łodzi, gdzie przechwalały się słoniami, co do których wyglądu wiadomo wszystko. Jedźcie do Wrocławia, gdzie w pawilonie Sahara zobaczycie zwierzątko, o których istnieniu nie mieliście przecież do teraz żadnego pojęcia.

Jak podała Komenda Miejska Policji w Koszalinie, dwóch obcokrajowców poruszało się białym Citroënem ul. Jana Pawła II.

Kierowca stracił panowanie nad pojazdem. Zjechał na pas zieleni i wykarczował kilka znaków drogowych oraz młodych drzewek. Policja nie może ustalić, który z cudzoziemców prowadził pojazd. Obaj byli napierdoleni jak szpadle. Myślę się w zeznaniach nawet po wytrzeźwieniu. Informujemy prawosławnych braci w wierze, że my tu mamy teraz taką uchwałę, zgodnie z którą kozaczenie po pijaku na ulicy tego świętego imienia to już nie tylko wykroczenie drogowe. To jest gorzej, niżbyście małym dzieciom główki siekierami odrąbywali.

Zdziwili się pasażerowie pociągu odjeżdżającego z Dworca Gdańskiego w Warszawie, który miał ich zawieźć, według zapowiedzi, do Terespoła na granicy z Białorusią, kiedy obudzili się w stolicy Węgier Budapeszcie. Polskie Koleje Państwowe wyraziły ubolewanie z powodu tej sytuacji. Zapewniły, że będą minimalizować podobne błędy mogące występować w przyszłości.

Czarnoskóra mieszkanka Wrocławia pomyliła park Tolpy z afrykańską sawanną. Biegała pomiędzy drzewami zupełnie nago, pokrzykując na spacerujących białych wrocławian w swoim rodzimym suahili. Następnie wykapła się w stawie. Najciekawsze nie nastąpiło. Przedstawienie przerwały policja i karetka pogotowia.

Policyjna ekipa śledcza wyposażona w najnowszy sprzęt przez pięć miesięcy

szukała zagubionego telefonu wiceministra MSWiA Błażeja Pobożego z PiS. W końcu telefon został odszukany. W warszawskim ratuszu u jednego z urzędników Trzaskowskiego z PO. Chłopina się tłumaczył, że ajfona znalazł. Chciał oddać, ale nie wiedział komu. Liczył, że właściciel zadzwoni. Sprawa i tak trafiła do prokuratury na okoliczność, że znalazca mógł być sobie urządzenie przywłaszczyć. Ważna informacja jest taka, że to precyzyjne namierzanie telefonów przez policję do śledzenia wszystkich i wszędzie to pic na wodę, skoro najważniejszego zagubionego telefonu najmłodszej gliniarce, wyposażonej w jeszcze mądrzejsze maszyny, szukali prawie pół roku.

Potwierdzenie powyższej tezy dał obywatel Chin, który ze smartfonem marki Xiaomi był przez 8 lat poszukiwany przez polską policję w związku z niestawieniem się do zakładu karnego, aby odsiedzieć zasądzone więzienie. Chińczyk specjalnie się nie ukrywał. Podróżował po Polsce i świecie ze swoim telefonem i prawdziwym paszportem. Wielkopolska policja zlokalizowała mężczyznę wskutek „działań operacyjnych”. Znaczący ktoś go podpierdolił.

R.J.

Informacje z kraju i z Warszawy czerpalismy ze źródeł niewiarygodnych, zatrudniających tzw. pracowników mediów. Ostatni prawdziwi dziennikarze umarli w zeszłym roku, ewentualnie dogorywają na emeryturach. Nie mające pretensji ani nie piszące pozwów, że jesteście oszukiwani. Trzeba było kupować sobie prenumeratę, kiedy lekarze jeszcze żyli. Teraz recepty wypisywać wam będą salowe.

Kanał widzę ogromny

**Albo na dnie,
albo na plaży
na kocu – byle
lec z honorem.**

PiS zrobiło swoje i we wrześniu ogłosiło, że Polska uniezależniła się od Rosji na odcinku północnym. Zaczy wykopala kanał przez Mierzeję Wiślaną. I to nawet bez miliardów za bursztyn, który miał przedsięwzięcie sfinansować, ale go nie było.

Miesiąc po uroczystym otwarciu przekopu urzędnicy pracujący dla wiceministra infrastruktury Marka Gróbarczyka zorientowali się, że inwestycja, na którą poszły ponad 2 mld zł, to faktycznie kanał. I to dokładnie taki, o jakim fachowcy mówili od lat. Polegał on na tym, że przekop zrobiono, ale co zrobić z przekopem, żeby do niego nie dokładać na bieżąco, nikt nie wiedział.

Okręt podwodny w kałuży

Zaczęły się tajne rozmowy z MON. Skoro bowiem przekop był wymierzony w Rosję, to głównym beneficjentem tego powinno być wojsko.

Ludzie Gróbarczyka uznali, że armia ma wielomiliardowy budżet, a dzięki kanałowi może szachować ruski garnizon morski w Bałtyjsku. Powinna więc dokładać się do strategicznego przedsięwzięcia. Dzięki niemu mogłyby prawie pod rosyjski port wojenny podpływać polskie okręty podwodne.

Ludzie Błaszczaka osłupieli. Czegoś tak głupiego jeszcze nie słyszeli. Żaden okręt podwodny nie przeszedłby przez przekop, a nawet gdyby, to nie dałby rady przepłynąć nawodnie przez Zalew Wiślany, bo jest tam za płytko. A poza tym po cholerę puszczać na Bałtyjsk okręty podwodne, jeśli baza jest w zasięgu strzału nawet najstarszych armat czy haubic.

Śluza dla kajakarzy

Wyśmiane urzędasz Gróbarczyka musiały wymyślić coś innego. Zwłaszcza że media dobierały im się do tyłka, publikując statystyki ruchu przez przekop. Wynikało z nich, że do 3 marca przepłynęło tamtędy 545 pływaków. Jedynie większe jednostki, które przepłynęły w tym czasie, to „statki techniczne, wykonujące prace w ramach pozostałych części inwestycji”. Kursowały wte i wewte nawet parę razy dziennie. Poza nimi kanałem popieprzały jachty.

Nie było tego, o czym PiS opowiadało od lat. Statków płynących z morza, wiozących do Elbląga multum towarów. Być zresztą nie mogło, bo przekop jest, ale do Elbląga trzeba wykopać w dnie Zalewu Wiślanego rynną zwaną torem wodnym. Ma mieć 23 km długości i zapewnić statkom 4,5 m zanurzenia, żeby nie szorowały o dno.

Ludzie, którzy liźnęli nieco morskiego biznesu, już dawno wyliczyli, że nawet gdyby to zrobić, miliardy wydane na przekop są miliardami wydanymi bez sensu. „Inwestycja może zwrócić się za 450–500 lat, jeśli zwielokrotnią się przewozy i stawki opłat portowych” – oceniał prof. Włodzimierz Rydzkowski z Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego w 2019 r., kiedy koszt inwestycji był szacowany na niecały miliard złotych.

**Skoro
wpompowano
w przekop 2 mld zł,
to na zwrot tej kasy
przyjdzie nam
poczekać 1000 lat.
Pod warunkiem że
przez ten czas
poziom mórz nie
podniesie się na
tyle, że ład
w Elblągu będzie
widniał tylko na
bardzo starych
mapach.**

Z inwestycji oczywiście cieszą się tylko ci, których firmy dostają deszcz pieniędzy za realizację tej megagłupoty. Jak choćby spółki zakontraktowane przez Elbląg do zrobienia w mieście przygotowań do powstania portu. Przygotowań, bo za 100 mln zł, które wyklada miasto,

nikt konkretnego nadbrzeża rozładunkowego nie postawi.

Gróbarczyk zapowiada, że przed wyborami tor żeglugowy do Elbląga będzie wykonany. Kłamie. To, o czym mówi, to droga wodna z Zatoki Gdańskiej przez Zalew Wiślany do Elbląga, która składa się z nieco ponad 10 km przez Zalew Wiślany, 10 km przez rzekę Elbląg i ok. 2,5 km odcinka, gdzie mają być śluza i port zewnętrzny oraz stanowisko postojowe.

Zostaje jeszcze kilkaset metrów w samym Elblągu, gdzie trzeba pogłębić, a tak naprawdę zbudować port od nowa. Taka budowa to gigantyczna kasa, którą PiS chciałby dać zarobić swoim. Prezydent Elbląga też ma zaprzyjaźnionych przedsiębiorców, ale nie ma kasy. Chciałby ją dostać od rządu i wydawać wedle uznania. Na to rząd się nie zgadza, bo chce, żeby teren portu miasto przekazało państwu. Przepychanki trwają i nie ma co liczyć, że do wyboru coś się zmieni.

Denny interes

Najmieszniejsze, że nawet gdyby był tor wodny i port w Elblągu, to i tak opowieści o rozwoju miasta i regionu będzie można włożyć między bajki.

Przecież do Elbląga będą mogły zawiązać jedynie statki o zanurzeniu mniejszym niż 5 metrów. Czyli co najwyżej barki, i to na dodatek

wąskie, bo przekop pomieści tylko jednostki mające do 20 m szerokości. Obowiązującym na świecie standardem jest zanurzenie wynoszące 15–16 m. Zdaniem ekspertów zanurzenie do 4,5 m jest dobre dla jednostek przewożących suche ładunki masowe, jednak tankowce lub mniejsze jednostki przewożące kontenery potrzebują torów wodnych do 8 m. O ile pogłębianie torów wodnych jest niezbyt trudną operacją, o tyle jednak budowa nowej głębszej śluzy może być problemem za kolejne miliardy zł.

Port Gdańsk obsługuje statki o zanurzeniu wynoszącym do 15 m. Głębokość gdańskiego toru wodnego wynosi 17 m. Mogą więc do niego dopływać jednostki transoceaniczne wożące mnóstwo towaru i dzięki temu będące tanimi przewoźnikami.

Elbląg nie będzie więc nawet wsparciem dla portów w Gdańsku i Gdyni. Przecież 60 km od Elbląga działa terminal kontenerowy w Gdańsku, który jest w stanie przeładowywać 3 mln kontenerów rocznie. Ba, w Gdańsku jest również terminal ładunków suchych. Poza tym drogą ekspresową S7 kontener z Gdańska dotrze do Elbląga i okolic w ciągu niecałej godziny. Dlaczego więc ktoś chciałby transportować go dłużej przez przekop i zalew?

Zwłaszcza że polegałoby to na tym, że najpierw wielki statek przypływałby do Gdańska lub Gdyni, po czym część towaru przepakowywał

by na barki płynące do Elbląga. Tylko po to, żeby je tam znów wypakować i wsadzić na wagony kolejowe, na które w Gdańsku trafiłyby dwa dni wcześniej.

Brak dotacji i chęć szczerą

Skoro sensowność portu w Elblągu to ściema, a wojsko nie dołoży ani złotych, wiceminister Gróbarczyk kazał szukać rozwiązań mogących choć częściowo zrekomensować szmalec, który trzeba będzie co roku wydawać na utrzymanie toru wodnego do Elbląga. Koszt ten wyliczono na 500 mln do 1 mld zł. I nie chodzi o to, że tor trzeba nieustannie pogłębiać, bo Zalew Wiślany jest mulisty i zaraz zasypie denną rynną toru wodnego. Trzeba będzie na Zalewie utrzymywać dużą flotę łodołamaczy. Skoro nawet tej zimy Zalew potrafił zamarznąć, uniemożliwiając prace pogłębiające, to co będzie, gdy wróćą niegdyś zimy, które rozsławiły tę część Polski na świecie największymi akwenami lodowymi do uprawiania żeglarstwa zimowego, czyli bojerów?

Z biznesowymi pomysłami ruszyli w sukurs rządowi samorządowcy z okolic Zalewu Wiślanego. Jeśli opowiadać, że region jest wyjątkowo słabo zurbanizowany. A jego walory turystyczne są niedostatecznie wykorzystane. Na przekopie skorzystają: Krynica Morska, Tolkmicko, Braniewo, Frombork, Sztutowo i miejscowości przyległe. Inwestycja zainicjuje rozbudowę infrastruktury turystycznej, a także remonty nabrzeża (jak w przypadku Tolkmicka) oraz modernizację i rozbudowę portu we Fromborku. Oczywiście to wszystko wtedy, gdy rząd da na to szmalec.

Podobnie jak wszystko, co związane z przekopem, to też ściema. Łatem na mierzei nie ma gdzie wcisnąć szpilki. Po drugiej stronie zalewu pustki. Jedyne połączenie między Fromborkiem a Krynica Morską to komercyjny stateczek turystyczny pływający rzadziej niż częściej. Dlaczego nikt z lokalnych geniuszy nie wpadł na to, żeby przy braku miejsc noclegowych na mierzei turyści łatem mogli spać w Tolkmicku czy Fromborku, skąd na plażę w Piaszkach, Skowronkach lub Krynicy woziliłyby ich odpływające i przypływające co godzinę małe promy? A po plaży przywoziły na nocleg. Zamiast coś zrobić samorządowcy wolą jęczeć i ssać szmalec od rządu. I oczywiście go dostaną, po czym wydadzą na jedyną sensowną z ich punktu widzenia rzecz – na przystanie, gdzie będą mogły zimować jachty. Na tym zarobią tylko krewni i znajomi wójtów i burmistrzów. Zwykli ludzie, którzy mogliby się dorobić na wynajmie pokoi, nie będą z tego mieli nic.

Cwański okazali się ludzie z Żeglugi Gdańskiej. Właśnie zaczęli zarabiać na przekopie, organizując rejsy z Gdańska, które kończyć się będą na mierzei. Rejs trwa trzy godziny, a na miejscu statek cumuje przez dwie godziny. Jak ktoś chce, to nim wraca. A jak nie, to w cenę biletu wliczony ma rower, którym może dopedałować do Gdańska.

Ktoś może – nie bez racji – uznać, że kilkugodzinne płynięcie tylko po to, żeby zobaczyć śluzy i most, jest bez sensu. Ale może amatorzy się znajdują i ktoś na tym zarobi. Zwłaszcza że to jeden z dwóch pomysłów na zarabianie na przekopie. Drugi – autorstwa prezydenta Elbląga – zakłada, że będzie można dojechać do jego miasta samochodem, wsiąść na prom i dopłynąć na Hel. Po co taka fatyga? Tego prezydent Wróblewski nie wyjaśnił.

TADEUSZ JASIŃSKI

Chłopcy z ferajny

Jak premier walczy z biurokracją w swoim rządzie.

W 2017 r. wybuchła afera z nagrodami, kiedy to wyszło na jaw, że najważniejsi urzędnicy w państwie – premier, wicepremierzy, ministrowie i wice-ministrowie oraz wojewodowie i wicewojewodowie – otrzymali do podziału 6 mln zł. Aby przykryć skandal, Mateusz Morawiecki zapowiedział odchudzenie rządu.

„Chciałbym przedstawić propozycję zmian. Sprawne i efektywne państwo działa w oparciu o profesjonalne kadry, a nie o rozbudowaną biurokrację. Nie ilość, a jakość. Zaczynamy od siebie. Dlatego zmniejszymy skład ministrów i wiceministrów” – oświadczył premier w marcu 2018 r. podczas konferencji „Sprawne państwo”.

Morawiecki zarządzał wówczas potężną armią dygnitarzy. Mówił: „mamy dzisiaj łącznie liczbę 126 osób na stanowiskach ministerialnych i wice-ministerialnych – sekretarzy i podsekretarzy stanu – i w ciągu najbliższych paru miesięcy – dwóch, trzech miesięcy – chcemy tę liczbę zmniejszyć, zredukować o 20–25 proc.”.

W ciągu kilku dni Morawiecki zdymisjonował 21 ministrów i wiceministrów. Była to jednak czysto piarowa zagrywka. Większość z odwołanych znalazła potem zatrudnienie na innych „ważnych” stanowiskach. Np. **Rafał Bochenek**, były minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (KPRM) i rzecznik rządu, został pełnomocnikiem ministra środowiska ds. szczytu ONZ; były wiceminister przedsiębiorczości i technologii **Piotr Woźny** został pełnomocnikiem premiera ds. czystego powietrza; były wiceminister środowiska **Andrzej Szweda-Lewandowski** został generalnym dyrektorem ochrony środowiska, a byłego wiceministra zdrowia **Jarosława Pinkasa** ulokowano na ministerialnym stołku w KPRM jako pełnomocnika rządu do spraw organizacji struktur administracji publicznej właściwych w zakresie bezpieczeństwa żywności.

W następnych miesiącach rząd przechodził jeszcze kilka restrukturyzacji, m.in. w związku z wyborem części ministrów do Parlamentu Europejskiego, a jego liczebność wahała się w granicach 100 dygnitarzy.

Pomimo szumnych zapowiedzi Morawieckiego o walce z biurokracją rząd rozrasta się w zaskakującym tempie i wkrótce pobije rekord wszech czasów. Już teraz tworzy go 112 ministrów i wiceministrów.

Część z nich ulokowana jest w KPRM.

Umoczony w afery respiratorową i maseczkową były wiceszef resortu zdrowia **Janusz Cieszyński** został pełnomocnikiem rządu ds. informatyzacji.

Co ciekawe, ministrem odpowiedzialnym za informatyzację jest też w KPRM Adam Andruszkiewicz, były działacz Ruchu Narodowego zamieszany w aferę z lewymi podpisami na liście poparcia komitetu wyborczego Młodzieży Wszechpolskiej w wyborach samorządowych w 2014 r.

czerwca 2021 r. i są publikowane na Telegramie na kanale Poufna Rozmowa.

Ministerialną posadę w KPRM dostał też **Andrzej Klarkowski**, specjalista od sondaży społecznych, były doradca w Kancelarii Sejmu, jeden z pasażerów, których razem z rodziną i znajomy-



W KPRM na ministerialnym stołku (szefa kancelarii) został ukryty były marszałek sejmu **Marek Kuchciński**, za którym ciągną się skandal z wykorzystywaniem rządowych samolotów do celów prywatnych i oskarżenia o korzystanie z usług nieletniej prostytutki z Ukrainy. Kuchciński zastąpił na tym stanowisku innego „aferzystę” **Michała Dworczyka** (nadal jest ministrem), którego służbowe maile z prywatnej skrzynki wyciekają od

mi marszałek Kuchciński woził rządowym samolotem. Gdy w 2019 r. doszło do strajku nauczycieli, Klarkowski śledził trendy w sieci. Z maila ujawnionego na Poufnej Rozmowie wynika, że powołując się na serwis Polityka w Sieci, który przedstawił zasięgi wzmianek o strajku nauczycieli, pisał: „Wyżej wymienione dane jednoznacznie wskazują, że pomimo wsparcia (coraz słabszego) #strajknauczycieli w dużych miastach partia

rządząca skutecznie komunikuje się ze swoim elektoratem na terenach wiejskich oraz małych miast. Nauczyciele jako grupa w następnych kilkudziesięciu godzinach zostaną dobitci i poniżeni falą hejtu. Dynamika zasięgów i zainteresowania wskazuje, że strajk będzie tracił na dynamice, a zdenerwowanie rodziców będzie rosło. Politycznie i wizerunkowo PiS utrzyma poparcie w swoim twardym elektoracie”.

Facet, który wyleciał z hukiem ze stołka ministra finansów za burdel związany z Polskim Ładem – **Tadeusz Kościński** – znalazł schronienie w KPRM w randze sekretarza stanu jako pełnomocnik rządu do spraw pozyskiwania źródeł finansowania dla przedsięwzięć służących wzmocnieniu bezpieczeństwa i obronności państwa, cokolwiek to znaczy.

Włodzimierz Tomaszewski, choć nie kieruje żadnym ministerstwem, został członkiem rządu tylko dlatego, że należy do Partii Republikańskiej Adama Bielana, czyli przystawki PiS. Aby miał co robić, Morawiecki dał mu nadzór nad Departamentem Współpracy z Samorządem KPRM. Według doniesień „Gazety Wyborczej”, Tomaszewski miał stosować mobbing wobec podległych mu urzędników.

Rolę przystawki PiS odgrywa też była posłanka Kukiz'15, a obecnie szefowa koła Polskie Sprawy **Agnieszka Ścigaj**, która została ministrem bez teki.

Zbigniew Hoffmann też jest ministrem bez teki. Choć formalnie pełni funkcję sekretarza Komitetu Rady Ministrów do spraw Bezpieczeństwa Narodowego i spraw Obronnych, to jego faktycznym zadaniem jest nadzorowanie tego, co się dzieje w KPRM. Hoffmann uważany jest za ucho prezesa PiS, a złośliwi mówią, że częściej można go spotkać na Nowogrodzkiej w siedzibie partii niż w ministerialnym gabinecie.

Za rządów PiS kancelaria premiera urosła do niebotycznych rozmiarów. Łącznie z Morawieckim pracuje w niej 25 ministrów, składa się z 50 biur i departamentów. Niektóre dublują swoje zadania i zostały stworzone tylko po to, aby dać zatrudnienie działaczom partyjnym i znajomym królika. I tak utworzono np. Departament Spraw Obywatelskich i Departament Społeczeństwa Obywatelskiego, Departament Polityki Cyfrowej i Departament Regulacji Cyfrowych, Departament Analiz i Departament Analiz Systemu Bezpieczeństwa Państwa, Departament Cyberbezpieczeństwa i Biuro Pełnomocnika Rządu do spraw Cyberbezpieczeństwa.

Wraz z pączkowaniem dygnitarzy rosną też koszty utrzymania administracji. O ile jeszcze za rządów PO–PSL budżet KPRM był w miarę stabilny na poziomie 126–146 mln zł, to po dojściu do władzy PiS gwałtownie wzrósł. W 2018 r. wynosił już 345 mln zł, w 2022 r. – 830 mln zł, by w 2023 r. urosnąć do gigantycznej kwoty 1,5 mld zł.

ANDRZEJ SIKORSKI

Fikołki pod Ziobrą

Jak Służba Więzienna ćwiczyła marnotrawienie publicznych pieniędzy.

Miał być profesjonalny tor przeszkód dla klawiszy szkolących się w podległym Zbigniewowi Ziobrze Centralnym Ośrodku Szkolenia Służby Więziennnej w Kaliszu (teraz mieści się tam kampus Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości). Zamiast tego postawiono kilka zespawanych metalowych rurek i przykręconych do nich desek, za które zapłacono prawie 370 tys. zł. Przekretnie udało się zatuzować dzięki sygnaliście, który poinformował Najwyższą Izbę Kontroli (NIK), a ta prokuraturę.

Jak się dowiedziałem w Prokuraturze Regionalnej w Poznaniu, tamtejsi śledczy skierowali do sądu akt oskarżenia przeciwko osobom odpowiedzialnym za przepuszczenie w nadzwyczaj spektakularny sposób publicznych pieniędzy. Są to: były komendant COSSW płk Ryszard C., jego zastępca ppłk dr Maciej G. (obecny zastępca dyrek-

tora Zakładu Karnego w Gębarzewie) i Anna L., pracownica działu kwatermistrzowskiego. Mieli oni dopuścić się tzw. przestępstwa urzędniczego, tj. z artykułu 231 kodeksu karnego, stanowiącego, że „funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Oskarżenie przez upolitycznioną prokuraturę podwładnych Ziobry budzi zdumienie. Dotychczas podobne sprawy były skracane. Wytłumaczenie jest jedno: albo prokuratorzy stracili czujność, albo dowody na popełnienie przestępstwa przez wysokich rangą funkcjonariuszy SW są tak mocne, że nie było jak zamieść sprawy pod dywan. Oficerom SW trudno będzie się wymigać od odpowiedzialności.

Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł budowy toru przeszkód, ale w czerwcu 2019 r. COSSW w Kaliszu zawarł umowę z firmą Pomet z Wro-

nek na wykonanie robót. Pomet to nie była firma, ale przedsiębiorstwo państwowe (specjalizujące się w spawalnictwie) podległe Ministerstwu Sprawiedliwości, mające status przywieźniennego zakładu pracy (zatrudniającego więźniów). Gdy Ziobro został ministrem sprawiedliwości, nakazał, aby wszelkie prace remontowo-budowlane w zakładach karnych i instytucjach należących do SW wykonywane były właśnie przez przywieźnienne zakłady pracy (jest ich kilkanaście).

Z posiadanych przeze mnie dokumentów wynika, że po dojściu do władzy PiS Pomet złapał wiatr w żagle, a zamówienia zaczęły do niego spływać szerokim strumieniem. Tylko w latach 2017–2018 przedsiębiorstwo dostało 122 zaproszenia od jednostek penitencjarnych na wykonanie robót, złożyło 76 takich ofert, z których większość wybrano do realizacji. Pomet miał tyle zleceń, że przestał nawet odpowiadać na oferty składane przez zakłady karne. Dzięki robotom budowlanym firma w latach 2017–2018 osiągnęła przychód ponad 95 mln zł.

Ponieważ Pomet nie miał ludzi ani sprzętu do wykonywania większości prac zleconych przez Służbę Więzienną, musiał podnajmować firmy zewnętrzne, choć zobowiązywał się do samodzielnego przeprowadzenia robót. Tak też było w przypadku toru w Kaliszu. Czyli Pomet był tylko po-

średnikiem. Zgarniał kasę, nie brudząc sobie ręk. Jednak 370 tys. zł za kilka rurek i desek wbitych w ziemię to gruba przesada.

Kontrolerzy NIK, którzy oglądali tor przeszkód, byli w szoku. Nieprawdopodobne jest, żeby ktoś przy zdrowych zmysłach mógł za to zapłacić tyle pieniędzy. Komendant COSSW płk Ryszard C. tłumaczył się głupio, że „jako obiekt specjalistyczny, projektowany i wykonywany na indywidualne zamówienie jest obiektem nietypowym i nie ma możliwości zweryfikowania rynkowych cen tego obiektu”. Jego zastępca ppłk Maciej G. twierdził zaś, że wykonanie toru zlecono Pometowi, gdyż rzekomo nie było innych chętnych wśród firm mających status przywieźniennych zakładów pracy.

Gdyby Polska pod rządami PiS nie była państwem z dyktu, powinien zostać rozpisany przetarg, który wyłoniłby wykonawcę oferującego najkorzystniejszą cenę i jakość usługi. Tymczasem według opinii biegłego powołanego przez NIK zaprojektowanie i wybudowanie podobnego obiektu nie powinno przekroczyć maksymalnie 65 tys. zł. Spokojnie można się było zmieścić w przedziale cenowym 40–50 tys. zł.

Tor w Kaliszu jest częścią gigantycznej afery w Służbie Więziennnej. W podobny sposób, omijając prawo, wydatkowano ponad 560 mln zł przy budowie hal, w których pracować mieli więźniowie. Przekręt polegał na tym, że przywieźnienne zakłady pracy dostawały wielomilionowe zlecenia na budowę, ale zamiast zająć się robotą, zlecały to podwykonawcom – prywatnym firmom wybranym w zaciszu gabinetów, nie wiadomo na jakich zasadach.

W związku ze stwierdzonymi nieprawidłowościami NIK skierowała do prokuratury kilkanaście zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez szefa SW gen. Jacka Kitlińskiego i dyrektorów zakładów karnych i aresztów śledczych. Kontrolerzy zarzucili im nadużycie uprawnień i niedopełnienie obowiązków. Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa. Wisienką na torcie okazały się przepłacone rurki i deski toru w Kaliszu.

ANDRZEJ SIKORSKI

MÓZDZEK

Polacy i ci nieliczni cudzoziemcy, którym coś mówi nazwisko premiera polskiego rządu, wiedzą, że Morawiecki to blagier. Kłamię rano, kłamię w południe, kłamię wieczorem. Mija się z prawdą w sprawach wielkich i małych. Wprowadza w błąd, fantazjuje, zmyśla, ściemnia i kręci. Taki premier to wstyd.

Jak wiadomo z mejli Dworczyka, Morawiecki był tak nieostrożny, że kłamiąc i nie kłamiąc (co



TYGODNIA

zdarza się nawet zatwardziałym łgarzom) w korespondencji służbowej, posługiwał się prywatną skrzynką mejlową. Żeby nie wyszedł na kompletnego ignoranta, premier tłumaczył się, że mejle do i od Dworczyka to wymysł rosyjskiej propagandy. Kto upiera się przy tym, że ujawnione pisowskie mejle są prawdziwe, ten zdradca i ruski szpion.

Można się było spodziewać, że po ujawnieniu afery mejlowej tylko wyjątkowo tępy pisowiec nadal

będzie używał prywatnego mejla do korespondencji wagi państwowej. Nie ma jednak takiego bałwana, żeby Morawiecki nie był od niego większym matole. Na stronie internetowej Poufnarozmowa.top ujawniono, że długo po wybuchu afery mejlowej i po agresji Rosji na Ukrainę premier Polski wysyłał służbowe mejle z prywatnego adresu mateusz.morawiecki1941@gmail.com, a nawet wysyłał z adresu rządowego – z rozszerzeniem „kprm.gov.pl” – i kierował je na prywatny adres prezesa Obajtka, który ma skrzynkę z rozszerzeniem „interia.pl”.

Gorszy od krętacza jest tylko głupi krętacz, a wśród głupich krętaczy najgłupszy jest premier Morawiecki, czyż nie?

W szeregach ziobrystów znów zapanała wzmożona aktywność. „Unia Europejska chce zawiadnąć polskimi lasami. Chce przejąć kontrolę nad jedną trzecią terytorium Polski” – mówił wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski w lesie w Głubczycach podczas inauguracji nowej kampanii Solidarnej Polski. Partia Zbigniewa Ziobry chce zebrać 100 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy „W obronie polskich lasów”. Projekt – według zapowiedzi autorów – ma „chronić kompetencje Polski w zakresie leśnictwa i nie pozwolić na to, żeby te kompetencje były zawłaszczane przez UE”. Szkopuł w tym, że lasów należałoby zacząć bronić przed kolegami Ziobry, a nie przed Unią Europejską.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w wyroku wydanym 2 marca przyznał rację polskiemu organizacjom ekologicznym domagającym się od Lasów Państwowych lepszej dbałości o przyrodę oraz umożliwienia kontroli społecznej nad LP.

TSUE stwierdził, że Polska narusza przepisy unijne w dwóch istotnych obszarach: polskie prawo nie gwarantuje organizacjom ochrony przyrody możliwości zwrócenia się do sądu z żądaniem zbadania legalności planów zarządzania lasu (PUL), a dodatkowo okazało się, że gospodarka leśna prowadzona zgodnie z wytycznymi Lasów Państwowych w ramach tzw. kodeksu dobrych praktyk nie ma nic wspólnego z ochroną przyrody.

Idą, idą leśni (z SP)...

Po wyroku politycy Solidarnej Polski, z wiceministrem klimatu nadzorującym Lasy Państwowe Edwardem Siarką na czele, dostali wkurwu. I nic w tym dziwnego, bo Polska będzie musiała jak najszybciej wprowadzić przepisy, które dadzą polskim obywatelom możliwość kontrolowania tego, co w dobie kryzysu klimatycznego Lasy Państwowe robią z najcenniejszymi zasobami przyrodniczymi, a kartel ziobrystów, który z LP zrobił sobie kurę znoszącą złote ją, stanie na rzeszach, żeby do tego nie dopuścić.

Dlaczego Solidarna Polska, która zrzesza 20 posłów i mogłaby złożyć projekt odpowiedniej ustawy w sejmie, bawi się w zakładanie komitetu inicjatywy ustawodawczej i zbieranie podpisów? To sprytny element kampanii dezinformacyjnej, który, jak pokazuje historia, już raz całkiem gładko przeszedł mimo ciężkiego kalibru i absurdalności. Kiedy w 2014 r. koalicja PO-PSL znależowała ustawę o Lasach Państwowych, aby wymusić na nich płacenie jakichkolwiek podatków (konkretnie 800 milionów rocznie przez dwa lata, a potem 2 proc. rocznych przychodów), bo ta państwowa jednostka zawiadująca ćwiercią powierzchni kraju w zasadzie nie płaciła ich wcale, Prawo i Sprawiedliwość rozdarło szaty, że PO chce prywatyzować Lasy Państwowe. Naturalnie wedle pisowskiej modły Platforma miała je wyprzedawać głównie cudzoziemcom („für Deutschland”), tak żeby Polacy mogli to dobro narodowe w postaci drzew, czystego powietrza, grzybów i jagód oglądać tylko zza płotu.

Było to oczywistą bzdurą, ale że ciemnemu ludowi nie trzeba dwa razy powtarzać, wżarło się w świadomość obywateli niczym brud za pazury. Kłamstwo zassało tak dobrze, że PiS postanowił pójść o krok dalej i zaczął zbierać podpisy pod wnioskiem o referendum przeciwko nieistniejącemu projektowi prywatyzacji lasów. Partia zebrała dwa i pół miliona podpisów. Dwa i pół miliona ludzi tyknęło gładko, jak setkę wódki do śniadania, wyssane z prawicowej dupy kłamstwo.

Dziś, kiedy unijny Trybunał Sprawiedliwości pogroził prawnym palcem praktykom – nazwijmy rzecz po imieniu – rabunkowej gospodarki leśnej, Zbigniew Ziobro, który nie życzy sobie, żeby ktoś mu się wpierdalał do interesu, postanowił odgrzać ten kotlet. W wywiadzie dla „Naszego Dziennika” o obronie polskich lasów i pomysłach regulacji rodem z Solidarnej Polski mówił, że są one konieczne, by utrzymać nad lasami polski zarząd i uchronić je przed prywatyzacją. To realne zagrożenie, ponieważ w Parlamencie Europejskim toczą się prace nad włączeniem leśnictwa do tzw. kompetencji dzielnych Unii Europejskiej. W praktyce oznacza to przejęcie kontroli nad polskimi lasami i paraliż gospodarki leśnej.

Otóż gówno prawda! Nawet jeśli leśnictwo byłoby wpisane na listę kompetencji dzielnych, Polska nie straci władzy nad lasami. UE przyjmuje tzw. zasadę pomocniczości, czyli przejmuje kompetencje dopiero wtedy, kiedy uzna, że zrealizuje zadanie lepiej od kraju członkowskiego. Unia nie przejmie również polskich lasów i nie będzie ich nikomu sprzedawać. Zwyczajnie nie ma prawnej możliwości przejęcia gruntów od Lasów Państwowych. No ale kto by się tam wczystywał? Machina ruszyła, zła Unia chce zakazać wstępu do co trzeciego lasu, wprowadzić agresywną politykę klimatyczną i wyeliminować polską konkurencję na rynku europejskim. A to mendo!

Państwo w państwie

Lasy Państwowe – zarządzające prawie jedną czwartą terytorium Polski, liczące przychody w miliardach złotych i samodzielnie decydujące o tym, co robić z zasobami leśnymi i gotówką –

Ludzie Ziobry krzyczą, by bronić polskich lasów przed Unią Europejską. A kto je obroni przed koleżkami Ziobry?

Ciągnie Zbyszka do lasu

ILUST. KRZYSZTOF OLEJNIK

to państwo w państwie. Tylko w 2021 r. LP zanotowały 10 mld zł przychodu, wypracowując zysk w postaci 700 mln zł netto. Rekordowe ceny drewna na rynku przekładają się na gigantyczne zyski Lasów. Olbrzymie sumy nie podlegają jednak ścisłemu nadzorowi, jak ma to miejsce w spółkach skarbu państwa. Bo LP spółką skarbu państwa nie są. Nie są nawet przedsiębiorstwem państwowym, tylko jednostką organizacyjną państwa powołaną do zarządzania lasami i prowadzenia gospodarki leśnej. A polskie prawo nie przewiduje mechanizmów kontroli i korygowania wydatków LP.

Pieniądze z Funduszu Leśnego, który w teorii powinien być przeznaczony dla nadleśnictw na wyrównywanie niedoborów powstających przy realizacji zadań gospodarki leśnej i dotyczących administracji publicznej w zakresie leśnictwa, w praktyce stał się skarbonką (podobnie jak wcześniej Fundusz Sprawiedliwości, który miał pomagać ofiarom przestępstw i osobom wychodzącym z pierdła na wolność) ludzi z Solidarnej Polski. A tłusta to świnka – w 2021 r. FL wyniósł ok. 1 mld zł, nie dziwi więc, że ludzie Ziobry dostali szału na myśl o tym, że ktoś może odstawić ich od cycka.

W maju 2022 r. dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica ogłosił, że 136 mln zł z Funduszu Leśnego zostanie przeznaczone na budowę i remonty lokalnych dróg, które nie mają nic wspólnego z lasami. Tak się składa, że Kubica jako członek Solidarnej Polski hojnie dotuje regionalne mateczniki swojej partii. Politycy Solidarnej Polski w wielu przypadkach podczas medialnych uroczystości osobiście wręczają lokalnym samorządom czeki od Lasów Państwowych na remont lub budowę drogi. W takich wydarzeniach uczestniczy często również wiceminister klimatu Edward Siarka nadzorujący Lasy Państwowe z ramienia Solidarnej Polski. I biznes się kręci!

Dobro wspólne Solidarnej Polski

Posłanka Magdalena Filiks, matka nastoletniego Mikołaja, którego pisowska szczupnia doprowadziła do samobójstwa, zajęła się badaniem gospodarności wydatków w Lasach Państwowych. Gdy w ramach kontroli poselskiej Filiks oznajmiła, czego ma ona dotyczyć, zarządcy Lasów odmówili współpracy. „Okazało się, że tematem mojej kontroli ma być

temat bardzo poważny, bardzo rozległy i bardzo niewygodny, a mianowicie wydawanie pieniędzy przez Lasy Państwowe na kupowanie reklam, stricte promocji marketingowych czy wywiadów z politykami za ogromne pieniądze, bo mówimy tu o wielkich milionach złotych. Kiedy pracownicy Lasów Państwowych zobaczyli temat i zakres mojej kontroli, przegrali tę kontrolę i nie udostępnili mi dokumentów, bo wiedzieli, o co pytam, i widzieli, że tam jest łamane prawo, jeśli chodzi o kwestię procedury przetargowej” – mówiła posłanka 1 lutego w lokalnym szczecińskim Twoim Radiu.

To Magdalena Filiks ujawniła wyniki kontroli konkursu „Drewno jest z lasu”, w ramach którego z rąk nominatów Ziobry rozdysponowano 11 mln zł, głównie dla parafii i kurii. Wkrótce potem TVN opublikował materiał na ten temat, a Filiks od informatora z Lasów Państwowych dostała ostrzeżenie, że „planują tę szmatę uciszyć”.

Jak potoczyły się dalej wypadki, wszyscy pamiętamy.

Siarka i Kubica w wydanym oświadczeniu przekonują, że skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, jest kolejną próbą zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego, co może doprowadzić do jego upadku, a w efekcie do nagłego skokowego wzrostu bezrobocia na terenach wiejskich i drastycznego wzrostu cen wyrobów drewnianych. Doprawdy paradne! Eksport drewna iglastego z Polski do Chin rośnie w zastraszającym tempie. Według Polskiej Izby Gospodarczej Przemysłu Drzewnego w pierwszym kwartale 2023 r. prognozowany eksport drewna iglastego do Chin wyniesie ponad 300 tys. m³. To rekord! Analitycy rynkowi potwierdzają, że sprzedaż drewna z Polski do Chin wzrosła ponad czterokrotnie w porównaniu do roku 2021, co też przełożyło się na ceny surowca w Europie i problemy polskiej branży drzewnej.

Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł z Solidarnej Polski powiedział, że do lasów „powinna wchodzić polityka, bo polityka to dobro wspólne, narzędzie realizacji dobra wspólnego”. „A naszym dobrem wspólnym są państwowe lasy” – dodał. Diabeł w ornat się ubrał i ogonem na mszę dzwoni, chciałoby się rzec.

IDALIA DUBICKA

✱ Powierzchnia lasów w Polsce (z gruntami związanymi z gospodarką leśną) to 9435 tys. ha, stanowi około 6 proc. powierzchni lasów Unii Europejskiej. Lesistość Polski wynosi 30,8 proc. (w stosunku do powierzchni lądowej) i jest zbliżona do przeciętnej lesistości świata (30,6 proc.).

✱ Lasy Państwowe to monopolista na polskim rynku drewna, pozyskujący ok. 95 proc. drewna w Polsce.

✱ Systematycznie rosną przychody i zysk netto Lasów Państwowych. Przychód w 2021 r. wyniósł 10 mld zł i był prawie dwukrotnie wyższy niż w 2008 r. Zys netto w 2021 r. osiągnął ponad 700 mln zł i był ponad trzykrotnie wyższy niż w 2008. Zdecydowana większość (ok. 90 proc.) przychodów Lasów Państwowych pochodzi ze sprzedaży drewna pozyskanego w lasach należących do Skarbu Państwa. W 2021 r. było to 8,9 mld zł.

✱ Pomimo rosnących zysków Lasów Państwowych w latach 2016–2021 suma rocznych wydatków tej instytucji na ochronę przyrody (suma wydatków bezpośrednich i dofinansowanie działalności parków narodowych ze środków Funduszu Leśnego) spadła o 17 proc. i była w 2021 r.

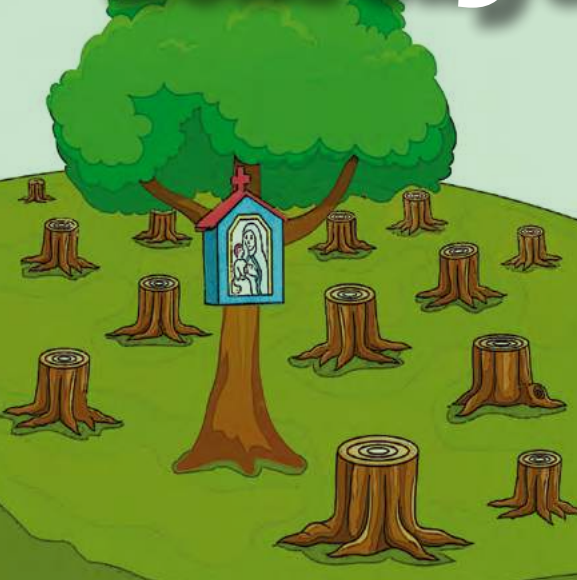
równa zaledwie 0,5 proc. przychodów Lasów Państwowych. Na wynagrodzenia wydano w tym samym roku 59 razy więcej.

✱ Głównymi beneficjentami rosnących zysków ze sprzedaży drewna pozyskanego w lasach należących do Skarbu Państwa są sami pracownicy Lasów Państwowych. Średnie miesięczne wynagrodzenie osoby zatrudnionej w Lasach Państwowych wzrosło w 2021 r. o 15 proc. w stosunku do 2020 r. i wyniosło 9048 zł brutto, czyli 16,3 proc. średniego wynagrodzenia w polskiej gospodarce.

✱ W Lasach Państwowych od wielu lat utrzymuje się problem przerostu biurokracji i zatrudnienia. W 2021 r. Lasy Państwowe zatrudniały 25,5 tys. osób, w tym zdecydowaną większość (93 proc.) na stanowiskach nierobotniczych. Liczba pracowników na stanowiskach nierobotniczych na 1000 ha zarządzanego lasu jest w polskich Lasach Państwowych ponad dwukrotnie wyższa niż średnia dla podobnych instytucji w UE (3,3 w Polsce; 1,4 w innych państwach UE). I.D.

Źródło danych: raport „Lasy na sprzedaż. Jak Lasy Państwowe uwłaszczyły się na wspólnych lasach” opracowany przez Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot.

Stumilowy dobrobyt



FYS. KRZYSZTOF OLEJNIK

My, ateści

To jak masz w końcu na imię: Bóg, Allah czy Jahwe?

W tym roku swoje dziesięciolecie obchodzi Fundacja im. Kazimierza Łyszczyńskiego, kierowana przed dwoje niezmordowanych działaczy: Ninę Sankari i Marka Łukaszewicza. Jej patron, Kazimierz Łyszczyński, był polskim szlachcicem, który w roku 1689 został w najokrutniejszy sposób, staraniem biskupów oraz w ich asyście, stracony na warszawskim rynku za napisanie (nieopublikowanego) dzieła „De non existentia Dei”, czyli „O nieistnieniu Boga”.

Nic dziwnego, że polscy ateści pamiętają o swego rodzaju męczenniku sprawy ateizmu i wolnomyślicielstwa. Niemal co roku na rynku w Warszawie odbywa się inscenizacja historyczna „ścinania głowy” – organizowana przez Koalicję Ateistyczną – z udziałem któregoś z polskich ateistów, wcielających się w Łyszczyńskiego. Jest ona jedną z atrakcji organizowanych na przełomie marca i kwietnia Dni Ateizmu, podczas których organizowane są też konferencje i dyskusje. Tak było również w tym roku, a w rolę Łyszczyńskiego wcieliła się Agnieszka Wołk-Łaniewska z tygodnika „NIE”.

W tym roku Warszawę odwiedził też najbardziej znany w świecie autor antyreligijnych i ateistycznych książek, brytyjski biolog ewolucjonista Richard Dawkins.

Autor „Samolubnego genu” oraz „Boga urojonego” otrzymał od Fundacji im. Kazimierza Łyszczyńskiego na wół żartobliwą nagrodę – statuetkę Ateisty Wszech Czasów, a że było to chwilę po jego 82. urodzinach, były również tort i „Sto lat”.

Dawkins jest nie tylko autorem wydawanych na całym świecie w milionowych nakładach książek, w których zwalcza tzw. kreacjonizm czy teorię inteligentnego projektu, powołując się na teorię ewolucji i genetykę, lecz również działaczem społecznym. Od lat wspiera ruch na rzecz ochrony praw małych człekokształtnych, a także – jak się dowiedzieliśmy podczas spotkania w Warszawie – współpracuje z organizacją pomagającą byłym duchownym różnych wyznań, a zwłaszcza byłym imamom, którzy w wyniku porzucenia stanu duchownego znaleźli się w poważnym kryzysie i niebezpieczeństwie.

Albo – albo

Dawkins twierdzi, że wyobrażenie sobie osobowego stwórcy świata jest hipotezą jak każda inna, a więc domaga się dowodów. To bardzo ważna teza, bo zwykle opowiadacze religijnych mitów twierdzą, że ich tezy są „prawdami” z jakiegoś innego „porządku”. Nie ma żadnych dwóch porządków prawdy – albo coś jest prawdą, albo nie. Albo coś miało miejsce jako pewien fakt, albo nie. Albo jest osoba, która istnieje odwiecznie i z nicości podziwiała świat ku istnieniu, albo nie ma takiej osoby. Trzeba przyznać, że ten rodzaj racjonalności jest dla religii zabójczy. Łączy on bowiem w sobie zdrowy rozsądek z szacunkiem dla nauki i dla prawdy. A jeśli dodać do tego humanizm i humanitaryzm, wynikające z wolnego od przesądów naukowego światopoglądu, to coś, co na początku mogłoby się wydawać płaskim praktycyzmem, zmienia się w poważną formację duchową, bez kompleksów konkurującą z tzw. światopoglądem religijnym. Richard Dawkins jest najbardziej znanym w świecie reprezentantem i promo-

torem takiej właśnie pozytywistycznej formacji. Jest w niej miejsce dla nauki, lecz również dla etyki opartej na szacunku dla równości i różnorodności, na demokratyzmie i poczuciu solidarności społecznej. Nie trzeba chrześcijańskiego miłosierdzia, aby być wrażliwym, dobrym i zaangażowanym społecznie człowiekiem. Ba, nie trzeba też miłosierdzia ateistycznego. Wystarczy być wychowanym na rozumnego i niesamolubnego człowieka. Religia nie ma tu nic do rzeczy. Żeby czynić dobro, wcale nie trzeba wyobrazić sobie, że służy się w ten sposób jakiemuś Bogu czy bogu.

Imię prawdziwego boga

Dawkins jest ateistą w typie scjentystycznym. Najważniejszy jest dla niego autorytet nauki i oddzielanie tego, co naukowe, od tego, co jest mitem, legendą, swobodną grą wyobraźni. Istnieją wszelako także innego rodzaju ateści, a wśród nich sceptycy, którzy nie dowierzają ani religii, ani nauce.



Co łączy tych dwojakiego rodzaju ateistów?

Najprościej odpowiedzieć na to pytanie poprzez formułę „nierobiący wyjątków”. Każdy wyznawca jakiegokolwiek religii, w której występuje postać wielkiego ducha, stwórcy świata w pełni go kontrolującego, zupełnie lekceważy analogiczne istoty występujące w mitologiach innych wyznań. Jak ktoś wierzy w Allaha, to ani myśli na serio brać ewentualności istnienia Zeusa. Jak ktoś wierzy w Jahwe, to nie zaprzęta sobie głowy

rozważaniem istnienia Trójcy Świętej, czyli Boga. A jak ktoś jest ateistą, to zachowuje się podobnie, z tą tylko różnicą, że nie robi wyjątku dla żadnej tego typu istoty. Może więc powiedzieć, dajmy na to, katolikowi: „Nie wierzę w Boga, tak jak ty nie wierzysz w Atona ani w Ahurę Mazdę”.

To jednakże sprawy nie załatwia, bo wielu wiernych rozmaitych religii żywi przekonanie, że każdy wyznawca dowolnej innej tzw. religii mono-teistycznej ma w sobie załazek wiary w tę „prawdziwą” najwyższą istotę i modłą się do bóstwa fałszywego, w gruncie rzeczy czci „prawdziwego” stwórcę. I tak muzułmanie myślą, że katolicy, modlą się do Boga, tak naprawdę wyznają Allaha, a katolicy myślą, że Allah to to samo co Bóg, tylko po arabsku. To oczywiście nieprawda, lecz prawdą jest za to, że w poszczególnych językach usiłuje się nadawać imieniu własnemu najwyższego bóstwa znaczenie jakby ogólne. W ten sposób podkreśla się uniwersalizm własnej religii, a jednocześnie jej supremację. Muzułmanie mówią: „Katolicy na swój sposób są ludźmi wierzącymi, bo wyznając Boga, może ułomnie, lecz zwracając się do Allaha, gdyż w gruncie rzeczy słowo »Bóg« nazywa u nich Allaha”. Dokładnie tak samo postępują katolicy polscy, wyobrażając sobie, że „Allah” to po prostu „Bóg”, tylko że po arabsku. Nic z tych rzeczy! „Bóg” to postać z polskojęzycznych tekstów religijnych, a „Allah” to inna postać, a mianowicie z religijnych pism arabskich. Fakt, że są między nimi znaczne podobieństwa. Faktem są również ogromne między nimi różnice. Dość powiedzieć, że Allah jest jeden w jednej osobie, a Bóg jest „jeden w trzech osobach”. Tak czy inaczej, obaj, to znaczy muzułmanin i katolik, zgodzą się, że sporo ich łączy, a za to wiele różni od ateistów.

Kto wybudował dom

To prawda. Ateista oprócz tego, że traktuje obojętnie i z dystansem wszelkie mity (bez robienia wyjątku dla jednego ich zestawu), to jeszcze odżegnuje się od wyjaśniania istnienia świata w sposób, który nawiązywałby do obrazu osoby, postanawiającej coś uczynić, a następnie postanowienie to wcielającej w czyn. Tak, ateista nie tylko odrzuca wszystkie religie, nie robiąc wyjątków dla „jedyniej prawdziwej”, lecz jednocześnie nie zadowala się ideą, że sko-

ro istnieje świat, to ktoś musiał go stworzyć.

I to jest w tym wszystkim najważniejsze. Wyznawcy Boga, Jahwe czy Allaha sądzą, że ze światem jest tak jak z domem: skoro stoi dom, to ktoś musiał go wybudować. Hipoteza jak hipoteza, lecz skąd się wziął ten ktoś, kto stworzył świat? Pewnie sam się stworzył albo istnieje wiecznie. No ale to samo można przeciw powiedzieć o świecie... Ateista nie musi mieć sprecyzowanych poglądów na temat pochodzenia świata. Co więcej, różni ateści mogą mieć różne poglądy metafizyczne. Mogą na przykład uznawać, że istnieje w bycie coś absolutnego, wiecznego i doskonałego. Tyle że z pewnością taki absolut w niczym nie przypomina osoby. Bo niby dlaczego miałby być jak osoba? Bo akurat my jesteśmy osobami, czyli istotami mającymi świadome życie psychiczne? Bardzo to naiwny i egoistyczny sposób myślenia.

Ateizm nie polega na braku „metafizycznego słuchu”. Nie oznacza też żadnego deficytu uczuć moralnych, a nawet przeżyć wzniosłości i twórczości egzystencjalnej, tak typowych dla życia religijnego. Można być sentymentalnym, wrażliwym, poetycznym i lirycznym ateistą, tak samo jak można być cynicznym i zgorzkniałym teistą.

Ateista różni się od innych po prostu tym, że nie traktuje poważnie „wyjaśniania” świata działaniem wielkiego ducha.

Niby drobna rzecz, lecz zmienia bardzo wiele. W świecie bez wielkiego ducha trzeba umieć żyć na własną odpowiedzialność, czynić dobro, nie oczekując nagrody, a nade wszystko zaakceptować własną śmiertelność. Ateista wie, że śmierć jest naprawdę, a nie na niby. Nie ma nadziei na zbawienie i życie wieczne w niebie. Za to odczuwa zażenowanie na myśl o tym, że dorośli ludzie pragną raju i ludzają się bajeczkami o nieśmiertelności. Bo ateizm to kwestia dojrzałości, a nie światopoglądu.

JAN HARTMAN

Zajadli katolicyści obskuranci robią wszystko, by pognać tych, których uważają za swoich wrogów. Pójdą nawet rączka w rączkę z zajadłym ateistą, byle tylko racja była po ich stronie.

Richard Dawkins to brytyjski biolog i ewolucjonista. Najbardziej jednak jest znany z tego, że robi za boga ateizmu. Z tego właśnie powodu wierzący w niego polscy ateści sprowadzili go sobie do Rzeczypospolitej, by wziął udział w odbywających się na przełomie marca i kwietnia Dniach Ateizmu. Nim jednak do Polski przyjechał, zdążył być gościem w programie brytyjskiego dziennikarza Piersa Morgana, nadawanym w internetowej telewizji Talk TV. Tam właśnie uprzejmy był wygłosić pogląd, który szczególnie przypadł do gustu polskim katoportalom. „Jako biolog [stwierdzam]: istnieją tylko dwie płcie i to wszystko na ten temat” – podchwycił słowa Dawkinsa portal Fronda.pl, a z zapalem sekundował mu portal Katolickiej Agencji Informacyjnej eKAI.pl. Odpowiedź Dawkinsa padła w kontekście transfobicznego pytania Morgana o zdominowanie debaty publicznej o transpłciowości przez wąskie grono aktywistów domagających się uznania tożsamości płciowej osób płciowo nienormatywnych.

Transów nie ma, jest Harry Potter

Może nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że i Morgan, i Dawkins sytuują się w tej rozmowie po stronie modnego ostatnio na Zachodzie transfobicznego ruchu sceptyków kwestionujących indywidualność przeżywania tożsamości płciowej oraz to, że może być ona inna od płci przypisanej przy urodzeniu oraz może odbiegać od sztywnego podziału na kobiecość i męskość. Wyznawcy tego ruchu wierzą, że wyznacznikiem płci człowieka jest biologia, tzn. geny, ewentualnie genitalia (w zależności od tego, kto tam co bierze pod uwagę), i że jest to jedynie słuszne podejście do zagadnienia płci, bo naukowo – „biologicznie” – uzasadnione.

Pomnikową postacią wspomnianego ruchu jest autorka książek o Harrym Potterze, J.K. Rowling, która plecie w tychże książkach najprzeróżniejsze dyrdymały o czarach, gusłach i zaklęciach, co jednak nie przeszkadza jej być w kwestii osób transpłciowych zasadniczo „naukową”. Dzięki temu ostatnio na świecie

pani Rowling zaczyna uchodzić bardziej za królową transobów niż za wziętą pisarkę, a publicznie odcinało się od niej już wiele znanych postaci, że wspomnimy choćby Daniela Radcliffe’a, aktora wcielającego się w postać Harry’ego Pottera

w serii filmów na podstawie książek Rowling.

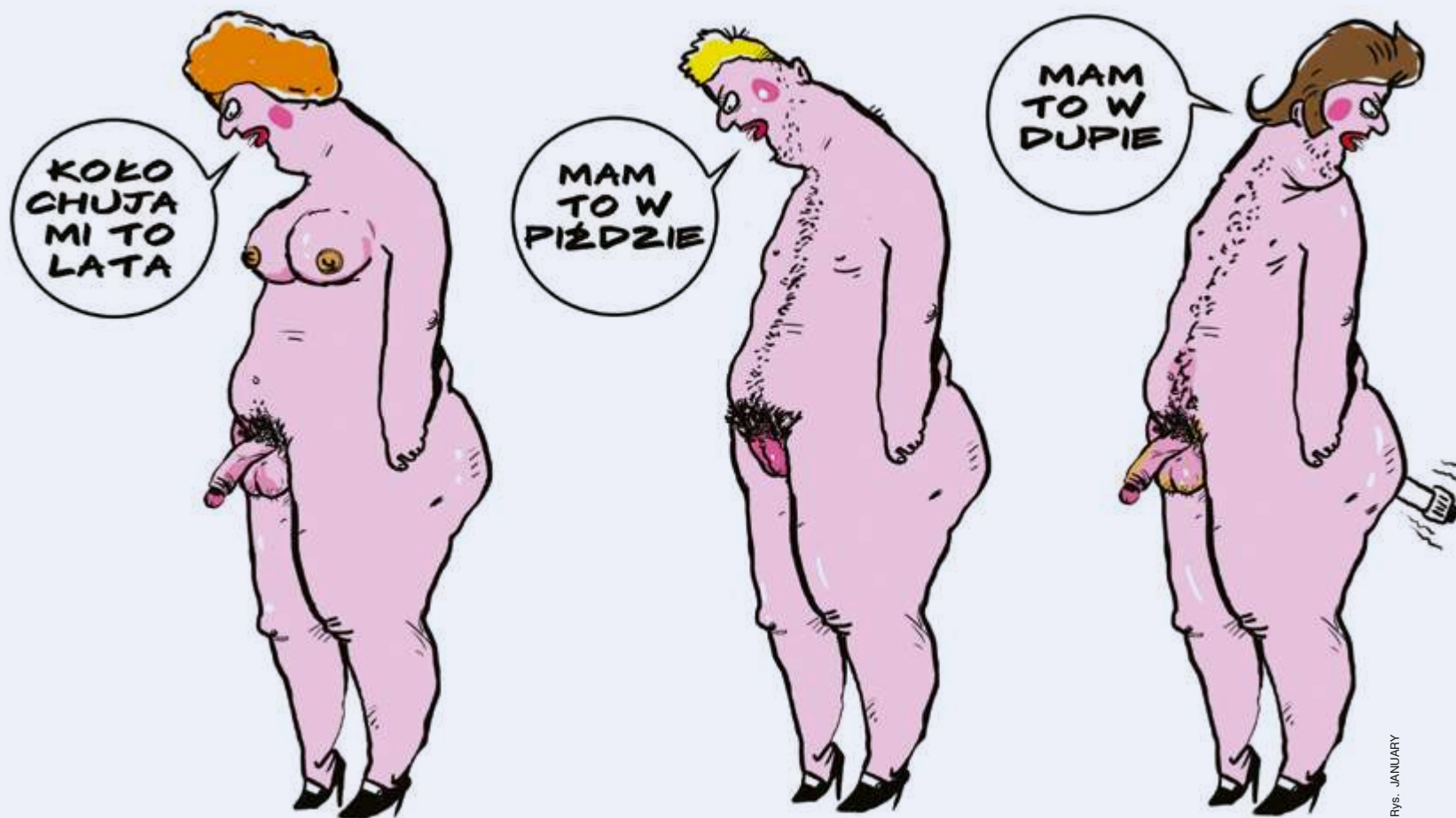
W telewizyjnej wypowiedzi Dawkinsa nie obyło się zresztą bez utyskiwań nad złymi transami, którzy srodze ukrzywdzili panią Rowling, nazywając ją transfobką i odmawiając jej wszelkich zasług dla światowej kultury.

(Nie tylko) chromosomy, głupcze!

Ale wracając do Dawkinsa jako biologa... Nie wiemy, gdzie bożyszcze ateuszycy uczęło się tej biologii (Wikipedia powiada, że na Oksfordzie), lecz wychodzi na to, że w jakiejś szkółce niedzielnej. Jeżeli bowiem ktoś, kto uważa się za biologa, twierdzi, że są tylko dwie płcie, to nie powinien głośno powtarzać tego, że jest biologiem,

Bóg jest nagi

Walczący ateista, bożyszcze lewaków, został wciągnięty na katolickie sztandary jako ekspert w wojnie kulturowej. Jego polscy wielbiciele tego nie zauważają.



bo to innym biologom splendoru nie dodaje. Szczególnie że to nie pierwsza tego typu wypowiedź Dawkinsa. Jak informuje „The Guardian”, wypowiedział się już w tym tonie w 2015 r., gdy pisał: „Czy transpłciowa kobieta jest kobietą? Czysto semantycznie. Jeśli definiujesz przez chromosomy – nie. Jeśli definiujesz przez samoidentyfikację – tak”.

Jeżeli biolog twierdzi, że transpłciowa kobieta nie może być zidentyfikowana jako kobieta ze względu na chromosomy, to znaczy, że niewiele wie, o czym mówi. Chromosomy nie są bowiem żadnym czynnikiem przesądającym o płci człowieka. Są najwyżej jednym z wielu czynników, które składają się na to, jakiej płci jesteśmy.

Polscy seksuolodzy prof. Kazimierz Imieliński i dr Stanisław Dulko już w latach 80. wymieniali kilka biologicznych kryteriów płci: chromosomy, gonady, wewnętrzne narządy płciowe, zewnętrzne narządy płciowe, fenotyp, hormony, metabolizm i mózg. A to jeszcze nie wszystko, bo poza tymi wyróżnikami wymieniali także kryteria pozabiologiczne, takie jak: płeć socjalna, metrykalna i prawna oraz psychiczna. „W procesie rozwoju płci, rozróżniającym

osobniki męskie od żeńskich, występuje transpozycja w każdej z wymienionych (...) płaszczyzn, w których manifestować się może płeć (...). Trudności w tym rozwoju zdarzają się wprawdzie rzadko, lecz mogą one występować w każdej z (...) wymienionych płaszczyzn” – pisał w 2003 r. w periodyku „Kosmos. Problemy nauk biologicznych” dr Dulko, podsumowując wcześniejsze dociekania i badania na ten temat. A więc nie jest tak – twierdzą polscy naukowcy, którzy przypadkiem należeli do światowych pionierów w tej dziedzinie – że jeżeli ktoś ma określone chromosomy, to należy do danej płci. By tę płeć obiektywnie uznać, należy jeszcze uwzględnić szereg innych kryteriów, spośród których najważniejszy wydaje się czynnik psychiczny. Ale z pewnością żaden z powyższych elementów biologicznych pojedynczo nie przesądza o płci człowieka.

No bo czy naprawdę, tak na zdrowy rozum, trudno wyobrazić sobie kogoś, kto ma co prawda męskie chromosomy (XY), ale fenotypowo jest babą, lub odwrotnie: ma chromosomy żeńskie

(XX), a wygląda jak facet (że wspomniemy słynne enerderskie sportsmenki)?

Żydowski spisek

A teraz wyobraźmy sobie, że na świat przychodzi człowiek, który ma co prawda chromosomy XX, macicę i jajniki, a nawet waginę, tyle że w jego wargach sromowych ukryte są jądra. To określimy go po tych chromosomach, macicy, jajnikach i waginie jako babę czy po jądrach jako chłopca? Takie osoby rodzą się naprawdę (statystycznie jedna na 200 urodzeń) i nazywają się interplciowymi (dawniej określano je paskudnymi nazwami: obojnak, hermafrodyta lub interseksualista). Wariantów interplciowości jest ponad 30 i od lat wśród ekspertów i aktywistów trwa dyskusja, czy takim osobom w ogóle należy przypisywać jakąś płeć. Nie wierzymy, żeby oksfordzki biolog o tym nie słyszał, bo to nie jest wiedza wymagająca żadnych szczegółowych studiów, tylko powszechnie dostępna.

A jeżeli przyjrzymy się różnym kulturom, to wychodzi na to, że właściwie tylko nasza – tzw. zachodnia lub chrześcijańska – traktuje płeć człowieka tak zero-jedynkowo: istnieje kobiecość i męskość i nie ma nic poza tym, ponad to, pomiędzy tym. Inne kultury podchodziły i podchodzi do tego zagadnienia zgoła inaczej.

Różne kategorie płciowe istniały w starożytnym Izraelu – było ich sześć, co zapisano w Talmudzie (swoją drogą to doskonały punkt wyjścia do rozpoznania brudni o tym, że całe to transowe lobby to żydowski wymysł). Ponadto: *fa'afafine* na Samoa, *hiddra* w Indiach i Pakistanie, *muxe* w Meksyku, *two spirit* wśród Indian Ameryki Północnej, pięć płci u Bugisów z Suluwesi, dziewice Kanunu w Albanii etc. W staroindyjskim poemacie „Mahabharata” zabaw z płcią też jest sporo: księżniczka Shikhandini wciela się w mężczyznę Shikhandiego, by doprowadzić do zgładzenia swego śmiertelnego wroga, wielkiego wojownika Bishmy. Kiedy indziej książę Ardzuna, heros i wojownik, wciela się w kobietę, by pomóc swemu przyjacielowi bogowi Krisznie

w porwaniu ukochanej, a innym razem przyjmuje kobiecą postać, by samemu zjednoczyć się z Kriszną w miłosnym spełnieniu. W końcu jeśli dobrze się zastanowić, to znany nam z grecko-rzymskiej kultury antycznej archetyp androgyne (istoty wyposażonej w piersi i penisa), obecny wciąż w kulturze zachodniej i będący podłożem jednego z największych fetyszów heteroseksualnych mężczyzn, też przecież odwołuje się do nieoczywistości sztywnego podziału płci człowieka na kobiece i męskie.

Płeć, sex, gender

A więc jak okiem sięgnąć, płeć człowieka wszędzie jawi się jako nieoczywista, niejednoznaczna, bogatsza

z OKO.press prof. Jacek Kubiak, polski naukowiec, biolog pracujący w Centre National de la Recherche Scientifique (CNRS) i Université Rennes 1 we Francji, gdzie zajmuje się biologią rozwoju i genetyczną regulacją tworzenia gonad.

W całej tej sytuacji mamy do czynienia z jeszcze jednym błędem wynikającym z różnicy językowej. Chodzi tu o słowo „płeć” i jego znaczenie w języku polskim. Język angielski, którym posługuje się Dawkins, używa na określenie płci dwóch terminów: „sex” (odnoszący się do aspektów cielesnych czy też fizycznych atrybutów płci) i „gender” (będący konstruktem zbudowanym z różnych czynników, zarówno tych fizycznych, biologicznych, jak i psychicznych, społecznych i kulturowych oraz prawnych). W języku polskim i „sex”, i „gender” określamy jako „płeć”, a funkcjonujące wciąż w polszczyźnie słowo „seks” utraciło swój związek z „płcią” (choć takie było jego pierwotne znaczenie) i obecnie oznacza tylko to, co wiąże się z erotyką. W języku angielskim nie, a Dawkins, mówiąc o „płci”, mówi o tej rozumianej jako „sex”. Tymczasem obecnie nawet tam, gdzie ludzie posługują się na co dzień angielszczyzną, odchodzi się coraz częściej od płciowego znaczenia „seksu” na rzecz „gender”. W polskiej rzeczywistości jednak wypowiedź Dawkinsa jest rozumiana nie jako ta odnosząca się do fizycznych atrybutów płci, tego „seksu”, lecz do całego konstruktu płciowego, czyli do tego, co określilibyśmy mianem „gender”. Dlaczego? No bo jak jest okazja, by dawać tej tęczy zarazie, to dlaczego z niej nie skorzystać? Co też prawackie katoportale czynią z lubością.

Znowu Żydzi, ciągle Żydzi

Nasuwa się pytanie, po co właściwie Dawkins angażuje się w wątpliwą moralnie i słabą merytorycznie kampanię przeciwko osobom transpłciowym? Po co gada takie bzdury, wykorzystując do tego własną popularność i prestiż naukowca?

Dlatego tę popularność i prestiż naraża na śmieszność? A że naraża, to już raz pokazało Amerykańskie Towarzystwo Humanistyczne, które odebrało mu tytuł Humanisty Roku (nadany zresztą 25 lat wcześniej) za jego transfobiczne wypowiedzi.

Trudno znaleźć sensowną odpowiedź. Może Dawkins uległ modzie na postawę antytrans? Może po prostu nudzi mu się na stare lata (wszak ma ich już z górą 80)? Bo nie ośmielamy się twierdzić, że bierze udział w jakiejś ogólnosiwiatowej kampanii przeciwko osobom trans i całej społeczności LGBT. Chociaż... jeżeli wrogowie ludzi spod znaku tęczy twierdzą, że walka o prawa LGBT jest kolejnym światowym spiskiem finansowanym – a jakże! – przez Żydów (m.in. George’a Sorosa), to nie możemy wykluczyć istnienia



o tożsamości wyłamujące się ze sztywnego binarnego podziału na kobiece i męskie. Bo też jest to naszą cechą gatunkową odróżniającą nas od innych zwierząt: mamy swoją tożsamość i przeżywamy ją, a jej elementem jest nasza przynależność płciowa.

Zamykanie płci w jednym biologicznym kryterium byłoby ryzykowne nawet w odniesieniu do świata zwierzęcego (o tym, jak natura potrafi bawić się płcią, świadczą choćby namiastki penisa wystające dominującym samicom hien czy samce koników morskich rodzące dzieci), a w odniesieniu do człowieka traci w ogóle jakikolwiek sens. I współczesna nauka jest w zasadzie co do tego zgodna.

„Dzisiaj w nauce uważa się, że nie ma ostrego podziału na płeć męską i żeńską. Podobnie jak orientacja, tak samo płeć jest cechą wielogenową i ma charakter ciągłego spektrum. Większość osób w populacji to mężczyźni i kobiety, ale są też osoby pomiędzy” – mówił w ubiegłym roku w rozmowie

przeciwne spisku, finansowanego np. przez różne amerykańskie Kościoły ewangelikalne, do czego jeszcze dorzuca się choćby towarzyszy Putin.

Ale cokolwiek pcha Dawkinsa do przyjmowania takiej postawy, istotne jest, że zapraszający go do Polski – a są to środowiska, które raczej trudno posądzić o sprzyjanie obecnej przewodniej sile, za to bardzo łatwo skojarzyć z wszelkiej maści lewactwem popierającym „tęczową zarazę” – w ogóle przeszli obojętnie obok faktu, że jest on już od co najmniej kilku lat kojarzony z mało postępowym i naukowo wstecznym ruchem antytrans oraz że śpiewa w jednym chórze z największymi światowymi transfobami. Dzięki temu katoprawackie media znów miały polewkę, którą uwarzyły tym razem na ateistyczno-lewackim autorytecie.

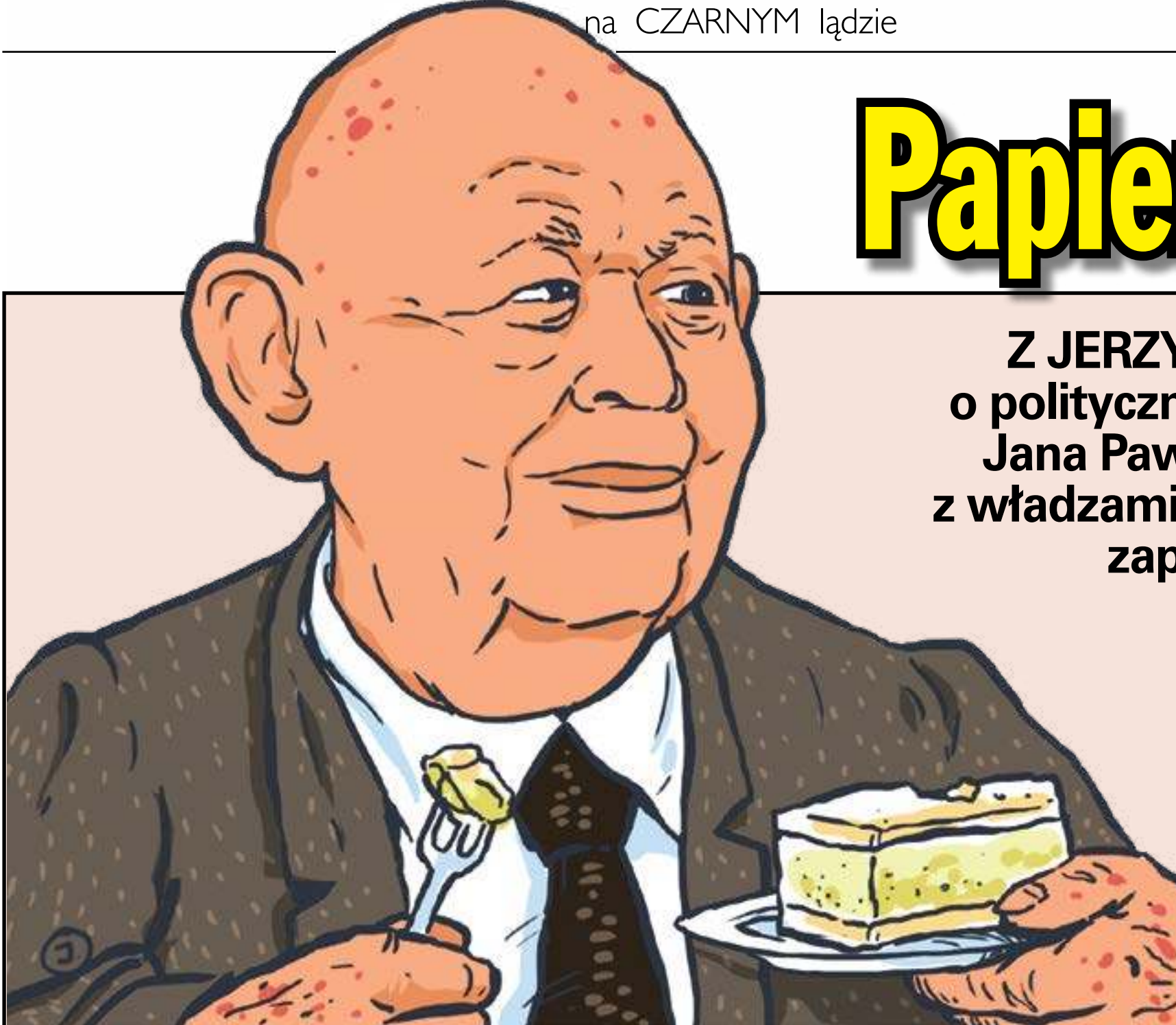
EDYTA BAKER

Czytaj także „Wojny genderowe” – str. 23



Papież ludowy

**Z JERZYM URBANEM
o politycznej roli papieża
Jana Pawła II, relacjach
z władzami PRL i polskim
zapotrzebowaniu
na gwiazdę.**



FYS. JANUARY

– **Czy znał pan Karola Wojtyłę? Jak wyglądały pana kontakty z nim?**
– Nie. Nie miałem z nim żadnych kontaktów.

– **A jak wyglądał stosunek aparatu partyjnego do Wojtyły, zanim został papieżem?**

– Nie mam szczegółowej wiedzy na ten temat, ponieważ zacząłem pracować w rządzie, kiedy on już był papieżem. Z tego jednak, co wiem, Wojtyła był traktowany jako alternatywa dla kardynała Stefana Wyszyńskiego, chociaż te oceny ulegały zmianom. Kiedy w 1980 roku Wyszyński wygłosił swoje słynne przemówienie zniechęcające do strajków, władza ludowa uważała go za cennego w czasach niepokoju. Wcześniej, w czasach spokoju, Wojtyła nie angażował się politycznie, a Wyszyński wyrażał postawę non possumus, więc władza raczej popierała kandydaturę Wojtyły na prymasa. Ale w tym czasie byłem dziennikarzem i nie angażowałem się w relacje między Kościołem a elitami partyjnymi.

– **A czy pana zdaniem Wojtyła odegrał istotną rolę w ruchu solidarnościowym? Czy był jakoś zaangażowany w Solidarność?**

– Już jako papież był zaangażowany, a w środowiskach ówczesnej władzy od początku dominowała opinia, że wzmacnia on zawieszoną już, a de facto zakazaną, Solidarność. Obawiano się, że jego przyjazd w 1983 roku może rozbudzić odruchy społecznego sprzeciwu i nadać im siłę zbliżoną do tej z 1981 roku. Ale także sądzono, że skutki przyjazdów papieża są równoważone jego stosunkami z władzą i że mogą legitymizować Wojciecha Jaruzelskiego oraz grupę rządzącą. W partii panowało przekonanie, że jego spotkania z reprezentantami władzy działają na jej korzyść. Elity partyjne były świadome, że niektóre wystąpienia publiczne papieża działają na niekorzyść systemu, ale wydawało im się, że ogólny bilans jest pozytywny. Była to dosyć naiwna ocena, ale częściowo zasadna.

Pamiętam, jak podczas swojej wizyty w Polsce w 1983 roku Jan Paweł II spotkał się dwukrotnie z Jaruzelskim, przy czym drugie spotkanie nie było wcześniej planowane, a doszło do niego z inspiracji strony kościelnej. W środowiskach władzy to wydarze-

nie uznano za wielkie święto. Zwołałem wtedy konferencję prasową i wybuchła wielka sensacja. Rozmowę w Krakowie przedstawiano jako dowód ogromnego zainteresowania papieża dogadywaniem się z władzami PRL-u. Kiedy po tym spotkaniu generał Jaruzelski mi o nim opowiadał, długo tłumaczył, co przekazał papieżowi. Spytałem go, jak na to wszystko zareagował Wojtyła, na co on odpowiedział z satysfakcją, że papież kiwał głową, przytakiwał i aprobował. Tymczasem to kiwanie głową jest bardzo typowe dla kleru. Jego urzędnicy nie wdają się w rozmowach gabinetowych w cztery oczy w polemiki. Publicznie mają inne oblicze, ale wobec rozmówców, szczególnie świeckich władz, są niezwykle ukladni.

Ta historia z generałem Jaruzelskim przypomniła mi moją młodość. Kiedy miałem szesnaście lat, pracowałem społecznie w Związku Młodzieży Polskiej w Łodzi, gdzie nadzorowałem funkcjonowanie organizacji w szkołach. Były tam różne placówki, w tym szkoła Ojców Salezjanów. Przyszedłem tam w jednym konkretnym celu: chciałem, żeby władze szkoły dały ZMP pokój, gdyż nieliczni ZMP-owcy uczący się u salezjanów mieli taką ambicję. Tymczasem dyrektor szkoły mi mówi: „Niestety, nie mamy lokalu, proszę pana”. Więc ja do niego: „To znaczy, że ksiądz odmawia?”. A on: „Nie, nie, ja nie odmawiam, ale w tej chwili nie mamy lokalu”. Ten przykład dobrze oddaje podejście Kościoła do świeckiej władzy. Tak można było rozmawiać w nieskończoność, nic nie uzyskując. Ksiądz deklarował wsparcie, ale nie wychodził naprzeciw moim oczekiwaniom. Mimo to dla części elit rządzących taka postawa episkopatu była satysfakcjonująca. Jednym słowem, władza była bardzo zadowolona z siebie przy wszystkich kontaktach z papieżem.

Był też taki casus, że papież, jeżdżąc po Polsce, zaczął wygłaszać w ocenie władz PRL-u nieprzyjazne politycznie bądź ostro aluzyjne przemówienia zwane homiliami czy kazaniem. Wtedy pojechał do Częstochowy jeden z wysokich urzędników partyjnych i rozmawiał z otoczeniem papieża o tym, że ten destabilizuje sytuację polityczną w kraju i że Kościół poniesie odpowiedzialność za ewentualne skutki agitacji papieskiej. Wynikiem

tych rozmów były złagodzenie przekazu papieża i poprawa stosunków między nim a władzą. Wtedy powróciło samozadowolenie władzy. Ogólnie bowiem stosunki PRL-owskich władz z papieżem cechowało samozadowolenie.

– **Ale jak to możliwe, że PRL-owska władza dopuściła do wyboru Wojtyły na papieża? Jak to się stało, że przyszły papież wyjechał do Rzymu? Czy taki wyjazd na konklawe nie wymagał zgody władz? Czy był to proces w jakikolwiek sposób kontrolowany?**

– W końcu lat siedemdziesiątych ponad 95 procent obywateli, którzy składali podanie o paszport, dostawało go. Ci, którym odmawiano przyznania paszportu, byli w większości dłużnikami urzędu skarbowego albo alimentarzami. Oczywiście w tych 5 procentach była też grupa dysydentów, ale wtedy nie było mowy, aby któremukolwiek biskupowi odmówić paszportu zagranicznego. Wręcz przeciwnie, zazwyczaj mieli oni paszporty dyplomatyczne. A odmowa wyjazdu na konklawe kardynałowi byłaby skandalem na cały świat. Ponadto nikt w Polsce nie spodziewał się, że Wojtyła zostanie papieżem. Ale gdyby o tym wiedzano, tym bardziej nie czyniono by takich wstrętów, bo proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby konklawe wybrało na papieża Wojtyłę, który nie dostał paszportu od władz! Wtedy nie pisano by o niczym innym.

– **Ale czy nie był to jednak przejaw słabości ówczesnych władz? Przecież partia miała wpływ na Kościół.**
– To było totalne zaskoczenie i władze Polski Ludowej nie miały żadnego wpływu na wybór papieża.

– **Czy Solidarność otrzymywała jakąś pomoc materialną od Watykanu w latach osiemdziesiątych? Co pan na ten temat sądzi? Czy coś pan o tym wie?**

– Nie wiedziałem o tym bezpośrednio. Dopiero później zacząłem zgłębiać tę kwestię, między innymi na podstawie literatury amerykańskiej. Pieniądze, i to znaczne, płynęły różnymi kanałami. Najsilniejszy był ten z pozoru związkowy, gdyż zachodnie związki zawodowe legalizowały pieniądze, które pochodziły z innych źródeł. W dobrze udokumentowa-

nych publikacjach można znaleźć informacje o dużych środkach, które w wyniku rozmów z Janem Pawłem II Stany Zjednoczone przesyłały między innymi kanałami kościelnymi. Watykan niewątpliwie był dystrybutorem znacznych środków, ale oficjalnie wiadomo tylko o funduszach pomocowych, przeznaczonych na wspomaganie dysydentów albo ludzi pozbawionych pracy. Kościół miał pieniądze na tego typu inicjatywy. Natomiast w elitach władzy nie mówiło się o finansowaniu poprzez kler drugiego obiegu i nie ma bezpośrednich dowodów na to, że wydatki typowo polityczne były pokrywane ze źródeł kościelnych.

– **A jaką rolę pana zdaniem odegrał Jan Paweł II w przemianach ustrojowych? W jakim stopniu przyczynił się do zmiany ustroju?**

– Warto cofnąć się pamięcią do spotkania papieża z Lechem Wałęsą, które miało miejsce jeszcze w czasach PRL-owskich. W czerwcu 1983 roku Jan Paweł II spotkał się w górach z Wałęsą i jego rodziną. Myśmy to spotkanie uznali wtedy za triumf, bo papież nie wdał się z Wałęsami w żadne rozmowy polityczne i w pod tym względem nie działał przeciwko ówczesnej władzy. Zresztą do samej transformacji papież też się specjalnie nie wtrącał i w tym sensie nie odegrał istotnej roli na początku przemian. Począwszy jednak

od 1989 roku, nastąpiła w Polsce ogromna ofensywa Kościoła katolickiego, który usiłował wejść w rolę partii, zając zwolnioną przez nią pozycję przewodnika ideowo-politycznego.

I wówczas delegował kapelanów do słownie wszędzie, do każdej komendy policji, tak by obok każdego komendanta swój pokój miał też kapelan. Kapelani w wojsku, w policji i w wielu innych instytucjach pełnili funkcję kadrowych. Kościół nieco się wycofał z tej polityki dopiero w 1993 roku, kiedy lewica wygrała wybory, a badania opinii publicznej pokazywały, że politykierstwo Kościoła jest źle przyjmowane przez znaczną część społeczeństwa. Badania opinii publicznej mówiły wtedy jasno, że Kościół powinien odgrywać mniejszą rolę polityczną i w mniejszym stopniu pchać się do polityki. Dzisiaj też większość Polaków tak uważa, ale wtedy to była bardzo mocna większość. Wydaje mi się, że te sondaże bardzo pohamowały zapędy Kościoła, który jednak bał się oparcia swej pozycji na sile państwa, jak to się działo w ustrojach narodowokatolickich, takich jak generała Franco czy Pétaina. Dzwonkiem alarmowym było dla niego dojście do władzy lewicy.

– **Jak pan ocenia politykę zagraniczną Jana Pawła II? Czy uważa pan, że był on zaangażowany w zimną wojnę? Czy może raczej odgrywał rolę pionka w rękach innych przywódców mocarstw światowych? Niektórzy twierdzą, że był to jeden z najbardziej antykomunistycznych papieży w historii Watykanu.**

– Najbardziej wyrazisty był jego negatywny stosunek do księży robotników we Francji i w Hiszpanii, a jeszcze bardziej do teologii wyzwolenia i jej przedstawicieli w Ameryce Łacińskiej. Tam po prostu zlikwidował tego typu ruchy lewicowo-chrześcijańskie.

– **A w bloku wschodnim?**

– Dzisiaj podziały w episkopacie są wyraźniejsze niż w czasach Wojtyły. Mamy obecnie Kościół łagiewnicki i radiomaryjny, które istotnie się od siebie różnią. Wtedy te podziały nie były tak ostre, ale Jan Paweł II niewątpliwie wspierał wszystkie te trendy, które w obrębie Kościoła wiązały się z konserwatyzmem. Nie był to papież, który promował w Polsce idee Soboru Watykańskiego II, tylko raczej taki przywódca Kościoła, który przy pozorach intelektualizmu aprobował typ religijności ludowo-obrzędowo-dekoracyjnej.

– **Czyli pana zdaniem papież raczej dowartościowywał radiomaryjne skrzydło Kościoła?**

– Wtedy radiomaryjne, konserwatywne skrzydło było czymś innym niż dzisiaj. Obecnie jego ważnym rysem jest chociażby nacjonalizm, a papież z natury rzeczy nie może być nacjonalistą. Trudno go więc nazwać papieżem radiomaryjnym, ale z pewnością można konserwatywno-tradycyjnym. Mając w Europie złe doświadczenia ze wszystkimi próbami modernizacji Kościoła katolickiego, Jan Paweł II wspierał tradycyjny katolicyzm. Ale był też zaprzyjaźniony z „Tygodnikiem Powszechnym” i z całym krakowskim środowiskiem katolicyzmu

wo-obrzędowo-dekoracyjny

otwartego, z którego wyrastał. Jednocześnie nie dawał temu środowisku wsparcia jako kierunkowi, który miałby w Polsce zapanować i któremu chciałby udzielić jawnego poparcia. Można powiedzieć, że oddzielał przyjaźnie, korzenie i życie intelektualne od promowania bardzo konserwatywnego skrzydła katolicyzmu.

– A myśli pan, że papież odegrał dużą rolę w ofensywie Kościoła, która miała miejsce po 1989 roku? Jak się pan odnosi do tezy, że Jan Paweł II dokonał transformacji duchowej, której przedłużeniem była instytucjonalna ekspansja Kościoła? Czy rzeczywiście jego postawa zaważyła na przemianach, czy raczej dokonujące się zmiany były od niego niezależne?

– Nie odgrywał żadnej wyrazistej roli, ponieważ jego nauczanie nigdy nie miało żadnego wyrazistego kierunku.

Jan Paweł II głosił pasujące wszystkim ogólniki, frazesy tak wieloznaczne, że każde skrzydło katolicyzmu mogło je interpretować tak, jak chciało.

Również socjalistyczna władza mogła tam znajdować coś dla siebie. A późniejsza, postsolidarnościowa, oczywiście w jeszcze większym stopniu mogła w papieskim nauczaniu odnajdować miłe swojemu sercu treści. Papież mówił chociażby o niesprawiedliwościach kapitalizmu i o wykluczonych, co było bliskie wielu socjalistom czy ludziom szeroko rozumianej lewicy. Łatwo też można było w jego encyklikach znaleźć fragmenty, w których czytamy, że Kościół powinien rządzić duchowością społeczeństwa i wytyczać kierunki funkcjonowaniu państw. Ten przekaz niewątpliwie podobał się prawicy.

– Ponad sześć lat temu został pan skazany za znieważenie Jana Pawła II. W tekście „Obwoźne sado-maso”, który był podstawą postępowania sądowego, kpił pan z kultu papieża. Jak pan ocenia tę sprawę z perspektywy czasu?

– Mój tekst opublikowany w „NIE” był o tym, że masowe widowiska typu show w wykonaniu ciężko chorego, starego, niemogącego chodzić człowieka są wyjątkowo niehumanitarne i robią na mnie przykre wrażenie. Ale środki stylistyczne, których użyłem, aby wyrazić to przekonanie, sąd uznał za znieważające głowę państwa i właśnie z tego paragrafu zostałem oskarżony. Cały proces rozgrywał się w znacznym stopniu poza mną, ponieważ dotyczył dyskusji, czy zawarte w kodeksie z 1863 roku przestępstwo obrazy majestatu króla Włoch jest prawomocne w dzisiejszym Watykanie. Chodziło o tego typu skomplikowane sprawy, kiedy i jaką bullą jaki papież przyjął włoskie prawo za miarodajne dla Watykanu, a kiedy, w jakich przypadkach artykuły włoskiego prawa Watykan odrzucał. Jest to tak specjalistyczna wiedza, że nie miałem tutaj innego pola manewru niż bronienie się, że był to tylko felieton, że używałem stylistyki absurdu, że moją intencją nie było napiętnowanie osoby, tylko krytykowanie widowiska. Sąd jednak nie przychylił się do mojej argumentacji.

– Kilka miesięcy temu trybunał strasburski odrzucił pana skargę w tej sprawie, ponieważ nie wyczerpał pan drogi odwoławczej w Polsce: nie zaskarżył pan do polskiego Trybunału Konstytucyjnego przepisu, na podstawie którego został pan skazany. Czy zamierza pan jeszcze walczyć w tej sprawie?

– Argumentacja trybunału strasburskiego, że nie wykorzystałem skargi konstytucyjnej, wydaje mi się odrobinę niepoważna. Można powiedzieć, że w każdej sprawie, która kończy się prawomocnym wyrokiem w Polsce, można odwołać się do skargi konstytucyjnej, czyli do tego, że polskie prawo jest sprzeczne z konstytucją. Innymi słowy, miałem w Polsce prowadzić proces, w wyniku którego Trybunał Konstytucyjny mógłby orzec, że polski kodeks karny jest sprzeczny z postanowieniami konstytucji. Ta ścieżka wydaje mi się dziwna.

– Może zmieniłby pan polskie prawo.

– Ale w mojej mocy nie leży zmienianie prawa. Nawet jeżeli obywatel ma prawo do skargi konstytucyjnej, jest to prawo czysto teoretyczne. Moim zdaniem sam wyrok był kuriozalny, a kolejne kroki prawne stanowiły jego konsekwencję.

W każdym razie dałem temu spokój, bo tak się można bawić w nieskończoność.

– A czy pana zdaniem współczesna polska lewica powinna odnosić się do Jana Pawła II? Czy powinna być bardziej krytyczna wobec jego przekazu? A może raczej lekceważyć jego nauki? Czy też wreszcie może próbować odnajdywać w jego przekazie bliższe sobie idee i w ten sposób starać się go „wykorzystać”?

– Przede wszystkim bardzo bym przestrzegał lewicę przed próbami robienia z Jana Pawła II swojego człowieka, bo, po pierwsze, byłaby to nieprawda, a po drugie – lewica nie wygra konkurencji z prawicą w przywłaszczaniu sobie papieża. Po trzecie wreszcie, taka lewica, która czerpałaby inspiracje z Watykanu, jest całkowicie zbędna. Ale i zwalczanie Jana Pawła II nie jest sensowną taktyką z punktu widzenia celów politycznych, gdyż papież już dawno przestał być żywym politykiem, z którym można polemizować i któremu można coś konkretnego wytykać. Myślę natomiast, że warto mu różne rzeczy wytykać historycznie. Można na przykład powiedzieć i uzasadnić, że Jan Paweł II ma na sumieniu więcej ofiar niż zbrodniarze skazywani przez dzisiejsze trybunały międzynarodowe, gdyż nacisk na zakaz używania prezerwatywy przez afrykańskich chrześcijan w obliczu pandemii AIDS

zapewne spowodował więcej ofiar śmiertelnych w schrytlanizowanych częściach Afryki niż chociażby wojna w Kosowie.

Ale to są rzeczy dosyć mało przydatne w walce politycznej na polskim forum, a ja jako redaktor naczelny pisma, które nie traktuje papieża jako tabu i które, jeśli ma okazję, krytycznie się do niego odnosi, wiem, że nawet czytelnicy pisma wyrażą antyklerykalnego nie są zachwyceni ruszaniem tabu papieża. W Polsce przekaz antypapieski przekonuje jedynie ludzi uznawanych za bojowych ateistów, osobistych wrogów Pana Boga. A tych jest stosunkowo niewiele. Wydaje mi się, że Polska w znacznie większym stopniu jest laicyzowana przez obojętność, przez malejące zainteresowanie nauczaniem kościelnym, przez krytykę funkcjonowania Kościoła katolickiego jako organizacji, a nie przez krytykę papieża. Większość naszego społeczeństwa jednak nie lubi, aby symbole, a Jan Paweł II stał się w Polsce symbolem, były przedmiotem weryfikacji.

– A myśli pan, że ten kult Jana Pawła II w Polsce będzie w najbliższych latach słabł? Czy pana zdaniem wciąż jest on żywy, czy raczej już teraz powoli zanika?

– Widać już, że kult papieża osłabł, ale w jakimś sensie będzie trwał, gdyż był to Polak, który zrobił największą karierę światową.

Polska nie ma w swojej historii wielu osób, które zrobiły karierę światową, i w związku z tym wszyscy ci, którzy na jakimś polu coś osiągnęli, są bożyszcami narodowymi.

Dotyczy to Curie-Skłodowskiej, Kościuszki czy Chopina. Niektórzy twierdzą, że również Wałęsa, ale Wałęsa jest ceniony bardziej na scenie międzynarodowej, gdyż w Polsce się skompromitował. Tymczasem Chopin nie miał okazji się skompromitować w kraju. Rzecz w tym, że Chopin jest znacznie większym bożyszcem w Polsce niż wielcy równorzędni kompozytorzy w Niemczech, bo tych było po prostu o wiele więcej. Na podstawie tego kryterium, głodu prestiżu specyficznego dla Polski, Wojtyła zo-

stanie w pamięci zdecydowanej większości Polaków jako ten Polak, który zrobił największą światową karierę, ponieważ zapewne nikt w najbliższym czasie takiej nie zrobi.

W tym kontekście bardzo ciekawy jest przypadek Buzka, czyli polityka bez właściwości, który dostał prestiżową posadę, ale bez istotnych kompetencji. I znowu mamy taką sytuację, że nasz gwiazdor jest bardzo celebrowany w Polsce. Kiedy przyjeżdża, otwiera każdą sikawkę, natomiast w Europie nie jest szczególnie ważną postacią i w sprawach europejskich nie wymienia się go jako polityka, który ma wpływ na cokolwiek istotnego. To wszystko się bierze z poczucia głodu prestiżu, który dla Polaków jest tak ważny. Taką postawą cechuje wszystkie prowincje, Polska jest przecież straszną prowincją. Nie chce być prowincją, a bardzo pragnie stać się podmiotem polityki europejskiej i stąd ten głód wielkich autorytetów. Jeżeli więc Buzek był tak ważną postacią, to tym bardziej ktoś, kto został papieżem, czyli zrobił karierę niewątpliwie światową: był i jest znany w większość krajów. W związku z tym Jan Paweł II na pewno zostanie w pamięci gdzieś pomiędzy Chopinem, Kościuszką i Curie-Skłodowską. A Polacy pozostaną wobec niego podobnie bezkrytyczni jak wobec innych swoich guru.

Rozmawiał PIOTR SZUMLEWICZ



rys. JANUARY

Egzorcysta zbiera złom

Sól podnosi szatanowi ciśnienie, a w piekle smażą na oleju kujawskim.

Posłać do diabła to każdy głupi potrafi. Posłać diabła do diabła – to już większa sztuka. Eksperti od tego zabiegu to kolorowe ptaki wśród czarnych. Jednostka specjalna w szeregach kleru, duchowy GROM, katolickie Navy SEALs. Zadanie mają trudne, odpowiedzialne i niebezpieczne.

...

Opowieści egzorcystów są na tyle barwne i straszne, że ciągle inspirują filmowców. Najnowsza taka produkcja to „Egzorcysta papieża” z Russellem Crowe’em w roli głównej. Znany z „Gladiatora” aktor zagrał teraz watykańskiego gladiatora wypuszczanego na arenę do najcięższych walk z szatanem. Film inspirowany jest prawdziwą historią Gabriele Amortha – słynnego wypędzacza diabła, który swoje wieloletnie doświadczenia walki z Belzebubem opisywał w książkach oraz w licznych wywiadach. Choć jego przygody należy wziąć w wielki cudzysłów, prawa do ekranizacji dwóch książek wykupili ludzie z Hollywood.

...

Nieżyjący już Gabriele Amorth to jeden z najwykszych celebrytów w branży. Twierdził, że przeprowadził ponad 50 tys. rytuałów, a z diabłem rozmawiał na co dzień – po łacinie. Ten włoski ksiądz opowiadał o bardzo spektakularnych i długotrwałych pojedynkach z demonami, przypisywał im ogromną siłę i inteligencję, podkreślał przy tym, że ostatnie słowo ma zawsze przedstawiciel Boga, czyli egzorcysta.

...

Gabriele Amorth chętnie opowiadał o przeprowadzonych przez siebie rytuałach, choć oficjalne stanowisko Kościoła kat. jest takie, że to materia bardzo delikatna i nie należy szukać na siłę sensacji w tych obrzędach. Amorth niewiele sobie robił z tej wykładni – przebieg i efekty specjalne towarzyszące wypędzaniu szatana opisywał dokładnie i z nutką podniecenia w głosie. Chętnie też prezentował gwoździe, wypłute rzekomo przez opętanych, nad którymi się modlił. Takie trofea pokazywał m.in. Dominikowi Tarczyńskiemu.

Europoseł, zanim rozpoczął karierę polityczną w Soli-darnej Polsce, a potem Prawie i Sprawiedliwości, był asystentem egzorcysty

ks. Jeremy’ego Daviesa, znajomego ks. Amortha. Polityk nakręcił wywiad z watykańskim egzorcystą, który potem był kolportowany m.in. przez „Gazetę Polską”. Rzeczywiście powstało piekielnym śwędem.

...

Wypływane gwoździe to dość częsty motyw egzorcyzmów. Nie ma oczywiście dowodów na to, że opętani je wypływają, bo nagrywanie egzorcyzmów jest surowo wzbronione, ale w kolekcji wielu zawodowych zaklinaczy demonów gwoździe się pojawiają.

„Opętaniem zdarza się zymiotować gwoździami albo szkłem. Ojciec Gabriele Amorth, nestor katolickich egzorcystów, ma kolekcję takich przedmiotów, która waży dwa kilo” – pisał w swojej książce poświęconej temu zjawisku niegdyśszy poeta, a teraz nawiedzieniec Robert Tekieli.

Opętani mają też mówić obcymi językami, lewitować i ogólnie odwalać takie cuda, że głowa mała. No ale nie możemy tego zobaczyć, bo nie. Widocznie szatan boi się kamery bardziej niż krucyfiksu, wody święconej czy soli egzorcyzmowanej. I tylko trochę mniej od salcesonu i skarpety Jana Pawła II.

Szczególnie ten ostatni to ważny atrybut w walce z diabłem. Ks. Amorth pisał w książce „Wspomnienia egzorcysty. Moje życie w walce z szatanem”: „Wzywam zawsze ojca Pio, ojca Candido, również Jana Pawła II?” «. Pierwsza odpowiedź była taka: »Ponieważ zniszczył moje plany?». Nasuwa się myśl, że przecież plany często nam niszczy konkurencja...

...

Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów, założone przez Amortha i kolegę Tarczyńskiego, ks. Jeremy’ego Daviesa, po zo-

baczeniu zwiastunów „Egzorcysty papieża” wyraża swoje wątpliwości. Zrzeszeni w antydiabelskim cechu rzemieślnicy uważają, że produkcja wygląda na bardziej hollywoodzką niż watykańską z ducha. „Efektem końcowym jest zaszczepienie przekonania, że egzorcyzm jest zjawiskiem nienormalnym, potwornym i przerażającym, którego jedynym bohaterem jest diabeł” – trapią się koledzy pierwowzoru bohatera filmu.

Swoją drogą Russell Crowe jest tak podobny do Gabriele Amortha jak opowieści Amortha do rzeczywistości.

...

Klerowi nie dogodzisz. Dobre i słusne jest tylko to, co przez Kościół wyprodukowane. Film z Russellem Crowe’em zły, polski film dokumentalny też zły.

W styczniu premierę miał bowiem film dokumentalny „Egzorcyzmy polskie”, którego autorem jest Paweł Kostowski. Ma sporo do powiedzenia na ten temat, bo sam przez wiele lat działał w katolickich stowarzyszeniach i co się napatrzył, to jego. Produkcja Kostowskiego – co sam wielokrotnie podkreśla – nie ma na celu atakowania Kościoła kat., tylko pokazanie patologii, jaką bywają egzorcyzmy, zwłaszcza w wykonaniu księży o psychopatycznych i sadystycznych zapędach. Główną osią „Egzorcyzmów polskich” jest historia

dziewczyny na potrzeby filmu nazwanej Ireną. W skrócie: egzorcysty zgotowali jej prawdziwe piekło, z molestowaniem seksualnym włącznie. A z rzeczy humorystycznych: w jednej ze scen twórca filmu dowiaduje się, że do poświęcenia przez egzorcystę nie nadaje się olej kujawski, bo musi być oliwa z pierwszego tłoczenia. Szatana byle czym nie pokonasz. Być może to także nauka ks. Amortha, Włosi w końcu słyną z zamiłowania do oliwy.

W tym przypadku autor filmu także został odsądzony od czci i wiary, przypisywano mu diaboliczne intencje i diagnozowano opętanie albo przynajmniej związki z masonerią. Ale „Egzorcyzmy polskie” wydały owoc: po premierze filmu i dyskusji wokół niego jeden z egzorcystów diecezji warszawsko-praskiej ks. Marcin Hołuj został odwołany. Oficjalnie bez związku z filmem.

Obyśmy dożyli czasów, żeby wszyscy oni musieli sprzedawać gwoździe ze swoich szuflad na złom, a jedyni egzorcysty byli dostępni na ekranach kin.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



Owieczki mówią: Sprawdzam!

Duchowni są przyzwyczajeni do tego, że mogą mówić, co chcą, bez konsekwencji. Mogą twierdzić nawet, że są drugim Jezusem. Albo i pierwszym. Na przykład abep Jędraszewski poinformował niedawno, że „kapłan nie jest tylko drugim Chrystusem, ale jest także *ipse Christus*, jest samym Chrystusem”. Uszło mu to oczywiście na sucho, bo w Polsce żaden polityk ani ksiądz nie jest rozliczany ze swojej gadaniny.

Ale są i tacy, którzy słowa przekuwają w czyn. Zambijski pastor James Sakara był do tego stopnia przekonany, że nie jest gorszy od Jezusa, że uważał, iż podobnie jak swój pierwowzór zmarł w chwale. Aby to udowodnić, polecił swoim uczniom, by go zakopali na tradycyjne trzy dni, po których miał powstać z martwych. Po upływie ustalonych czasu wierni odkopali pastora, ale mimo odprawienia ustalonych za czasu rytuałów nie udało się. James Sakara nie dożył nawet wieku Chrystusowego, zmarł jako 22-latek. Jest jednym z nielicznych przypadków, gdy duchowny traktuje swoje słowa śmiertelnie poważnie. Z naciskiem na śmiertelnie.

Mniej pewności i przekonania ma niejaki Eliud Simiyu z Kenii, twierdzący, że jest nowym wcieleniem Chrystusa. Znany też jako Jezus z Tongaren gość jest przywódcą sekty Nowa Jerozolima. Wcześniej był katolikiem, ale ten Kościół nie spełniał jego ambicji i był za mały na dwóch Jezusów. Stworzył więc własną wspólnotę, która oddaje mu należną cześć. Eliud Simiyu jest abstynenckim wcieleniem rabiego z Nazaretu, zamienia bowiem wodę w herbatę. Ten cud potwierdza jego żona, choć inni mieszkańcy wioski twierdzą, że to od uderzenia w głowę

w 2009 r. mu się tak porobiło. Dostał w łeb podczas rodzinnej awantury, a po wyjściu ze szpitala ogłosił się Jezusem. Znajomi i większość rodziny są sceptyczni, ale nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Jezus z Tongaren zebrał własną trzódkę wielbicieli jego samego i herbaty.

Niedawno była Wielkanoc... A żeby zmarłych wskrzesić, trzeba wpięć umrzeć. Niedowiarkowie z wioski stwierdzili więc, że skoro dawniejszy Eliud jest teraz Jezusem, to powinien zostać ukrzyżowany. Przecież zmarłych wskrzeszać. Dla nich byłby to dowód na prawdziwość metamorfozy sąsiada i kuzyna, a on sam uwolniłby się od kpiących uśmiechów i docinków ze strony dawnych towarzyszy. Niektórzy wręcz zaczęli przychodzić do jego gospodarstwa z młotkiem i gwoździem. Jezusowi z Tongaren zmieknęła rura i powiadomił policję, że obawia się o własne życie.

Swoim wiernym zaś wytłumaczył, że ci biedni i zmanipulowani ludzie nawet Biblii nie znają. A kto zna Pismo lepiej niż Jezus? Kenijski mesjasz objawił swoim uczniom, że zaprawdę, zaprawdę powiada im, iż Wielkanoc tak naprawdę jest w lipcu. Tak więc kiedy przesładowcy przychodzili do niego w kwietniu, nie tylko groziła śmiercią niewinnemu człowiekowi, ale i popisali się kompromitującą nieznajomością świętej księgi. Zapewne w lipcu okaże się, że znowu zaszła pomyłka, i tak do usranej śmierci.

I jak, ekscelencjo Jędraszewski, nadal uważasz się pan za Jezusa? Masz pan szczęście, że owieczki u nas sto lat za Murzynami i takich deklaracji nie biorą serio.

Ł.P.

PLURALIS
MAIESTATIS

Oczy Franco Nero

...a włoski gwiazdor ma oczy błękitne jak niebo, jak bawełniane majteczki czarna-stolatki, sztuczna krew w telewizyjnych reklamach tamponów, szata maryjna na parafialnym landszafcie. Trzyma się Nero doskonale, mógłby w wieku 81 lat reklamować błękitną viagrę, a może nawet mógłby reklamować, nie używając samej tabletki, a używając sobie za pieniądze, które na reklamie by zarobił. Tak czy siak, mamy nadzieję, że zarobił swoje, grając Jana Pawła II w jednym z najnowszych horrorów „Egzorcysta papieża”. Sam zaś egzorcysta – przesławny Gabriele Amorth – kreowany jest przez Russella Crowe’a, niestety nie sprawia już wrażenia mężczyzny do używania. Gdzieżbyśmy zresztą pragnęli – przecież to teraz ksiądz!

Proszę: polskie oszołomstwo powinno być zachwycone, że „ich” papieża zagrała taka męska dupa jak Franco Nero! Toż to lepsze od jakiegokolwiek świętości! Wojtyła zapewne też by się cieszył, choć on najpewniej wołałby sam zagrać siebie. W końcu był aktorem w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie u Mieczysława Kotlarczyka!

Nietrudno sobie wyobrazić taką oto sytuację: tabor cygański parkuje pod Wawelem. Lolek spotyka na rynku uroczą czarnobrewą Cyganczkę i próbuje jej uświadomić, że wróżenie jest złe. W końcu według egzorcystów zabawa z kartami, jeszcze bardziej niż zabawa z samym sobą, otwiera czartowi drzwi do ciała człowieka i opętania. Cyganczka łapie Karola za dłoń, złote bransoletki pobrzękują. Wróży małemu, że oto odczytała z jego linii życia niebywałą karierę. Zagra go – Lolka – wielki gwiazdor włoskiego kina, dziecko, które jeszcze się nie narodziło, dziecko wybrane, o niebiańskich oczach... Dziecko to urośnie, zostanie supersterem westernów, a później właśnie zagra Lolka papieża. Co będzie wyróżnieniem dla Lolka, bo dla Franca niekoniecznie. Jest to wszakże obwarowane warunkami: Karolek musi się modlić i modlić. Być grzecznym chłopcem. Konformistycznym, układnym i rzecz jasna kiedy już osiągnie papieski stolec jako ten, który zajmie się swoimi prowincjonalnymi dramatami i nie będzie poważnym ludziom przeszkadzał w kręceniu światowych lodów, wtedy musi jeszcze tylko przypomnieć katolikom, że była kiedyś taka rytualna szajba jak egzorcyzmy. Szatan jest jak najbardziej żywą osobą, a nie wyleniałą legendą (najbardziej wyleniałą w liczącym hajs pragmatycznym Watykanie). Karol powinien sprowadzić do siebie maryjnego oblakańca, redaktora naczelnego pismka „Madre di Dio” i współpracownika oszustu Pio z Pietrelciny – Gabriele Amortha z Modeny. Razem wyegzorcyzmują cały świat z: marksizmu, rozsądku, moderny i resztek przyzwoitości. „Stoi!” – powiedział Karolek Cyganczce. I pamiętał o tym, kiedy Sapieha gruchał mu do lewego ucha, że po prostu jest stworzony do bycia papieżem, taki śliczny, i że stworzony jest do bycia papieżem, taki twardy, jak szeptał mu w prawe ucho *caporale* Dziwisz...

Nie robimy sobie jaj, na pewno „tak właśnie było!”. Sam Wojtyła uważał, że o jego pontyfikacie zdecydowała zbrodnia z 1079 r., czyli zabójstwo biskupa Stanisława ze Szczepanowa: „Ow dziejowy dramat w przedziwny sposób zaowocował po dziewięciu stuleciach”. Taaa, owocem był Jan Paweł II, który prędko obwołał św. Stanisława patronem chrześcijańskiego ładu moralnego. To jest dopiero korba! Zbyt często podkrejana przez rzeźzonego, aby była tylko złośliwością wobec komunistów (bo złośliwością wobec XI-wiecznego króla Bolesława Szczodrego, który słusznie zagotował się po wyskokach biskupa, to już chyba nie była? Ale nie jesteśmy pewni...).

A nawet jeśli sobie robimy jaja, to jakie to są jaja wobec tych, które robią sobie z wyznawców egzorcystów? Im wolno, a nam nie? Świat nie może być aż tak niesprawiedliwy! Jest? Marsz do egzorcysty, on wytłumaczy, że panem świata materialnego jest diabeł, a nie Jezus. Poda za Szefem: „Już nie będę z wami wiele mówił, nadchodzi bowiem władca tego świata. Nie ma on jednak nic swego we Mnie”. Spragnieni katharsis idziecie na horror, dostajecie komedię. W sumie to lepiej tak, niżby miało być na odwrót.

IZABELA SZOLC

Na marginesie afery z mężem Elżbiety Witek leżącym na oddziale intensywnej terapii wiele dłużej niż inni mamy dla was historię wprawdzie archiwalną, lecz nie mniej oburżającą. A może nawet bardziej, zważywszy o jaką postać chodzi.

Przychodzili kumple

W sierpniu 2006 r. zmarł ks. Czesław M. Pochowany został w rodzinnym grobie w jednym z miast powiatowych na Mazowszu. Nie byłoby w tej śmierci nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ostatnie kilkanaście miesięcy przed nią spędził na OIOM-ie. Jak mąż drugiej osoby w państwie. Ksiądz również był nieprzytomny, rokowania były słabe, żeby nie powiedzieć żadne, przy życiu podtrzymywała go aparatura. Wielomiesięczne okupowanie drogiego łóżka zakończyło się zgonem. Żeby wszystko zgadzało się w papierach, ksiądz M. był co jakiś czas „pacjentem” różnych oddziałów, jednak faktycznie leżał cały czas nieprzytomny pod respiratorem. Dziś więc trudno znaleźć ślady tej afery, bo w dokumentach wszystko się zgadza. Pozostają jedynie wspomnienia świadków. Księdza Czesława odwiedzali inni księża, odszedł z tego świata „opatrzone świętymi sakramentami” – jak głosi kościelna formułka.

Otwarte drzwi

Ksiądz Czesław M. wiele lat mieszkał w rodzinnej miejscowości, w której też został pochowany. Zdrowy, w sile wieku duchowny, a jednak mieszkał z mamą i bratem, zamiast robić karierę w kolejnych parafiach. Przyczyn tego stanu rzeczy możemy doszukiwać się w pierwszych latach jego posługi, które do dziś odbijają się echem w mediach. W sieci dostępne są świadectwa mężczyzny, który z imienia i nazwiska nazywa siebie ofiarą księdza Czesława. Swoje spotkanie z nim datuje na rok 1969. Ksiądz M. miał wówczas 26 lat, a więc był niedługo po święceniach. Zgodnie z opowieścią pana Wincentego, wówczas chłopca, nowy wikary w jego parafii wydawał się powiewem świeżości. „Wkrótce po poznaniu księdza Czesława nie miałem wątpliwości co do tego, że jest to naprawdę „inny ksiądz” i naprawdę lubi młodych. Dobra oznaka dla nas ministrantów. Ksiądz Czesław rozpoczął od otwarcia drzwi do swojego mieszkania. I to w pełnym tego słowa znaczeniu. Nawet kiedy nie było go tam, drzwi były dla nas otwarte tak jak do klubokawiarni. Było jasne, że rozpoczyna się dla nas inne, nieznane dotąd życie ministranckie. Wszyscy byli szczęśliwi, że nowy wikariusz jest taki otwarty dla młodzieży. To naprawdę dar od Boga, mówili starsi ludzie. Nikt nie mógł przecież przewidzieć wydarzeń, które po dzień dzisiejszy wywołują ścisk mojego serca i nieustające psychiczne cierpienie. Wydarzeń, których nie jestem w stanie usunąć z mojej pamięci i mimo że miały one miej-

Kler zabiera nam tlen. W przerośni i dosłownie.

Witek w sutannie

sce wiele lat temu, pamiętam każde słowo i zdarzenie, tak jakby wszystko to miało miejsce wczoraj” – opisywał na swoim blogu, w którym oskarża nie tylko ks. Czesława, ale też władze diecezji płockiej o to, że mimo iż wiedziały, co się stało, nic nie robiły. Jego batalia nie wywołała żadnego skutku, zwłaszcza że sprawa była przedawniona.

Równy wśród swoich

Czesław M. zniknął z parafii pana Wincentego, a potem zupełnie przepadł. Jako że były to jeszcze czasy przedinternetowe, dość łatwo było go ukryć. A on po prostu wrócił do domu rodzinnego. O późniejszych ofiarach nic nie wiadomo, może z wiekiem i pod opieką rodziny się opanował. Czy zaprzestał posługi kapłańskiej? Skądże! Był kapłanem w dwóch szpitalach, głosił rekolekcje, kazania odpustowe, spowiadał – także dzieci. Co ciekawe, w pamięci mieszkańców okolicy, w której żył, zapisał się bardzo ciepło. Jako równy ksiądz, który nikt nie potępiał, w konfesjonale prawie wszystko odpuszczał, na pieniądze nie był łasy, a i gorzałki nie odmówił. Wiadomo było, że z wodą ma problem, ale kto jest bez winy... Zamiłowanie do butelki czyniło go jeszcze bardziej swojskim. Mówiono o nim że to ksiądz z powołania, w przeciwieństwie do innych, którzy przychodzili do parafii.

Narodowy Fundusz Zdrowia

Nie spotkało się więc ze specjalnym oburzeniem to, że ksiądz Czesław leżał tyle czasu na intensywnej terapii. Ba, więcej było współczucia. Choć wiadomo było, że wegetatywny stan duchownego wynikał w dużej mierze z niehigienicznego trybu życia (otyłość, alkohol, papierosy), to nadal wielu uważało, że to ogromne i niezasłużone nieszczęście, i gorąco modliło się o jego zdrowie.

Wcześniej był w tym szpitalu kapłanem, później był nim jego kolega, więc nikt nie zgłaszał obiekcji, a przynajmniej nie na tyle głośno, żeby były skuteczne. Powszechnie szanowanemu klesze to miejsce się po prostu należało. Czesław M. zmarł więc niemal w opinii świętości, a jego pogrzeb zgromadził tłumy. Pogrzeb był oficjalny, kapłański, z udziałem biskupa. Ale na stronach diecezji próżno szukać wzmianek o tym „świątobliwym” kapłanie, jakby jednak było coś do ukrycia.

„Skontaktował się z mną ktoś z rodziny ks. M., twierdząc, iż jego rodzina wiedziała o tym, że był pedofilem. Ale jakie ma to znaczenie dla mnie? Tak jak już mówiłem, nie ksiądz, a system, jego zwierzchnicy, biskupi, są winni tragedii ministrantów” – mówił w jednym z wywiadów pan Wincenty. Ani księdzu, ani systemowi włos z głowy nie spadł.

Dopóki kler będzie pod państwowym tlenem i kropłówkami z kasy, nic się nie zmienia.

MATT KOBOSKO

Odświeżamy prawicowym propagandystom pamięć.

Wielgus culpa

Lustracja nie jest dziś sexy. Szczyt jej powabu przypadł kilkanaście lat temu, kiedy to peerelowska przeszłość mogła wpłynąć na karierę. Jedną z największych ofiar lustracji po stronie kościelnej jest abepe Stanisław Wielgus. Spadł z naprawdę wysokiego konia, czego do dziś niektórym nie wybaczyl.

Odrpryskiem szumu wokół JP2 jest powrót do tematu esbeckich teczek, które rzekomo są w większości spreparowane i służyły kompromitacji księży nawet na zaś, w III RP. Esbecy dbali, by kler był zniesławiony teraz i zawsze, i na wieki wieków, tworzyli w swoich raportach alternatywną rzeczywistość i kreowali pożytecznych kapłanów na zepsute świnię. Do zeznań zmuszali zdrajców i degeneratów, którzy – by ukryć własne bezeceństwa – pluły na świętych pod dyktando oficera prowadzącego. Dlatego teraz obrywa się Wojtyła i Sapieha. Taka jest obecna śpiewka. Ale przecież nie zawsze tak było.

W czasach świetności lustracji ubabranie we współpracę z poprzednim systemem wykluczało z grona ludzi przyzwoitych i odbierało wątpliwą przyjemność uścisku ręki np. Kaczyńskiego. Macierewicz, Wildstein czy medialna obsługa braci Kaczyńskich dość bezkrytycznie podchodzili do rewelacji znajdowanych w IPN-ie. Dopiero gdy okazało się, że zbyt wielu „swoich” ma tam dossier, a do wygra-

nia wyborów i utrzymania władzy potrzebna jest sztama z Kościołem kat., oszalały antykomunizm i ciecška lustracyjna ustały. Dość wspomnieć, że kandydaturę prof. Sławomira Cenciekiewicza na szefa IPN miał blokować u Kaczyńskiego sam abepe Marek Jędraszewski. Powód? Cenciekiewicz jest zbyt tradycyjnie katolicki (członek Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X, negującego reformy Soboru Watykańskiego II) i na tyle radykalnie prawicowy, że gotów by lustrować księży.

Z tym większym zdumieniem czytam więc tekst Marzeny Nykiel w portalu braci Karnowskich wPolityce.pl pt. „Zeznaniami degeneratów chcieli zniszczyć św. Jana Pawła II i kard. Sapiechę. Ale teczkami bezpieki uderzano już wcześniej”. Nykiel jest redaktorką naczelną internetowej odnogi medialnego imperium bliźniaków Karnowskich, więc trudno powiedzieć, że jej teksty nie odzwierciedlają linii redakcji. Tymczasem szarga pamięć po śp. prezydencie

Nykiel wspomina sprawę abepe Wielgusa jako przykład uderzenia teczkami w niewygodnego hierarchę, który głosi prawdę wbrew panującym intelektualnym i światopoglądowym modom. Przypomnijmy więc, jak to było.

6 grudnia 2006 r. Wielgus został ogłoszony następcą Glempa w roli metropolity warszawskiego. 19 kwietnia „Gazeta Polska” (bliski pisowcom organ Sakiewicza) ujawniła, że nowy arcybiskup warszawski przez 20 lat współpracował z SB pod pseudonimem Grey. Hierarcha zapierał się, że to wszystko mistyfikacja i próba zniszczenia go. W obronie Wielgusa stawiali księża i różne ważne gremia. Ale 7 stycznia 2007 r., w dniu ingresu (oficjalnego objęcia archidiecezji), arcybiskup ogłosił, że jednak rezygnuje, i odszedł na błyskawiczną emeryturę. Obecny na ingresie Lech Kaczyński nie krył satysfakcji, a Jarosław, wówczas premier, podobno w ogóle odmówił uczestnictwa w imprezie z agentem w roli głównej.

Red. Marzena Nykiel przywołuje teraz tę postać jako duchownego zaszczutego przez komuchów i lewackie media, męczennika prawdy, którą głosił. Przywołuje jego kazania i konferencje, w których rozprawiał się z neomarksizmem i genderyzmem z jeszcze większym zapałem, niż to czyni Jędraszewski. Przywołuje cytaty z jego książek „Tobie, Panie, zaufałem”, w której rozlicza ten najtrudniejszy pewnie okres w swoim życiu.

Czytamy w tekście Nykiel: „»Komu na tym zależało? Kto tak bardzo obawiał się mojej obecności w Warszawie? Komu przeszkadzałem? Kto uczynił wszystko, by się mnie stąd pozbyć? To są pytania, na które do dziś, mimo że upłynęły już lata, nie otrzymałem odpowiedzi« – pyta abp Wielgus w swojej książce. Wyjaśnia też, dlaczego ostatecznie wycofał się z walki o swoje dobre imię. »Sponiewierany przez terrorystów medialnych i stojących za nimi

polityków, nie miałem najmniejszej ochoty, aby dochodzić prawdy. Tym bardziej, że ktoś się skutecznie postarał, żeby ją ukryć. Moja obecność w Warszawie była zatem niepożądana«”.

W życiu nie podejrzewalibyśmy klaczy ze tajni Karnowskich o nierzetelność czy złą wolę, ale dla porządku uzupełnimy wiedzę red. Nykiel i jej podobnych.

Abepe Wielgus w tej samej książce dokładnie wyjaśnia, kto chciał go zniszczyć. »To, że Lech Kaczyński był współautorem ataku na mnie, stało się dla mnie całkowicie jasne niedługo po tragedii smoleńskiej» – twierdzi w swoich memuarach. I uściśla: »Oto w »Gościu Niedzielnym« z dnia 18 kwietnia ukazał się wywiad z niezującym już Lechem Kaczyńskim pt. »Moja wizja polityki« – którego on udzielił redakcji »Arcanów« 27 lipca 2009 roku – zastrzegając, by opublikowano go dopiero po wyborach prezydenckich w roku 2010. Na pytanie redaktora Andrzeja Nowaka: »Jakie Pan Prezydent wskazałby największe sukcesy swojej dotychczasowej, blisko czteroletniej pracy na tym stanowisku?« Lech Kaczyński wymienił likwidację WSI, otwarcie perspektyw na Wschód, wynegocjowanie traktatu lizbońskiego, a także jeszcze jedno. Tu cytuję jego słowa: »Wreszcie ostatnią sprawą, o której bym wspomniał, była interwencja w sprawie obsadzenia przez arcybiskupa Wielgusa warszawskiej metropolii«. Teraz zrozumiałe się stało, że to Lech Kaczyński był jednym z promotorów ataku na moją osobę».

Ups... Oprócz Kaczyńskiego tradycyjnie winna jest masoneria, ale za to w jakim wydaniu! Oddajmy almeno głos zainteresowanemu: »W czasie kampanii prowadzonej przeciwko mnie

skontaktował się ze mną jeden z wybitnych hierarchów światowego Kościoła katolickiego, który mnie poinformował, że atak przeprowadzony na mnie został wykonany na rozkaz światowej masonerii, w którą uwikłani są liczni z tych, którzy mnie atakowali. Wydaje się to możliwe, gdy uwzględni się historię przyjaciela Lecha Kaczyńskiego, Bronisława Wildsteina, a także to, z jaką radością witano w dniu 9 września 2007 roku reaktywowanie żydowsko-masońskiej loży B'nai B'rith...». Grubo pojechał, ego równe Waleśie. Cały świat się na biedaczka wziął, na niego, który chciał obalić gender w pojedynkę! Ale skoro red. Nykiel sama się powołuje na taki autorytet...

Podobną tezę Wielgus powtórzył w Rydzikowym „Naszym Dzienniku” w 2014 r., łągając ją nieco, zapewne ze względu na interesy ojca dyrektora. Na pytanie o przyczyny rezygnacji odpowiedział: »Moim zdaniem stały za tym określone siły, które przekraczały granice naszego kraju. Nie będę tego w tej chwili konkretyzował... Faktem jest, że Lech Kaczyński stał się moim nieprzyjacielem i bardzo mu zależało, żebym nie został arcybiskupem warszawskim. Myślę, że były naciski na niego. Widocznie był czymś straszony czy szantażowany, że podjął później takie, a nie inne decyzje. Ale według mojego przekonania to były siły zewnętrzne, absolutnie nie kościelne i nie religijne, które skoncentrowały się na ataku na mnie».

Takie uderzenie w pamięć po prezydencie tysiąclecia w przededniu rocznicy jego męczeńskiej śmierci to jawna prowokacja ze strony Karnowskich. Czy ktoś wreszcie zrobi z nimi porządek?

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Prowadzimy Ob

Korepetycje z historii sztuki dla prezesa Orlenu.

Oto Daniel Obajtek, prezes Polskiego Koncernu Naftowego Orlen, w wywiadzie dla portalu internetowego Onet.pl 22 marca: „Okladka tygodnika »NIE« była nieprzyzwoita. Tam było przybite dziecko do krzyża. Lalka symbolizująca dziecko. Powtarzam jeszcze raz. To rani uczucia religijne i powinniśmy się w Polsce trzymać daleko od takich niskich chwytów, bo budują one antagonizm społeczny. Była wyjątkowo kontrowersyjna. »NIE« przekroczyło granicę tego, co można uznać za wolność wypowiedzi, i przeszło na stronę obrazoburczą. Dziecko przybite do krzyża boli, bo krzyż jest symbolem wiary. Od brukania wiary zaczynają się nieszczęścia każdego narodu. Nic dobrego z tego nie będzie. Chodzi o użycie symbolu religijnego w sposób skrajnie kontrowersyjny”.

Spodobał nam się szczególnie fragment:

„Dziecko przybite do krzyża boli, bo krzyż jest symbolem wiary”. To może odpuście sobie chrzest niemowląt i dziecięcą spowiedź? W końcu w Kościele pierwotnym niczego takiego nie było.

Szczyłe bez poczucia winy będą brykały za piłką albo grały w gamboya. Jak koźleta na świeżej trawie. A kiedy jeszcze Kościół odpuści celibat, to jeden z drugim młody bez skojarzeń polize lody Bambino. Wiara katolicka „krzyżu-

je” dzieciństwo i w imię władzy nakłada na kark maluczkim wszystkie dewiacje – najpierw swoje, dorosłe, a później wspiera ich osobiste dziecięce strachy, wciąż wkręcając rekolekcyjno-religijną korbę. Gdyby zamiast religii istniały obowiązkowe seanse seriali o zombie, to szkody byłyby mniejsze. A może ktoś z młodzieńców nauczyłby się survivalu!

Daniel Obajtek to człowiek wykształcony, choć jego wykształcenie w żaden sposób nie jest związane z naukami filozoficznymi, teologicznymi czy – nawet w szerokim słowa rozumieniu – humanistycznymi. Nie jest związane także w żaden sposób ze sztuką. W 2014 r. ukończył on bowiem Prywatną Wyższą Szkołę Ochrony Środowiska w Radomiu (specjalność: bezpieczeństwo i higiena w środowisku pracy oraz zarządzanie środowiskowe w sytuacjach kryzysowych) oraz w 2019 r. program Executive MBA w języku polskim, organizowany przez firmę szkoleniową Gdańska Fundacja Kształcenia Menedżerów.

Trudno dać wiarę Danielowi Obajtkowi, że mógł w okładce tygodnika „NIE” dopatrzyć się ataku na wiarę czy też szyderstwo z osoby Jezusa z Nazaretu. Jeśli jednak rzeczywiście je widział, to nie tłumaczmy tego złą wolą lub niechęcią do nas, a już, broń Boże, jakimś partykularnym interesem politycznym. Prezes Orlenu może po prostu się na znaczeniu symboliki religijnej i sposobach jej użycia oraz przetworzenia w sztuce nie rozumieć. Dlatego też postanowiliśmy w krótkim wykładzie udzielić panu Danielowi Obajtkowi delikatnych korepetycji.

1.

„Immersion (Piss Christ)” to tytuł fotografii z 1987 r. autorstwa amerykańskiego artysty i fotografa Andresa Serrano. Zdjęcie przedstawia

mały plastikowy krucyfiks zanurzony w szklanym zbiorniku – w moczu artysty. Praca ta zwyciężyła w konkursie Awards in the Visual Arts organizowanym przez Southeastern Center for Contemporary Art, multimedialną ga-

lerię sztuki współczesnej w Winston-Salem w Karolinie Północnej w USA. Projekt ten był sponsorowany przez The National Endowment for the Arts, agencję rządową USA. Fotografia wzbudziła kontrowersje. Serrano odrzucił twierdzenie, że motywowało go bluźnierstwo, tłumacząc, że miało to być poważne dzieło sztuki chrześcijańskiej: „To symbolizuje sposób, w jaki Chrystus umarł: krew wypłynęła z niego, ale tak samo jak siki i gówno. Urodziłem się i wychowałem jako katolik i przez całe życie byłem chrześcijaninem”. Fakt, kiedy umiera człowiek, to puszczają mu zwieracze, nawet jeśli za trzy dni ma odrodzić się jako Bóg. Ludzka śmierć Jezusa to jeden z fundamentów, na którym zbudowano ten cały chrześcijański kram... Generalnie boscy poprzednicy Chrystusa po prostu bali się umierać, a tym bardziej nie wybierali „drogi śmierci” z pełną odpowiedzialnością tego, na co się decydują. Zerknijcie do mitologii. Rzeczona fotografia była wystawiana wielokrotnie w galeriach i muzeach całego świata. W październiku 2022 r. „Piss Christ” został sprzedany na aukcji Sotheby’s w Londynie za ponad 145 tys. dolarów.

2.

„McJesus” fińskiego artysty Janniego Leinonena to rzeźba z 2019 r. przedstawiająca ukrzyżowanego Ronalda McDonalda, klauna, maskotkę najbardziej znanej na świecie sieci fast foodów. Gdy trafiła na wystawę do Muzeum Sztuki w Hajfie, doszło tam do demonstracji arabskich chrześcijan. Zanim doszło do protestów, rzeźba była ekspozowana w muzeum przez pięć miesięcy. Lawinę uruchomił wpis w mediach społecznościowych. Dyrekcja muzeum odrzuciła sugestie, aby usunąć pracę artysty. Rzeźba ta symbolizuje komercjalizację chrześcijaństwa i wskazuje, że Kościół stał się korporacją lansującą prędkie duchowe podróbki zamiast zatrzymać się i za-

stanowić nad prawdami wiary i życiem skołowanych wiernych. Wiara na jednej nodze i na jeden ząb!

3.

„Passion Of A Goddess” to projekt artysty wideo, fotografii i animacji 3D Ramona Martineza mieszkającego w Sztokholmie. Od 2005 r. tworzy on obrazy fotograficzne przedstawiające ukrzyżowane kobiety. I mówi o tym tak: „Wielu artystów w ciągu ostatnich 2000 lat interesowało się obrazem

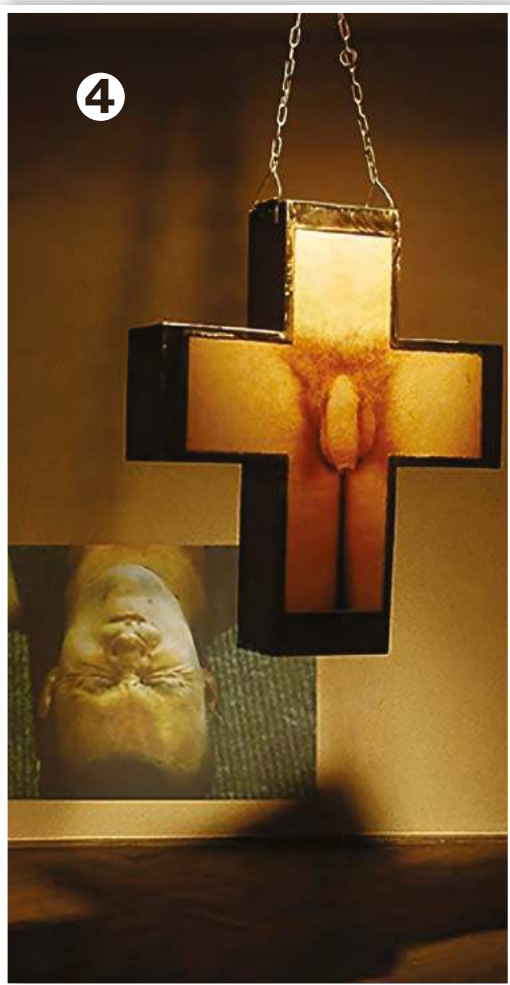
ukrzyżowanego Jezusa. Jednym z powodów jest prawdopodobnie to, że temat jest pełen symboliki. Ale nasuwa się pytanie, dlaczego te artefakty są zawsze męskie? Pokazanie portretów Jezusa jako kobiety wywołuje oburzenie konserwatywnych członków Kościoła. Idea, że Bóg może być tylko mężczyzną, jest ideą stworzoną w społeczeństwie patriarchalnym. Chciałbym swoją sztuką rozwinąć ideę, że nadawanie Bogu płci jest nieuczciwe. Wyznawcy idej, że Boga można przedstawić tylko jako mężczyznę, lekceważą żeńską połowę światowej populacji”. Wydruki obrazów Martineza można kupić jako plakaty na ścianę różnego formatu, torby, koszulki, kubki za kilka do dwudziestu kilku dolarów. Fakt, że kupują je i femiński, i patriarchalni sadomasochiści, tylko potwierdza tezę postawioną przez artystę.

4.

„Pasja” Doroty Nieznalskiej z 2001 r. to instalacja poruszająca tematykę męskości i cierpienia. Po raz pierwszy ekspozowana była w galerii eksperymentalnej Wyspa w Gdańsku. Instalacja składała się z dwóch elementów – wykonanego z metalu dużego greckiego krzyża, a jego środek wypełniały męskie genitalia. Za krzyżem wyświetlano film wideo, na którym mężczyzna z dużym wysiłkiem podnosi ciężary na siłowni. Po interwencji dwójki pravicowych posłów z nieistniejącej już partii Liga Polskich Rodzin prokuratura wystosowała akt oskarżenia, a sąd wszczął proces. Trwał on z wieloma apelacjami do 2010 r., kiedy artystka została ostatecznie uniewinniona. Sprawa „Pasji” przyniosła artystce międzynarodowy rozgłos.



ajtkka na krzyż



5. „Adorację Chrystusa” Jacka Markiewicza, instalację wideo pokazywaną od września do listopada 2013 r. w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, część środowisk prawicowych uznała za profanację i bluźnierstwo. Na filmie widać, jak nagi artysta pieści leżący na ziemi średniowieczny krucyfiks z nagim Jezusem i go liże. To adoracja czy profanacja? Widz staje przed dylematem. Artysta mówił o filmie, że to „praca religijna – o uwielbieniu Boga. Liżąc wielki średniowieczny krucyfiks, dotykając go nagim ciałem, obrażając go, gdy leży pode mną, modłę się do Prawdziwego Boga”. „Adoracja” – praca dyplomowa Markiewicza powstała w 1993 r. – wystawiana była wielokrotnie w kraju i za granicą. Jednak dopiero po 20 latach zwróciła na siebie uwagę. W CSW odbywały się modły w sali, w której wyświetlano film Markiewicza, tym samym uczestnicy protestów stali się częścią instalacji artystycznej.



6. „Strachy” Daniela Rycharskiego to pierwsza indywidualna wystawa artysty w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, trwająca od lutego do kwietnia 2019 r. Na wystawie można

było zobaczyć różnokolorowe krzyże – nie tylko katolickie, ale także prawosławne – przydrożne i cmentarne „poubierane” w kobiece i męskie stroje poprzytywardzane drutem kolczastym. Ubrania te artysta pozyskał od mieszkających na wsi i doznających dyskryminacji osób homoseksualnych. Nadawało to krzyżom wygląd popularnych strachów na wróble, które można spotkać

w sadach i na polach. Rycharski stara się w tych przedstawieniach łączyć elementy pochodzące z tradycji wiejskiej, religijnej i queerowej tożsamości seksualnej. Prace Rycharskiego na razie nie wywołały oburzenia.

WALDEMAR KUCHANYY
Współpraca IZABELA SZOLC



Je suis Non!

Czy można porównać wywalenie ze sprzedaży w punktach państwowego Orlenu i państwowej Poczty Polskiej tygodnika „NIE” do zamachu na redakcję francuskiego tygodnika satyrycznego „Charlie Hebdo”? – takie pytanie nie przyszłoby nam do głowy, ale zadała je nam reporterka brukselskiego radia.

Nie, nie można. Zamach terrorystyczny, do jakiego doszło w Paryżu 7 stycznia 2015 r., był motywowany religijnym ekstremizmem. Wycofanie tygodnika przez Orlen i pocztę co prawda oficjalnie tłumaczone było powodami związanymi z religią, ale jesteśmy przekonani, że nie o religię chodziło prezesom państwowych spółek, ale o akcję piarową mającą służyć konsolidacji elektoratu partii rządzącej. No i przede wszystkim w Paryżu był to akt terrorystyczny, w którym zginęło 12 osób, u nas był to akt państwowej opresji, w którym jednak nikt nie zginął.

Redakcja tygodnika „NIE” nie ma jednak zamiaru siedzieć i czekać, aż opresje się wzmogą. Wystosowaliśmy do europejskich redakcji prasowych list w kilku wersjach językowych (po angielsku, francusku i hiszpańsku). Prezentujemy go także Państwu, naszym Czytelnikom.

List wysłaliśmy m.in. do:

- ✓ „Private Eye” w Londynie – najważniejszego brytyjskiego opiniotwórczego magazynu satyrycznego.
- ✓ „Trouw” w Amsterdamie i „De Tijd” w Brukseli – rodzimych gazet holenderskiego autora książki „Maxima culpa”.
- ✓ „Berliner Zeitung” i „TAZ” („Die Tageszeitung”) w Berlinie oraz niemieckiego magazynu satyrycznego „Eulenspiegel” – wiadomo, Niemcy to nasi najbliżsi sąsiedzi.
- ✓ „La Stampa”, „Corriere della Sera” i „La Repubblica” – uznaliśmy, że Włochy są bardzo ważne ze względu na papieża.
- ✓ „El Jueves” w Barcelonie, „El Mundo” i „El País” w Madrycie – wybraliśmy redakcje związane z wolnością, lewicą, satyrą, demokracją. Uznaliśmy, że Hiszpania jest istotna, bo jej mieszkańcy mieli swojego gen. Franco i są bardzo wyczuleni na przejawy łamania praw człowieka.
- ✓ „Le Monde”, „Liberation” oraz oczywiście „Charlie Hebdo” i „Le Canard enchaîné” – oczywiście do tych dwóch francuskich pism satyrycznych nie moglibyśmy nie napisać.

Szanowni Koledzy Dziennikarze!

Jesteśmy redaktorami satyryczno-politycznego tygodnika „NIE”. Nasza redakcja jest obecna na mapie Polski od 33 lat. Nie chcielibyśmy, aby to się zmieniło, a nasz kraj, rażąco naruszający wolność słowa, tak w obszarze wolności jednostki, jak i grup dziennikarzy, zamienił się w jeszcze większy totalitarno-religijny zaścianek. Z ust polskiego rządu – stworzonego przez koalicję partii prawicowych i ultraprawicowych – płyną w świat propagandowe zapewnienia, z których wynika, iż Polska jest krajem demokratycznym. To nieprawda. Wzrasta zamordyzm, prawa człowieka są notorycznie łamane. Instytucja, która wpływa na kształt prawa w Polsce, stał się Kościół katolicki. W prywatnych rozmowach nasz kraj określa się mianem katotalibanu. Polacy coraz częściej – dla bezpieczeństwa – sami się cenzurują. Telewizja publiczna to organ aparatu władzy. W 2020 roku państwowy ściśle związany z rządzącą prawicą konserwatywny Orlen wykupił jednego z wydawców, firmę Polska Press, dzięki czemu stał się właścicielem większości dzienników lokalnych w Polsce. Również naczelny dystrybutor prasy w Polsce – „Ruch” – należy do koncernu Orlen. Inne media prasowe są uzależnione od reklam państwowych i druku ogłoszeń rządowych. Wszystko to znalazło swoje odzwierciedlenie w pikującej pozycji wolności polskiej prasy w Press Freedom Index, publikowanym przez organizację Reporterzy bez Granic.

Ostatnie dni w Polsce upływają pod znakiem szoku obywatelskiego po opublikowaniu materiałów – w telewizji TVN oraz przez grupę medialną Agora – wskazujących, że papież Jan Paweł II, będąc jeszcze arcybiskupem i metropolitą krakowskim, nie tylko wiedział o pedofilii w polskim Kościele, ale walczył przyczynił się do jej tuszowania, a wypracowane w Polsce metody przeniósł na grunt watykański. O nadużyciach kleru w Polsce redakcja tygodnika „NIE” pisała od początku swojego istnienia. Wielokrotnie próbowano nas pościć z tego powodu na ławie oskarżonych. 10 marca 2023 r. opublikowaliśmy okładkę będącą naszym komentarzem do informacji o Karolu Wojtyła (Jan Paweł II). Tego samego dnia z dystrybucji naszego pisma wycofała się państwowa Poczta Polska, chwilę później Daniel Obajtek, prezes Orlenu, osobiście poinformował o wstrzymaniu dystrybucji naszego tygodnika. Państwowa telewizja obsadziła nas w roli prowokatorów, wicherzycieli i osób do zarządowej eliminacji. Nie mamy takiej mocy jak Agora (wydawca „Gazetę Wyborczą” Adama Michnika) czy telewizja TVN (koncern Warner Bros/Discovery). Kryzys dystrybucyjny to dla nas realne zagrożenie, że stracimy redakcję. Jednocześnie prorządowe Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wraz ze swoim organem Centrum Monitoringu Wolności Prasy nie tylko nie ujęło się za nami, a przede wszystkim za wolnością słowa w Polsce i wolnością od cenzury, ale poparło działania rządowe. Nasz zmarły w zeszłym roku redaktor naczelny i założyciel pisma Jerzy Urban w czasach komunizmu trzykrotnie był objęty zakazem publikacji, ponieważ naraził się elicie rządzącej. Jeśli przetrwał, to dlatego, że dziennikarze solidarnościowo podali mu dłoń. Urban był jednym z projektantów rozmów rząd-opozycja, które doprowadziły do demokratycznych przemian w Polsce. Po 1989 r. zaś Jerzy Urban z redakcją tygodnika „NIE” przez 33 lata piętnował, wyśmiewał i opisywał polskie skandale oraz nadużycia. Wszystkich opcji politycznych. Wszystkich wyznań. Zawsze też stał po stronie słabszych. Był zobowiązany, aby tak robić, ponieważ należał do żydowskich ocalańców po Shoah.

Nie mógł być ślepy na zagrożenia totalitaryzmu.

Napisaaliśmy do Państwa nie po to, aby prosić o pomoc i wsparcie etyczne, choć i to jest dla nas istotne, ale przede wszystkim po to, aby uświadomić redakcjom zagranicznym, jak stoją sprawy w Polsce. Głęboko wierzymy, że wolność słowa, respektowanie praw człowieka, wolna prasa to niezbywalny gwarant demokracji na całym świecie.

Z wyrazami szacunku
zespół tygodnika polityczno-satyrycznego „NIE”

Zabór watykański

110 lat temu Stanisław Witkiewicz, ojciec słynnego Witkacego, sprzeciwiał się wprowadzaniu religii do szkół, bo uważał to za zjawisko szkodliwe społecznie. Gdyby minister edukacji Przemysław Czarnek i biskupi z Konferencji Episkopatu Polski zechcieli pochylić się – z uwagą i powagą – nad tekstem Stanisława Witkiewicza ojca, to kto wie, kto wie... Ale się nie pochyła.

...

Minister edukacji Przemysław Czarnek chciał, aby w przyszłym roku szkolnym lekcje religii lub etyki stały się obowiązkowe dla wszystkich uczniów. Wycofał się z tych postulatów, bo PiS uznało, że nie będzie sobie w czasie jesiennych wyborów brało na głowę protestów młodzieży. Nie wiadomo, czy po ewentualnych wygranych wyborach różne takie Czarnki nie wrócą do tych pomysłów. A raczej możemy być pewni, że wrócą. Traktując zgodę wyborczą jako carte blanche, czyli paszport do Klechistanu – na pełnym wkurwie.

Postulaty wyrzucenia religii ze szkół to program realizowany konsekwentnie przez świat lewicowy i ewelaki; to element dechrystianizacji Europy i świata Zachodu – głosi od zawsze Czarnek. A to jest gówno prawda.

...

Z redakcji tygodnika „NIE” na ul. Poznańskiej często idę Hożą i po drodze mijam szkołę podstawową nr 40. Na budynku tablica informująca, że w tym oto miejscu stał dom, w którym urodził się Stanisław Ignacy Witkiewicz. No i tak moje myśli nieraz surfują od skojarzenia do skojarzenia: czy szkoła jest potrzebna, skoro Witkacy do szkół nie chadzał i był samoukiem, a wyrósł z niego ho, ho, ho, taki gość! Kto uprawiałby z powodzeniem tyle rodzajów twórczości: malarstwo i rysunek, fotografię, pisarstwo (powieści i dramaty), krytykę i teorię sztuki i estetyki, filozofię, teatr, epistolografię, happening życiowy? Pokażcie mi dziś drugiego Witkiewicza! Przypadków celebrytów nie będę rozpatrywał...

Otóż nie jest to takie proste z tą szkołą. Rodzina Witkiewiczów mieszkała w Zakopanem. Z dwóch powodów: mieszkanie i utrzymanie było tu o wiele tańsze (majątek rodziny Witkiewiczów został skonfiskowany po powstaniu styczniowym; matka Stasia – Maria Witkiewiczowa – zarabiała, prowadząc w Zakopanem pensjonat), ojciec Stanisław Witkiewicz chorował na gruźlicę i klimat górski był dla niego korzystny. W Zakopanem zaś nie było ani szkoły realnej (takiego jakby ówczesnego gimnazjum), ani liceum. Posyłanie syna do szkół z internatem, choćby do Krakowa, było zbyt kosztowne. Z drugiej strony ojciec Witkacego był zagorzałym przeciwnikiem systemu szkolnictwa i uważał, że jego opresyjne rygory zabijają indywidualność, zwłaszcza w artyście, i syn powinien się edukować samodzielnie.

Samodzielnie nie oznaczało jednak zupełnej dowolności. Stanisław Ignacy przerabiał rok po roku program szkolny ze wszystkich przedmiotów i zdawał eksternistycznie egzaminy. W trakcie na-

uki szkolnej zdawał także wiedzę z katechizmu. A przed egzaminem musiał przystąpić do spowiedzi. Stanisław Witkiewicz ojciec pisał w jednym z listów do rodziny: „(...) równie głupiego jak tutejszy katechizm świat nie widział”.

Tak właśnie uważał ojciec i mentor kultowego dzisiaj Witkacego.

...

Witkacy stał się ostatnio modny. Kilka miesięcy temu zakończyła się wielka wystawa poświęcona Witkacemu w Muzeum Narodowym w Warszawie. W ostatnich dniach jej trwania, aby się na nią dostać, trzeba było odstać swoje w kolejce, a i to bez gwarancji sukcesu. „Wypadało”, po prostu „wypadało” cyknąć sobie zdjęcie w owej kolejce i wrzucić na profil FB. Witkacy by się uśmieł. I płakał – bo wystawa przyciągnęła więcej przeфарbowanych kołtunów niż rzeczywistych intelektualistów. W sumie każdy orze, jak może... Na otwarciu przemawiał oddany PiS-owi wiceminister kultury Jarosław Seliński. Czy wie, że Witkacy namówił żonę do aborcji?

Teraz ledwo co zakończyła się wystawa poświęcona Witkacemu w Muzeum Historii Katowic. W kinach jest jeszcze do obejrzenia film „Niebezpieczni dzentelmeni” z Marcinem Dorocińskim w roli Witkacego. I tak oto Witkacy – w Polsce – stał się drugim Małczewskim...

Na rynku księgarskim ukazała się niedawno biografia Natalii Budyńskiej „Witkiewicz, ojciec Witkacego” wydana przez krakowski Znak. Bodaj pierwsza jego biografia na rynku. Pierwsza i już kastrowana. Autorka jest kulturoznawczynią i publicystką „Przeglądu Katolickiego”. Być może dlatego pominięła w swojej pracy wątek stosunku Stanisława Witkiewicza do sprawy religii, Kościoła i katechizacji szkolnej. A szkoda. Bo w jego pisarstwie te wątki były dość istotne.

Stanisław Witkiewicz (1851–1915) był wybitnym krytykiem i teoretykiem sztuki, malarzem, rysownikiem oraz autorem projektów architektonicznych. Mówiło się o nim jako o „proroku stylu kapiańskiego”. Walczył o jego zachowanie, a właściwie sam go stworzył, a na pewno zdefiniował. Warto mieć na uwadze, że w owym czasie w Zakopanem Witkiewicz ojciec był nie tylko postacią znaną, ale o olbrzymim autorytecie, zarówno wśród tamtejszej elity, jak i u prostych górali. Mówiło się o nim jako o sumieniu swojego pokolenia. Był jednym z najważniejszych mistrzów dla Stefana Żeromskiego. W swoim piśmiennictwie zajmował się sprawami religii, etyki i narodowej tożsamości.

...

„Chrześcijaństwo i katechizm” – praca Stanisława Witkiewicza opublikowana została w 1913 r.

Po wojnie ukazała się w PRL w latach 1957, 1960 i 1961. Potem już nie była wznawiana.

Powstała po wprowadzeniu do szkół zaboru austriackiego podręcznika religii o nazwie „Katechizm rzymsko-katolicki podług ks. J. Deharbe dla szkół ludowych” w oprac. ks. Mariana Morawskiego.

Witkiewicz nie tylko krytycznie recenzował ten akurat podręcznik do katechezy w szkołach, ale

potępiał samą obecność katechezy w szkole, która zamiast szerzyć wartości ewangeliczne, szerzy niewiedzę, ciemnotę i wzmacnia oparty na egoizmach religijnych porządek społeczny.

To polemika z tymi wszystkimi, którzy uważają nauczanie religii w szkołach za konieczne i pożądane.



...



Witkiewicz zaczyna swój wywód tak, jak dzisiaj można by zacząć relację z obrad w budynku na ul. Wiejskiej w Warszawie:

„W każdej prawie sesji parlamentu przy rozprawie nad budżetem oświaty posłowie któregoś z odłamów partii konserwatywnej stawiają żądanie zwiększenia ilości godzin wykładów nauki religii w szkołach średnich, uzasadniając to żądanie coraz to widoczniejszym upadkiem religijności

wśród młodzieży. Inni, jak pewien ksiądz na zjeździe nauczycieli szkół średnich we Lwowie, żądają ostrzejszego przymusu dla młodzieży, żądają zaprowadzenia egzaminu z religii przy maturze. Jedni i drudzy, stwierdzając upadek religijności i widząc w tym źródło wszystkich ujemnych zjawisk życia jednostki i społeczeństw, od palenia papierosów przez uczniów z klasy trzeciej do anarchizmu, jako jedyny środek zaradczy wskazują to właśnie zwiększenie ilości godzin katechizmu i uwarunkowanie matury zdaniem egzaminu z religii”.

I dalej:

„Szkoła dzisiejsza jest środkiem niszczenia w dzieciach odwagi, dumy, szczerości, wspaniałomyślności i prawości; jest środkiem zniszczenia jednego z najcenniejszych przymiotów ludzkich – charakteru, to jest odwagi i chęci wzięcia na siebie odpowiedzialności za własne czyny, bez wykretów i udawań. A jakie dzieci – tacy ludzie; życie publiczne naszego społeczeństwa stwierdza na każdym kroku fatalność skutków naszego systemu wychowawczego”.

I jeszcze...:

„Zajęta nauczaniem wielu rozmaitych przedmiotów, zwłaszcza licznych gramatyk, szkoła ta nie ma czasu na wychowywanie tego tłumu dzieci, który ją przepełnia poza brzegi. Dziecko, które przychodzi z domu z pewną dawką wychowania, przystosowania do pewnych społecznych obowiązków, dostając się w ten tłum, będący zbłątaną falangą walczącą ze szkołą, ogarnięte zostaje tą szczególną atmosferą tłumu, w którym przeważają »pierwotne instynkty«. Jest to moralność, według której słaby jest zawsze winien”.

I dalej:

„Rysunek geometryczny, użębienie psów, dopływy rzeki Apure, Bóg w trójcy jedyny, łaska poświęcająca, koniugacje słów nieforemnych, równanie krzywych drugiego stopnia, świętych obcowanie, o grzechu w ogólności, przemiany owadów, cnoty boskie, maszyna Wintera, żołądki zwierząt przeżuujących...

Wszystko to układa się w jakąś potworną hydrę, która tysiącem żądał i pazurów przez lat osiem szarpie życie dziecka. Walczyć z tą hydrą, wydobyc się z jej szponów za wszelką cenę, siłą czy podstępem (...) – oto system szkolny, w którym nauka religii pod przymusem doprowadza dziecko w pięć lat po wstąpieniu do szkoły do zupełnej niewiary”.

Jednym z wniosków, jakie zamieszcza w swoim szkicu Witkiewicz, jest ten: „Będzie niezawodnym pewnością, że im więcej będzie godzin nauki religii, tym prędzej będzie się młodzież pozbywać religijności”. Wniosek taki po wielokroć pojawiał się w taki i bardzo podobny sposób formułowany w felietonach Jerzego Urbana i na łamach tygodnika „NIE”.

Powtórzmy myśl z początku. To pisał Stanisław Witkiewicz 110 lat temu pod zaborem austriackim. Nic się nie zmieniło. My ciągle pod zaborami.

WALDEMAR KUCHANNY

Czy można dewastować pomniki

ETYKA BEZBOŻNA

W dziedzinie moralnej bardzo często bywa tak, że na postawione pytanie tego rodzaju pierwsza wstępna odpowiedź brzmi „co do zasady nie” albo „nie, ale...”. Nie wolno zabierać cudzych rzeczy, ale w stanie wyższej konieczności, gdy na przykład trzeba ratować ludzkie życie, wolno, a nawet trzeba to uczynić. Nie wolno wprowadzać ludzi w błąd, ale gdy można w ten sposób uchronić się przed poważnym niebezpieczeństwem, to należy tak postąpić.

Najczęściej odstępstwo od generalnej reguły wiąże się ze stanem wyższej konieczności. Bywa jednakże i tak, że ktoś robi coś ewidentnie złego, lecz ma przy tym na uwadze ważny cel społeczny, a więc kieruje się szczerym pragnieniem dobra. Oczywiście nie jest tak, że czyn motywowany szlachetnym celem musi zostać automatycznie usprawiedliwiony. Niemniej w takim przypadku wina jest mniejsza, a sprawcy oprócz kary może się na-

leżeć również zrozumienie i szacunek. Zdarza się, że sędziowie skazują osoby popełniające przestępstwa na minimalne kary, uzasadniając te wyroki pobudkami sprawcy, które zasługują jeśli nie na uznanie, to przynajmniej właśnie na zrozumienie.

Niedawno ujęto młodego mężczyznę, który oblał farbą pomnik Jana Pawła II w Łodzi. Z pewnością stanie przed sądem, a sędzia będzie musiał wydać wyrok – prawie na pewno skazujący – w którym zostanie wzięta pod uwagę i oceniona motywacja sprawcy. Co do tej motywacji, to akurat żadnych wątpliwości nie ma. Na pomniku mężczyzna pozostawił napis „maxima culpa”, oznaczający „wielką winę” – to formuła tzw. spowiedzi powszechnej, a jednocześnie tytuł sławnej książki Ekkego Overbeeka na temat tuszowania pedofilii przez Karola Wojtyłę w roli biskupa krakowskiego w latach 70.

Sąd będzie musiał orzec, czy potępienie szalbierstw Wojtyły jest motywacją zasługującą na zrozumienie, czy nie.

Nie będzie zaś w stanie tego uczynić bez rozpoznania, czy subiektywne przekonanie

sprawcy, iż Karol Wojtyła był winny ukrywania pedofilów, ma pokrycie w rzeczywistości. Dlatego czekający nas proces jest taki interesujący – w pewnej mierze będzie to przecież sąd nad samym Wojtyłą. Nie można wszak sprawiedliwie ocenić czynu 25-latką bez rozstrzygnięcia, czy miał powody do oburzenia, czy też nie.

Warto wierzyć w sprawiedliwość sądu, bo jeśli stracimy wiarę w sądy, to niewiele już w nas zostanie z szacunku dla naszego państwa. Miejmy przeto nadzieję, że mimo niewątpliwie presji politycznej i religijnej sędzia wyda łagodny wyrok, a nie taki, jakiego życzyłyby sobie władza i biskupi. Łagodny, bo nie ma przecież żadnych wątpliwości co do tego, że Karol Wojtyła – jako biskup, a potem papież – uczestniczył w haniebnym procederze instytucjonalnej ochrony pedofilów. Jego odpowiedzialność jako głowy Kościoła, w którym nawet co 20. duchowny dopuszczał się przestępstw seksualnych, korzystając przy tym z ochrony swych przełożonych, jest bezsporna niezależnie od tego, co wiedział lub czego nie wiedział.

W jaki sposób można wyrazić gniew moralny, czyli oburzenie z powodu publicznego kultu osoby, o której ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że nie tylko sama dopuszczała się czynów głęboko niemoralnych, ale ponadto sprawując

funkcję jedynowładcy, ponosiła polityczną odpowiedzialność za funkcjonowanie ogólnoswiatowego systemu protekcji pedofilii? Czy jedyne, co można zrobić, to przemawiać na demonstracjach i pisać teksty publicystyczne i memoranda? To może frustrujące, lecz w granicach prawa niewiele można. A to, co granice przekracza, zawsze obciążone jest nielegalnością.

Nie pochwalam obalania pomnika Wojtyły farbą, choć cieszę się, że do takiego incydentu doszło, bo przyspieszy on proces odjaniania przestrzeni publicznej. Pomniki Wojtyły obrażają moralność publiczną oraz godność ofiar Kościoła katolickiego. Bezkrytyczny i bałwochwalczy kult papieża dowodzi całkowitej obojętności na fakty na rzecz narcystycznej mitomanii i megalomanii. To przejaw psychopatologii życia publicznego, wobec której my z kolei nie możemy być obojętni. Mam nadzieję, że czyn, o którym mówimy, zostanie ukarany tak, jak na to zasługuje, czyli łagodnie, a w przyszłości utworze drogę legalnym już działaniom, zmierzającym do usunięcia z przestrzeni publicznej urągających moralności artefaktów związanych z kultem jednostki.

JAN HARTMAN

Feminizm w Polsce umarł na rdzę i z promocją równości ma tyle wspólnego co kura z lataniem.

Pewnie narażę się niemałemu gronu pań, ale dokonująca się na naszych oczach rewolucja płciowa spowodowała na tyle istotne przewartościowanie ról społecznych odgrywanych przez kobiety i mężczyzn, że darcie mordy o patriarchacie zaczęło załatwiać kulkami na mole. Możecie się wszystkie na mnie obrazić, mam to w dupie, czyli dokładnie tam, gdzie feminizm oparty na napierdalaniu w mężczyzn. Nie tędy droga, moje drogie.

...

Wpadła mi ostatnio w ręce nota biograficzna Audre Lorde (1934–1992), amerykańskiej profesorki, filozofki, pisarki, działaczki na rzecz praw obywatelskich i radykalnej feministki. Lorde była czarną lesbijką, socjalistką, która poświęciła życie i twórczość niesprawiedliwości rasizmu, seksizmu, klasizmu i homofobii. Zważywszy na to, w jakich czasach przyszło jej funkcjonować, miała sporo do roboty i świetnie wykonała swoje zadanie.

Lorde była jedną z założycielek Women's Coalition of St. Croix, organizacji zajmującej się pomocą kobietom, które doświadczyły przemocy seksualnej oraz przemocy ze strony partnerów. Pod koniec lat 80. pomogła również założyć Sisterhood in Support of Sisters (SISA) w Afryce Południowej, aby wspierać czarne kobiety dotknięte apartheidem i innymi formami niesprawiedliwości. Lorde dała też początek Ruchowi Czarnych w Niemczech. Choć skupiała się na kobietach, współczesny feminizm, który powinien przejść natychmiastową metamorfozę i gruntowne przewartościowanie, może czerpać z jej nauczania pełnymi garściami. W swoich esejach pisarka podkreślała konieczność komunikowania grup marginalizowanych, aby uwidocznili ich zmagania w represyjnym społeczeństwie. Zwracała również uwagę, że jako społeczeństwo powinniśmy się edukować na temat ucisku innych. Lorde utrzymywała, że

kluczowymi założeniami feminizmu są wzajemne powiązania wszystkich form ucisku, a różnic nie należy wykorzystywać do dzielenia.

Czy podobne założenia można znaleźć w działaniach i ideach głoszonych przez rodzime feministki? No bez jaj, że się tak kolokwialnie wyrażę.

...

Kiedy czytam felietony Magdaleny Środy czy Joanny Senyszyn, odnoszę wrażenie, że doświadczam trudnej miłości. Bo choć obie cenię i lubię, zastanawiam się, czy dyskusja o prawach i równości pod flagą feminizmu zawsze musi załatwiać mizoandrię. Mizoandryzm to

FEMINIZM
JASNOGÓRSKI



Faceci są jacyś gorsi

nienawiść lub silne uprzedzenie do mężczyzn. I niestety właśnie taki kontekst najczęściej mają dyskusje o prawach kobiet.

Gdyby ktoś publicznie głosił tezę, że mężczyźni są lepiej wykształceni, mniej zmanierowani i narcystyczni, ciekawsi świata i znacznie bardziej obiektywni, publicznie splonąłby na stosie. Taka to egalitarna demokracja. A w ten właśnie sposób pisała w swoim felietonie do „Gazety Wyborczej” Magdalena Środa o kobietach. Nie zapomnę również słów Joanny Senyszyn, która w jednym z programów stwierdziła, że mężczyźni popełniają częściej samobójstwa, ponieważ są słabsi psychicznie, nie radzą sobie we współczesnym świecie, nie potrafią się w większości dostosować do tego, że kobiety wreszcie osiągnęły niezależność. Kurwa, litości. Mamy lata 20. XXI w., to nie dzikie lata 90. Polacy popełniają sześć razy częściej samobójstwa, bo i oni nie radzą sobie z ciągłą oceną i przymusem realizacji niemożliwych ideałów. Dużą rolę odgrywa tu presja sprostania oczekiwaniom społecznym. Porażka w naszej kulturze jest niemięska.

...

Wpadł mi w ręce wywiad Patrycji Wieczorkiewicz z „Krytyki Politycznej” z Jakubem Chabikiem, menedżerem w branży informacyjnej, wykładowcą akademickim, publicystą i prezesem Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn. Chabik zwraca w nim uwagę na

pewien istotny szczegół, dając zasłużonego klapsa lewicy, chociaż nie tylko temu ugrupowaniu powinno się dostać: „Jedyną formacją polityczną, która swój przekaz od lat adresuje wprost do młodych mężczyzn, jest Konfederacja, która cieszy się obecnie gwałtownym wzrostem poparcia. To konsekwencja ignorowania przez wszystkie pozostałe opcje polityczne problemów mężczyzn, zwłaszcza tych z klas niższych, pracujących fizycznie, mieszkańców wsi i małych miast, przy jednoczesnym powtarzaniu, że jako mężczyźni należą do grupy uprzywilejowanej”.

...

Warto, aby politycy lewicy wzięli sobie do serca tę uwagę. Skupienie wyłącznie na kobietach i mniejszościach prędzej czy później musiało doprowadzić do zwrócenia się mężczyzn ku temu, kto pierwszy się o nich upomni.

„Dyskryminacja kobiet jest faktem. Nie możemy jednak walczyć o równość w sposób selektywny. (...) W gruncie rzeczy walczyliśmy o to samo – o równość” – mówi Chabik.

Koleżankom feministkom radzę przewietrzyć poglądy, bo – może naiwnie – jednak wierzę, że tak jak utrzymywała Lorde, różnic nie warto używać do dzielenia i wspólnie możemy osiągnąć więcej.

IDALIA DUBICKA

Wojny gen-dero-we

Polacy nie gęsi, też swojego Richarda Dawkinsa mają.

Polskim Dawkinsem możemy nazwać niejakiego Łukasza Sakowskiego, z wykształcenia – podobnie jak Anglik – również biologa, autora popularnego bloga „To tylko teoria”.

Sakowski zaczynał jako popularyzator nauki, co prawda z syndromem trzeciego roku (to taki syndrom studentów i początkujących naukowców, którym wydaje się, że są już najmądrzejsi na świecie i wszystko wiedzą najlepiej), ale na początku szło mu nieźle. Później popularyzacja nauki ustąpiła krucjacie antytrans – wykorzystując fakt, że studiował biologię, zaczął rozpowszechniać, podobnie jak Dawkins [piszemy o tym na str. 14–15], teoryjki o istnieniu tylko dwóch płci.

Do tego aktywnie włączył się w agresywny ruch antytransowy zapoczątkowany w Polsce przez grupę byłych feministek i aktywistek, które w transpłciowości upatrują zagrożenia dla szeroko rozumianej sprawy kobiecej (ni mniej, ni więcej, tylko uważają, że transpłciowe kobiety to faceci – agenci patriarchatu nasłani celem zniszczenia feminizmu, a transpłciowi mężczyźni to ich biedne siostry zmanipulowane przez wrogie siły i zmuszone do ucinania sobie cyków wbrew własnej woli). Sakowski dobrze się w tej ferajnie odnalazł i wspierał ją swym ideologicznym głosem, manipulując przy tym faktami i badaniami naukowymi tak, by wszystko podchodziło pod tezę.

11 kwietnia katolicki (sic!) magazyn „Kontakt” opublikował tekst „To tylko teoria”, w którym Marcelina Jeziorko i Michał Kielbiński demaskują Sakowskiego jako ignoranta i manipulatora stojącego w całkowitej sprzeczności z obecnym stanem wiedzy (ich tekst to zresztą także kolejny przyczynek do uznania poglądów głoszonych przez Dawkinsa za bezzasadne). Po tym, jak w owym tekście zrobiono z niego jajecznicę, Sakowski kolejnego dnia ujawnia się z hukiem na pół internetowej Polski jako tzw. detrans, czyli osoba uznana za transpłciową, która przeszła korektę płci, a następnie ją odwróciła, czyli wróciła do swojej pierwotnej płci. Robi to z pozą męczennika ukrzywdzonego przez złych starych transów, którzy go – jako nastolatka – złowili, naszpikowali lekami hormonalnymi i niemal zmusili do korekty płci.

Problem w tym, że Sakowski sam na swoim blogu publikuje fragment specjalistycznej opinii, w której stwierdzono, że transpłciowy nie jest – jest natomiast gejem, który przyjął ideę bycia osobą trans „jako korzystniejszy wariant w samoocenie”. Jeżeli więc nadal po takiej diagnozie brnął w korektę płci i ją przeprowadził, to zrobił to na własne życzenie – nie jest to postawa nieznaną w środowisku. Jeśli więc ktoś go skrzywdził, to był to przede wszystkim on sam. Dziś próbuje za to obwiniać całą społeczność osób transpłciowych oraz lekarzy i psychologów, którzy się tą tematyką zajmują. No cóż, jaki kraj, taki Dawkins.

E.B.

REKLAMA

MIKOŁAJ PAWLAK
RZECZNIK, KTÓRY SZKODZI DZIECIOM

PROF. LECH NIJAKOWSKI
ZOMBIE WĘDRUJĄ PRZEZ EKRANY

LOBBOWANIE
FUCHA DLA POLITYKÓW

RATOWNIK MEDYCZNY
MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

JAK KACZYŃSKI ZMIENIA POLSKĘ
ŻEROWISKO

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
Longin Pastusiak
Tadeusz Iwiński
Danuta Waniek
Bogusław Liberadzki
Krzysztof Janik
Tadeusz Wojciechowski
Tadeusz Klementowicz
Andrzej Wilk
Piotr Gadzinowski

Masz dość propagandowej papki? Chcesz mądrzej patrzeć na świat?

GOŚNOCĆ BYŁA
GENEZA OD ŻYCIA

www.trybuna.info

Rzeczpospolita mięsna

Tysiąc lat wojny na talerzu.

Mamy dla prawaków dwie wiadomości. Dobrą i złą.

Dobra jest taka, że jak wykazał niedawny sondaż OKO.Press i Tok FM, co czwarty Polak boi się, że jak opozycja dojdzie do władzy, to zakazuje jedzenia mięsa. Zła jest taka, że – jak wykazał opublikowany w połowie kwietnia raport firmy MyBestPharm, „Nawyki zdrowotne i żywieniowe Polaków w czasach wielkiej inflacji” – najpopularniejszą dietą wśród mieszkańców miast w naszym kraju jest dieta wegetariańska, którą stosuje 21,5 proc. respondentów, a 3,5 proc. to weganie. A to miasta wyznaczają trendy, za którymi z mniejszym lub większym ociąganiem podąża prowincja i wieś.

Mięso w Polsce znów trafia nie tylko na stoły, ale rozpała środki przekazu i profile społecznościowe polityków.

Prawdziwy Polak patriota, przekonują politycy PiS-u i Konfederacji, wpierdala mięso, bo wegetarianie to kosmopolityczni zdrajcy ojczyzny, ofiary – jakby rzekł abp Jędraszewski – ekologizmu.

Nie jest to bynajmniej przejaw jakiejś naszej aberracji ani szukania tematów zastępczych. Mięso jako sprawa polityczna jest obecne w kraju nad Wisłą i Odrą od początku państwowości.

Chrobry, Chrobry, byłeś dobry

O Chrobrym śpiewali przed laty T-Raperzy znad Wisły. I Bolek Chrobry, którego podobizna zdobi banknot o nominale 20 zł, mógłby być lajkowany przez wojującą weganę Sylwię Spurek, walczącą z rzeźniami w Parlamencie Europejskim. Dlaczego?

Chrobry podobno nakazywał wybijać zęby ludzimi, którzy jedli mięso, łamiąc nakazane przez Kościół katolicki posty. A w średniowieczu różnego rodzaju posty obowiązywały nie tylko w piątki: trwały prawie połowę roku. Czyli, podpowiadamy europosłance wielkopolskiej, wystarczyłoby, aby nałożyć posty także na drugą połowę roku – rozciągnąć je na ryby, nabiał i jajka – i obrońcy praw zwierząt mogliby wybijać zęby zatwardziałym mięsożercom-recydywistom. Oczywiście, używając do tego biodegradowalnych kijów bejsbolowych.

W świetnej książce – wydanej dwa lata temu – Mai Iwaszkiewicz, „Świnia na sądzie ostatecznym. Jak postrzegano zwierzęta w średniowieczu”, możemy przeczytać o tym, co ludzie przed wiekami sądzili o zwierzętach. I jak bardzo Kościół katolicki patrzył z wrogością na wszystkich, którzy dobrowolnie decydowali się na niejedzenie mięsa, uznając ich za sekciarzy. W końcu w Biblii stoi, że Bóg nakazał uczynić ziemię poddaną człowiekowi.

Bieda wielga między ludem

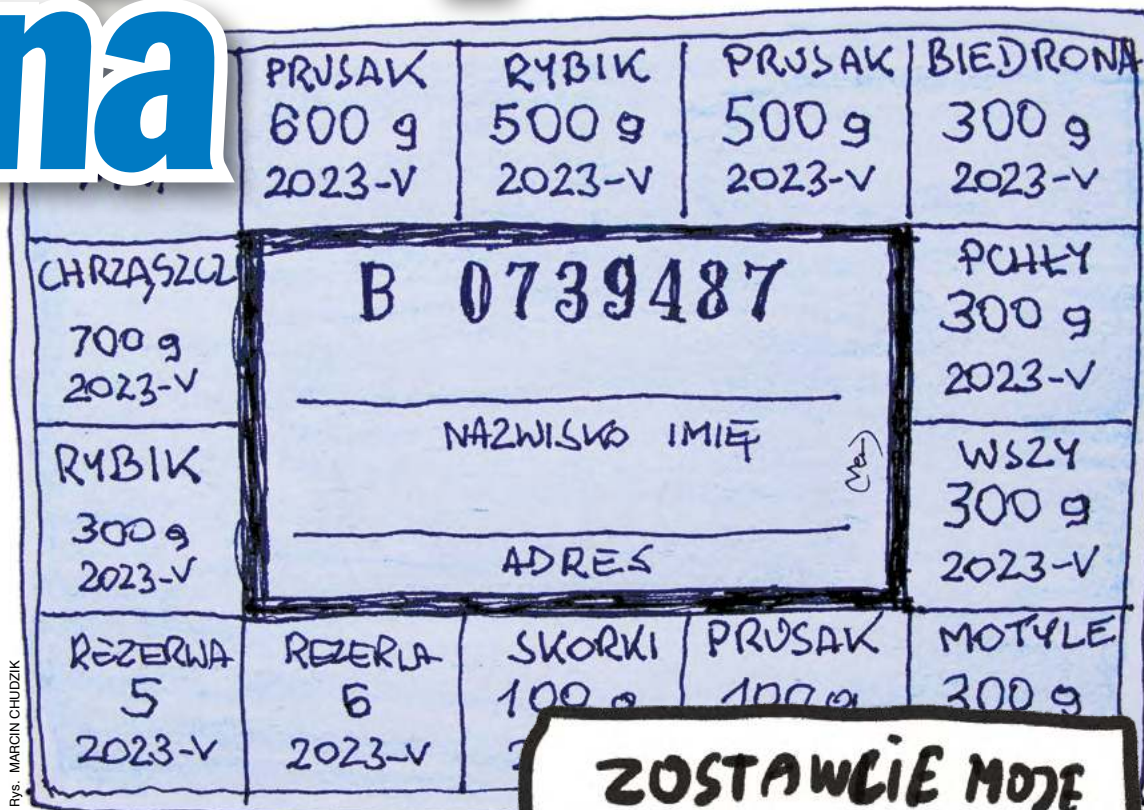
Przez wieki, kiedy 90 procent społeczeństwa stanowili chłopci pańszczyźniani, mięso gościło zwykle na pańskich stołach. Szlachta pokazywała swoje bogactwo, urządzając – rękami chłopów, gwoli ścisłości – wielkie uczyty, podczas których stoły ugiwały się od wszelkiego rodzaju mięsiwa: im bardziej wymyślnego, tym lepiej.

O tym, co pozostało biedakom, najlepiej świadczy górnoślązki „Lament chłopski”:

„Bieda wielga jest pomiędzy ludem/ wielu ona często trzepie głodem.

Jeno chleba i soli dość mają/ twarogiem i maślanką się krzepią

Jagły w mleku – te są bardzo rzadko/ dnia każdego są gajdoki tylko



knedle zaszę, kluski, mięso, jajka/ od wielkiego święta jeno mają”.

Kiedy zatem w latach 90. ubiegłego wieku zaczęły jak grzyby po deszczu powstawać różnego rodzaju knajpy, oferujące tzw. chłopskie jadlo, to tak naprawdę było to jadlo szlacheckie.

Trzymając w ręku kartki

PRL, o czym się dzisiaj zapomina, był przez miliony ludzi – pamiętających czasy dwudziestolecia i drugiej wojny światowej – podziwiany za to, że mogli oni regularnie jeść mięso, czasem nawet to uchodzące za luksusowe. Potomkowie chłopów pańszczyźnianych wreszcie mogli najeść się tym, co tak smakowało ich panom.

Chłopi nienawidzili obowiązkowych dostaw żywca w czasach stalinowskich. Kojarzyli się im one z hitlerowską okupacją. Kiedy je zniesiono, polska wieś odetchnęła z ulgą i zaczęła kombinować, jak zarobić na lewych dostawach dla mieszcuchów.

W latach 60. XX wieku wybuchła tzw. afera mięsna, dotycząca wykrytych przez partię nieprawidłowości w handlu, łapówek, zamiany towaru lepszej jakości na pośledniejszy. Aresztowano 400 (!) osób, proces był prowadzony w trybie doraźnym, co uniemożliwiło skuteczną obronę. Kozłem ofiarnym został Stanisław Wawrzecki, dyrektor Miejskiego Handlu Mięsem Warszawa Praga. Dostał wyrok śmierci, który wykonano 19 marca 1965 r.

Szczyt rozpasy na talerzu przypała na dekadę Gierka, potem zaczęły się schody, a w ostatnich latach komuny dieta stała się tematem zapalnym. Przypomnijmy, że jeden z postulatów Solidarności z sierpnia 1980 brzmiał: „Wprowadzić na mięso i jego przetwory kartki – bony żywnościowe (do czasu opanowania sytuacji na rynku)”. I był to postulat wcześniejszy od postulatu skrócenia czasu oczekiwania na mieszkaniowy czy zabezpieczenia odpowiedniej liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach dla pracujących matek!

Choćby na skrobi

Kwestia mięsna zdobyła szturmem kinematografii i kabarety PRL-u. Zaczynijmy od najśłynniejszych chyba śmieszaków Polski Ludowej, poznańskiego Teya. Wspomnijmy dwie piosenki tego kabaretu.

Pierwszą z nich jest „Konwojent”, ironiczny kawałek o tym, że bunt solidarnościowy wynikał z problemów z żarciem: „Jedzenie zrodziło w nas myślenie”, „Jedzenie ze snu wyrwało nas”. Padają tu znamienne słowa: „Niechaj żyją rzeźnie!” i „Zawsze niech będzie schab”.

Dosadny jest również utwór „Bo my musimy być silni i zdrowi”. To satyra na braki mięsa w sklepach:

„Bo My musimy być silni i zdrowi,
Choćby na skrobi, choćby na skrobi,
Bo my musimy być dziś mniej pazerni,
roślinożerni, roślinożerni.
Nam polędwica oraz schab
Nie smakują tak jak szczaw”.

Kwestia mięsna pojawia się wielokrotnie w komediach Stanisława Barei z lat 80. W „Misiu” pojawia się „ostatnia parówek z hrabiego Barry Kenta”, którą pochłonęli „parówkowi skrytożercy”. W teatrze zaś matka wskazuje dziecku scenę, mówiąc: „Widzisz, synku, tak wygląda baleron”.

Kwestia mięsa pojawia się nieraz w serialu „Alternatywy 4”. Geniusz Barei objawił się tym, że nawet przewidział niejako głównoburzą spowodowaną jedzeniem robaków. Jeden z bohaterów drugoplanowych, grany przez Gajosa towarzysza Jan Winnicki, mówi w jednym z odcinków: „Niedługo wyjdzie całkowity zakaz hodowli mięsa i wtedy wie pan co, w Szczepieszyźnie chrząszcz brzmi w trzcinie”.

W imię ojca i syna, i salcesonu

Problem mięsa nie zniknął z polskiego życia politycznego wraz z upadkiem komuny. Wrócił w nowej – a jakby znajomej – odsłonie. Kiedy

niedawno opolski ziobrysta, europoseł Patryk Jaki, zrobił sobie fotę ze stekiem na talerzu – była to kwestia nie tyle dietetyczna, co polityczna.

Przypomnijmy, że parę lat temu Witold Waszczykowski, ówczesny minister spraw zagranicznych, mówił niemieckiemu „Bildowi”, że PiS chce „wyleczyć” Polskę z „kilku chorób”. Jego zdaniem rząd Tuska realizował „specyficzną koncepcję lewicowej polityki. Tak jakby świat musiał poruszać się według marksistowskiego wzorca tylko w jednym kierunku – nowej mieszaniny kultur i ras, świata złożonego z rowerzystów i wegetarian, którzy używają wyłącznie odnawialnych źródeł energii i zwalczają wszelkie przejawy religii. To nie ma nic wspólnego z tradycyjnymi polskimi wartościami”.

Narodowcy w różnych miastach atakowali fizycznie knajpki wegetariańskie i wegańskie, wybijając w nich szyby. Na fasadzie jednej z nich napisali sprejem: „Mięso, masa, biała rasa”. W Lublinie zaś powstał lokal Prawdziwy Kebab u Prawdziwego Polaka, na którego otwarciu stawili się byli kandydaci narodowców na prezydenta RP, Marian Kowalski. Jak tłumaczył jego właściciel, to nie jest lokal „tylko dla Polaków”, lecz chce on trafić do tych, którzy jedzą tylko u Polaka.

Ksiądz Michał Olszewski, jeden z najbardziej medialnych w kraju egzorcystów, specjalizuje się w wypędzaniu demonów wegetarianizmu. Jego największym „sukcesem” było uleczenie salcesonem satanistki, członkini Hare Kryszna, Amnesty International, Greenpeace’u i wegetarianki w jednym. Ciekawe, co by powiedział Olszewski o swojej córce, która jest wojownicą – i wkurwiającą rodziców – witarianką (je same roślinne surowizny).

Jak śpiewały o przeciętnym Kowalskim w szalonych latach 90. Świetliki, rockowy band krakowskiego poety Marcina Świetlickiego: „Nigdy nie oddam, nie oddam nikomu, Mojej wolności i salcesonu”.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Majóweczka:

Do czytania (lub słuchania) przy grillu.

Kalendarz w tym roku sprzyja: wystarczy wziąć urlop 2 maja i balować pięć dni. Wyhodować naprzeciw tej naturalnej potrzeby, proponujemy garść polskich, czyli patriotycznych, piosenek umilających długi weekend, kierując się zasadą Mao – niech rozkwitnie tysiąc kwiatów. A zatem będzie coś dla fanów płynów, ziół i syntetyków.

Piffko

Cały naród, złopiący browary z supermarketów, nie może się doczekać, kiedy znowu będzie można się napić złocistego płynu w knajpie, jak to Polak ma w zwyczaju. Ci, których w czasach drożyzny stać na wizyty w pubach i restauracjach, mogą sobie nucić „Jest dobrze” Andrzeja Grabowskiego:

„Jestem jak motyl przesadnie zmęczony
I głowa co nieco się chybicie.
Alkohol ma dobre, ale też złe strony,
Do wniosku dochodzę w niedzielę przy stole.
Więc proszę o piwo cyncate anioły,
Co wkłó fruwać fałszywie.
Alkohol ma dobre, ale też złe strony.
Pofruńmy wraz z nimi na chwilę do rajów”.

Oczywiście, kufelek lub szklaneczka browarka goszczą na stołach ludzi o bardziej wysublimowanych gustach od Ferdka Kiepskiego. I tu

pojawia się stworzona jakby specjalnie dla nich piosenka – grana przez wiele zespołów, od Starego Dobrego Małżeństwa po punkowego Leniwa – „Nie rozdziobią nas kruki” z tekstem Edwarda Stachury:

„Nie rozdziobią nas kruki
Ni wrony, ani nie!
Nie rozszarpią na sztuki
Poezji wściekle kły!
Ruszał się, Bruno, idziemy na piwo;
Niechybnie brakuje tam nas!”.

Wódeczka

Mój ojciec, który przez lata pracował jako budowlaniec w Austrii, usłyszał kiedyś od znajomego Hansa, że w sklepach wprowadzili specjalnie dwulitrowe butle z gorzałą. Po co? Żeby Polacy nie musieli kilka razy chodzić. Hans nie przewidział, że setki tysięcy Polaków, jadąc autobusami czy tramwajami do roboty o siódmej rano – a takie sceny widziałam wielokrotnie – będą się raczyć małpkami.

O powszechności picia wódki punkowiec Marzałek śpiewa w „Gdzie nie pójdę”, że gdzie nie pójdzie, tam „nakurwiają wóde”. Ale czy to coś złego? Kawałek tego samego artysty, „Pij, pij”, wskazuje, że jest dokładnie odwrotnie: „Pij, pij, pij, to dobrze zrobi ci. Pij, pij, pij pod śmiech i pij na łyż. Pij do dna za zdrowie swoje, Kto ma je wypić jak nie ty. Zdrowie gospodarzy, zdrowie pięknych pań, Zdrowie moje i twoje,

Wykluczeni

Jesteśmy bogaci jak Murzyni na plantacjach bawełny.

„Zesrała się bieda i płacze” – zwykł mawiać mój ojciec, gdy ktoś żalił się na swą niedolę. Polscy biedacy nie mają czasu na smęty, rano muszą zapierdalać do roboty, a po niej często do następnej.

Ubóstwo w Polsce kosztuje, i trzeba się na nie sporo narobić.

...

W latach 80. – nieliczne z perspektywy czasu – wizyty Polaków na Zachodzie pozwoliły przenieść nad Wisłę stereotyp, że smród biedy wlece się za ludźmi leniwymi. Nowy neoliberalny nurt przywłókł za sobą kolejny, jak się okazało, frazes, że każdy jest kowalem swego losu.

„Pracujący biedni” to termin funkcjonujący w słowniku socjologiczno-ekonomicznym. Właściwie brzmi jak oksymoron, tymczasem pracujący ubodzy to coraz większy problem większości państw rozwijających się, a Polska zajmuje wysokie miejsce w rankingu krajów o wysokim wskaźniku tego zjawiska.

A to niejedyny peleton, w którego czołówce się plasujemy. Podliczono, że pracownicy w Polsce znajdują się w europejskiej czołówce pod względem liczby przepracowanych w ciągu roku godzin, a więcej czasu w pracy spędzają tylko Maltańczycy, Grecy, Rumuni i Chorwaci.

Dlaczego więc buty rodaków nie kleją się od mleka i miodu płynącego ulicami? Ojców tego stanu rzeczy jest kilku.

Narodem zapracowanym nie jesteśmy na własne życzenie. Oczywiście w panującym kulcie zapierdolu utarło się, że pracujemy dłużej, bo tacy jesteśmy ambitni. Jeśli jednak przyjrzeć się badaniom, prawda leży daleko poza widnokresem tej brokatowej bzdziury.

Z raportu Państwowej Inspekcji Pracy z 2022 r. wynika, że aż 75 proc. Polaków pracuje w nadgodzinach i po godzinach. 15 proc. pracujących jest zatrudnionych na więcej niż jednym etacie. Jedna

trzecia Polaków przyjmuje dodatkowe zlecenia po godzinach. Wbrew urzędowemu orgazmowi ludzie pracy w Polsce zarabiają mało. Oczywiście brzmi to jak wyświechtane czcze pierdolenie, lecz bieda to nie tylko dochód, ale i rzeczywisty poziom zaspokojenia elementarnych potrzeb danych osób i ich rodzin.

Elementarnych – podstawowych, najprostszych, pierwotnych: opłacenia rachunków, zakupu papieru do dupy i mydła, czegoś do zapchania kałduna i leków. Średnia płaca krajowa to śmiech na sali i perfidnie brzydkie kłamstwo. Według GUS przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw w styczniu 2023 r. wyniosło 6883,96 zł brutto i wzrosło o 13,5 proc. rok do roku. Dowcip w tym, że GUS w swoich statystykach nie uwzględnia blisko 2,2 mln mikroprzedsiębiorstw zatrudniających do dziewięciu pracowników. A tam już tak różowo nie jest. Z innych danych wypływa jeszcze większa plama nędzy i rozpacz: wynagrodzenie na podstawie umowy o pracę, które wynosi mniej niż płaca minimalna (3010 zł brutto od 2022 r.), otrzymuje łącznie 2,6 mln pracowników, czyli ok. 20 proc. wszystkich zatrudnionych. Oznacza to, że blisko co piąty pracownik nie jest zatrudniony na pełny etat. 65 proc. pracujących płacy minimalnej nawet nie powącha. Krótko mówiąc, między płacą najczęściej występującą a płacą minimalną nie ma wielkiej różnicy.

...

Przekonanie, że „ciężką pracą ludzie się bogacą”, „chcieć to móc”, i resztę frazesów można wsadzić sobie w okężnicę, ewentualnie postawić na półce obok mitu, że neoliberalny kapitalizm nie ma sobie równych. Ludzie zapierdalaający za michę ryżu wpadają w pułapkę systemu, z której praktycznie nie ma wyjścia. Co gorsza, nawet jeśli psim śwędem uda im się wydostać na powierzchnię z bagna dziadostwa, które z trudem pozwala na szczątkową egzystencję, ślad tego doświadczenia przypomni o sobie na stare lata pod postacią bieda-emerytury i koło się zamyka.

...

Termin „working poor” powstał w latach 80. XX w. w USA. W Stanach Zjednoczonych zjawisko to przybiera na sile, ponieważ państwo nie oferuje – tak jak w przypadku większości państw europej-

skich – darmowej edukacji czy służby zdrowia. Jako że w Polsce te dwa ostatnie dobra darmowe są już tylko z nazwy, równie łatwo wpierdolić się w maliny lub, jak kto woli, zjechać po równi pochyłej, nawet kiedy ma się robotę albo i dwie.

...

Pamiętam początek XXI w., kiedy licealistów i studentów wytykano paluchami, pokrzykując gromko, że chuja będą mieli nie zawód, a fach w ręce to stabilne zatrudnienie. Tymczasem życie przydzieliło wedle starej maksymy „każdemu po równo, każdemu gówno”. Od tamtego czasu minęło prawie ćwierć wieku. Lepiej wykształceni, którzy w poszukiwaniu szczęścia uciekają do większych miast, zderzają się ze ścianą kosztów życia, wynajmem kawalka podłogi zżera lwią część ich wynagrodzeń, co znowu blokuje możliwość wzięcia kredytu na zakup własnego lokum. Lista chujowo opłacanych zawodów w kraju jest długa jak stąd do Moskwy, a przekrój szeroki i bogaty jak skład mortadeli. I tak od pracowników sprzątających przez ochroniarzy, pracowników oświaty, personel medyczny, sekretarki, fryzjerów, kucharzy, zawodowych kierowców

i budowlańców aż do pracowników budżetówki. Jest jeszcze szara strefa, która – powiedzmy – wymyka się oficjalnym statystykom. Jak podał Polski Instytut Ekonomiczny, około 6 proc. wszystkich wynagrodzeń w Polsce jest wypłacanych poza oficjalną ewidencją. Liczba pracowników otrzymujących wynagrodzenie pod stołem wynosi ponad 1,4 mln. No i chuj, no i cześć, wszak lepiej mieć niż nie mieć, wilk syty i owca cała. Otóż nie do końca. Bo kiedy przyjdzie się zmierzyć z festiwałem ułomności cielesnych, czy to w wyniku chorób czy wypadku, wysokość chorobowego będzie odpowiadała wynagrodzeniu w umowie. To samo tyczy się emerytury. A z gówna ciężko ukrećć bat. Na przekwalifikowanie się i szukanie lepszego zatrudnienia szczer pod czas wyścigu do okruszka nie ma szans. Brak czasu i pieniędzy na przetrwanie do momentu znalezienia nowego zatrudnienia czy wyjazdu za granicę zacieśniają pętlę wokół szyi. Osoby dotknięte biedą kurczowo trzymają się tego, co mają, bo i to mogą stracić. Na pierdolenie o zasiłku dla bezrobotnych wszystkim zainteresowanym proponuję zrobić miejsce w okężnicy obok reszty przytoczonych w tekście frazesów. Po pierwsze w Polsce mało komu należy się taki zasiłek, po drugie w 2023 r. zasiłek wynosi 1304,10 zł przez pierwsze trzy miesiące od chwili jego przyznania. Pytanie: żyć czy umierać?

...

Chętnych na dziadowe stanowiska pracy nie zabraknie z jeszcze jednego powodu. Często niedzięcznej roboty podejmują się ludzie, których wysokość rent i emerytur statusem zrównuje z gołębiami posilającymi się resztkami wymiocin z chodnika. Im rynek pracy niczego lepszego nie proponuje, a na ich miejsce czekają rzesze kolejnych, którym ciężka robota pozwoliła dorobić się tylko garbu.

IDALIA DUBICKA



rys. JANUARY

piwko i lufeczka

A na pohybel narodowcom”.

Lufeczka

W epoce zmian klimatycznych i masowego niszczenia przyrody, jak mówią amerykańscy naukowcy, potrzebna jest zielona rewolucja i zwrot ku naturze. Zamiast więc napędzać maszynę konsumpcji korporacyjnych gorzelni i browarów, majóweczkę można spędzić przy lufce lub skrećie z marihuany. Aby lepiej się upalić, warto sięgnąć po muzyczne pewniaki o trawce.

Zaczniemy familijnie od „Powiedziano” artysty ragga (to takie nowoczesne reggae) Juniora Stressa:

„Chyba wszystko już powiedziano o tym, jak fajnie jest zapalić rano,

Potem w południe i na dobranoc, wyłącz to teraz, jak nie masz tak samo.

Chyba wszystko już powiedziano, raczę się rośliną zakazaną,

Czasami z tatą, czasami z mamą, choć patologie nam przypisano”.

Oczywiście hiphopowcy też kochają zioło, czego świadectwem jest kawałek PCP (Północ Centrum Południe) o smakowitym tytule „Uciulany giecik”:

„Teraz idzie dla tych wszystkich, którzy wiedzą, co jest grane.

Usiądź wygodnie, odpal marihuanę. (...)

Polskie spojrenie, a obraz szeroki.

W pamięci Holandia i coffee shopy.

Szlachetne topy, które kruszę i palę.

Czuję się po tym wprost doskonale.

Gorąco polecam i znów skrećta wzniecam”.

Kreseczka

Jeśli nasi Czytelnicy, w dupie mając prawo, sięgną po mocniejsze używki, to powinni mieć świadomość, że pewne połączenia są chujowe i niewskazane. I tak stanowczo odradzamy łączenie alkoholu z kokainą, bo statystyki jasno pokazują, że stosując taki miks 16 razy częściej niż pozostali strzelają samobój. Można się ostro bawić, byle robić to bezpiecznie i z głową.

Miłośnicy kreseczki jednak nie powinni być skazani na słuchanie koronki do bożego miłosierdzia w Radiu Maryja, o czym przekonuje obrazoburczy – szacunek za kawałek „Jbć PiS”! – Cypis w numerze „Gdzie jest biały węgorz?”:

„Tylko jedno w głowie mam,

Koksu pięć gram, odlecieć sam.

W krainę zapomnienia.

W głowie myśli mam,
Kiedy skończy się ten stan,
Gdy już nie będę sam,
Bo wjedzie biały węgorz”.

The day after...

Kiedy już procenty wywietrzeją z napranych głów, a THC i koks ulotnią się z krwi, może Polacy zaczną się poważnie zastanawiać, co zrobić, aby pensje były wyższe, a godzin pracy mniej. Czyli żeby było więcej czasu i kasy na relaks, w tym na imprezy. Jak zauważa brytyjski marksista Terry Eagleton, socjalizm wymaga skrócenia czasu pracy, a

walka o czas pracy to jedno z podstawowych pól walki między pracą a kapitałem.

A skoro o skróceniu czasu pracy mówi nie tylko niszowe Razem, ale i PO, to dożyliśmy czasów, gdy Tusk – w tym aspekcie – nawrócił się na socjalizm. Czyli nie wszystko w kraju idzie w złym kierunku. I już za to warto wypić i zapalić!

K.K.

1830 – tyle godzin pracuje przeciętny Polak wedle najnowszych (za rok 2021) danych OECD. To dużo, bo średnia unijna to zaledwie niecałe 1566 godzin. A tacy Niemcy, uchodzący globalnie za pracowitych, pracują ponad 480 godzin rocznie mniej! Nie dziwota, że zaharowani rodacy, jak mają tylko okazję, raczą się wszelakimi używkami.



Miłość w trójkącie: niedźwiedź, tygrys i bizon

Stalin i Mao – ileż to się działo.

Kilka tygodni temu minęło 70 lat od śmierci Józefa Stalina. Nikt tej rocznicy nie dostrzegł, bo uwagę wszystkich zajmował inny despot, tym razem chiński: prezydent Xi Jinping. A szkoda, gdyż współczesna odsłona rozgrywki w trójkącie Rosja, USA, Chiny pod wieloma względami przypomina poprzednią. Wzajem się uzupełniają.

Witaj, Mao

Gdy Stalin obejmował w Rosji radzieckie władzę po Leninie, w tamtejszym rolnictwie jeszcze szeroko były w użyciu sochy. Umierał jako szef supermocarstwa wyposażonego od czterech lat w broń nuklearną. Jednak wśród wielu nadal źle urządzonych lub spartaczonych spraw swojego kraju pozostawiał w złym stanie relacje z głównym wówczas jego sojusznikiem – z istniejącą od czterech lat Chińską Republiką Ludową. Najludniejszym – zbliżającym się do miliarda obywateli – krajem świata, rządzonym przez Komunistyczną Partię Chin. Niezupełnie po myśli Stalina i na pewno nie pod jego kontrolą.

Relacje między Rosją radziecką a rewolucją chińską, wszczętą przez Sun Jat-sena i budzącą zachwyt Lenina, po jego śmierci zaczęły się psuć. Stalin bowiem chciał zwasalizować rodzącego się olbrzyma, a przynajmniej powstała w Chinach partię komunistyczną. Jedno i drugie okazało się poza zasięgiem jego możliwości. Początkowo Związek Radziecki wspierał założoną przez Sun Jat-sena socjalistyczno-narodową partię chińską Kuomintang, a nawet doprowadził do podporządkowania jej chińskich komunistów. Jednak wyznaczani przez Komintern przywódcy Komunistycznej Partii Chin nie zdołali nigdy jej sobie podporządkować. Spędzali czas na kursach marksizmu-leninizmu w Moskwie, a w Chinach dowódcy wojny domowej, która tam wybuchła, w czasie Wielkiego Marszu wybrali swoim liderem Mao Zedonga i on wbrew Stalinowi rządził partią i terenami przez nią kontrolowanymi. Stalin musiał przyjąć to do wiadomości, bo miał poważniejsze sprawy na głowie – wojnę w Europie.

Chiny bez muru

Po II wojnie światowej Stalin wbrew pozorom nie chciał zwycięstwa komunistów w Chinach.

Marzyły mu się Chiny podzielone, jak Niemcy czy Korea. Północna część pod władzą Komunistycznej Partii Chin i kontrolą ZSRR, a południowa pod władzą Czang Kaj-szeka i kontrolą USA. Odradzał chińskim komunistom powojenną ofensywę przeciw Czangowi i skromnie wydzielał im broń zdobytą na Japonii. Nic z tego nie wyszło – Mao uprzejmie potakiwał radom Stalina, ale robił swoje.

W 1947 r. rozpoczął ofensywę przeciw skorumpowanemu Kuomintangowi, dobroił się bronią amerykańską – armia Kuomintangu bowiem całym korpusami przechodziła z bronią na stronę komunistów. 1 października 1949 r. Mao proklamował powstanie Chińskiej Republiki Ludowej i koniec dys-

kryminacji narodu chińskiego. Do końca życia Stalina pozornie kierował się jego radami, przyjął tysiące radzieckich doradców, budował wielkie huty, tolerował zawłaszczenie strategicznych portów i miast przez ZSRR. Dał się też wmanewrować w wojnę koreańską przeciw Amerykanom. Początkowo stawał okoniem, ale sami Amerykanie pomogli Stalinowi przełamać jego opór.

Na szlaku do potęgi

Po śmierci Stalina Mao energicznie przystąpił do usuwania stalinowskich zawłaszczeń. Doradców odesłał do domu. Agentów aresztował. Stalinowski wielkoryząca Mandżuria usunął się sam, popełniając samobójstwo, ale Mao mu i tak nie darował. Wydobyto trupa samobójcy z grobu, wykluczono go z partii, osądzono, wyrok wykonano i jeszcze raz pochowano.

Na poważniejsze zmiany nadszedł czas po XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Interweniując na rzecz Gomułki w polskim kryzysie październikowym 1956 r., Mao wymusił na Chruszczowie uznanie partnerskiej i równorzędnej z KPZR pozycji KPCh w obozie socjali-

stycznym. Chcąc przejść od ZSRR wpływy w trzecim świecie, rozpętał krytykę radzieckiej polityki ze skrajnie lewackich pozycji. Za tą ideologiczną krytyką kryły się motywy bardziej realne.

Mao dążył do wyposażenia swojego państwa we wszystkie atrybuty mocarstwowe, przede wszystkim w broń nuklearną. Oczekiwał od władz radzieckich podzielenia się wiedzą i technologią, a gdy Rosjanie odmówili, zagroził rozłamem.

Przerazony tą perspektywą Gomułka napisał w lecie 1962 r. do Chruszczowa osobisty list, uzasadniający celowość ustępstw w tej kwestii, aby uniknąć rozłamu. „Oni i tak tę broń zdobędą” – pisał. Nie mylił się. Dwa lata później Chiny przeprowadziły udany test nuklearny własnym wysiłkiem i z pomocą fizyków chińskich z krajów Zachodu. Z drogi rozłamu już nie zeszły. Tyle że zdecydowały się to zrobić z pozycji otwarcie nacjonalistycznych, w przymierzu ze Stanami Zjednoczonymi.

Nastąpiła seria demonstracji politycznych o charakterze antyradzieckim, pokazujących światu zachodniemu, że Chiny mają na celu nie rewolucję komunistyczną, lecz odbudowę mocarstwowej pozycji swego kraju. Krwawe incydenty na granicy z ZSRR. Obojętność i bezczynność wobec wymordowania w Indonezji przez juntę wojskową półtora miliona komunistów z rodzinami, głównie Chińczyków. Cyniczne manipulowanie dostawami broni do Wietnamu, by wojna prowadzona tam przez Stany Zjednoczone nie wygasła. I tym podobne.

Czas apokalipsy

Zaangażowany w wojnę wietnamską rząd USA pojął adresowany do niego chiński przekaz: bezpiecznie będzie można ją zakończyć tylko w porozumieniu z Chinami. Ideę tę podjęła administracja prezydenta USA Richarda Nixona, zwłaszcza Henry Kissinger, profesor Harvardu, sprawujący wówczas funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa. Ruszyła lawina zmian. W Paryżu podjęto rozmowy pokojowe z przedstawicielstwem Wietnamskiej Republiki Ludowej. W Polsce i w Pakistanie zainicjowano przygotowania do tajnej misji Kissingera w Chinach. Złożył w Pekinie dwie wizyty, obie w 1971 r. Wy negocjował dwie sprawy: normalizację stosunków chińsko-amerykańskich oraz wizytę prezydenta Nixona w Pekinie. Ta historyczna wizyta odbyła się w lutym 1972 r. Przed tym Stany Zjednoczone wręczyły Chinom Ludowym prezent na pojednanie: 25 października 1971 r. wycofały swoje weto wobec uchwały ONZ przywracającej Chińskiej Republice Ludowej miejsce w Radzie Bezpieczeństwa – z prawem weta. W tym dniu Chiny Mao zostały formalnie uznane światowym mocarstwem, weszły do grona pięciu policjantów, którzy według pomysłu Franklina D. Roosevelta mieli strzec światowego pokoju.

Dalej wydarzenia toczyły się szybko. 28 marca 1973 r. zawarto w Paryżu porozumienie o zakończeniu wojny wietnamskiej. Wycofywanie wojsk amerykańskich zajęło jeszcze prawie dwa lata. Dramatyczny epilog rozegrał się w Sajgonie pod koniec kwietnia 1975 r. Ludowa Armia Wietnamu i siły Wietkongu wkraçały do stolicy południowej części kraju. W ciągu 10 lat wojny ze Stanami Zjednoczonymi straciły milion poległych, a zabiły 70 tys. Amerykanów. Teraz, pojednane z wrogiem,

Elokwentny Ocean Mądrości

Nie taki lama, jak go w Europie malują.

Przynajcie: nawet ci z nas, którzy żywią zdrową nieufność wobec wszystkich zorganizowanych religii, uważali, że XIV Dalajlama jest fajnym facetem. Przynajmniej ja tak uważałam. Musiał kazać dziecku posać swój język, żeby wzbudzić niejake wątpliwości.

Akcja miała miejsce w lutym w siedzibie Tybetańskiego Rządu na Uchodźstwie w Dharamsali, gdzie Tenzin Gyatso spotkał się z absolwentami programu szkoleniowego dla młodych liderów. Jedno z dzieci poprosiło duchowego przywódcę o uścisk. Po czym nastąpiła dziwna interakcja, w której apostoł wolnego Tybetu pocałował dziecko w usta i zaproponował mu ssanie języka, chłopiec usłyszał, że ma służyć „pokoju i szczęściu”. Obrońcy dalajlami przekonują, że pokazywanie języka jest tradycyjnym elementem kultury Tybetu – i to prawda. W kulturze Tybetu nic z tego, co zrobił dalajlama, nie było dwuznaczne, a już na pewno seksualnie. I zapewne prawdą jest też, że nagła „viralność” tego wideo jest dziełem influencerów na żołądź KPCh. Ale na swój sposób jestem im wdzięczna, bo skłonili mnie do bliższego spojrzenia na polityczną działalność przywódcy Tybetu.

Po tym, jak w kwietniu wideo z tego dziwaczno-spotkania stało się głośne w sieci, osobiste biuro dalajlami wydało oświadczenie: „Jego Świątobliwość często przekomarza się z osobami, które spotyka, w niewinny i żartobliwy sposób”. Zapewne to właśnie ta żartobliwość – permanentnie i dość infantylnie dobry humor, postawa raczej rzadka u przywódców religijnych – pozwoliła Gyatso przez tyle lat unikać surowości zachodniej opinii publicznej. I jeszcze to, że był prześladowany przez komunistyczne Chiny.

Tenzin Gyatso ma bowiem na swym koncie całą listę wystąpień, które powinny były wzbudzić czujność. I to zarówno w wymiarze obyczajowym, jak i humanitarnym.

Baby powinny być ładne

Trzeba na przykład docenić fakt, że przy kilku okazjach XIV Dalajlama nie wykluczył, że piętnastoletni mógłby być kobietą. W tej dziedzinie bije na głowę postępowego jakoby papieża Franciszka, który wyklucza kobiety nawet z szeregów zwykłego kleru, a co dopiero wcielenia bóstwa. Tym niemniej Gyatso dodaje warunek: kobieta musi być atrakcyjna. Ten żarcik przywódcy Tybetu powtarzał wielokrotnie przez całe lata w różnych wywiadach, w których stwierdzał, że „brzydka kobieta nie byłaby zbyt skuteczna” jako jego następczyni i że „choć

prawdziwe piękno jest pięknem wewnętrznym, wygląd jest również bardzo ważny”.

To można by ewentualnie złożyć na karb wieku – Gyatso ma 87 lat, współczesna poprawność polityczna może być dla niego niezrozumiałym konceptem. Ale mówił też o rzeczach, które powinny leżeć niejako w centrum jego zainteresowań, jako faceta noszącego oficjalny tytuł „Najczcigodniejszy, Doskonałej Chwały, Elokwentny, Inteligentny Dzierżawca Nauk, Ocean Mądrości”.

Przybłędom mówi stanowcze nie

Dalajlama, sam od 1959 r. żyjący na emigracji w Indiach, dość konsekwent-



święcili triumf. Ambasadę USA w Sajgonie otaczały tysięczne tłumy. Dawni przyjaciele i współpracownicy USA usiłowali dostać się na teren ambasady i stamtąd helikopterem na lotniskowiec po azyl w USA. Szukali ratunku przed zemstą Wietkongu. Amerykanie nie byli w stanie tych tłumów zagospodarować i skontrolować, ze smutkiem patrzyli na transparenty: „Wielka zdrada!”.

Martwi jak milion dolarów

Sukces Chin nie oznaczał rewolucji, mimo przymiotnika „socjalistyczny”. Oznaczał nowy typ azjatyckiego państwowego kapitalizmu. Do jego reguł dostosowały się po kilku miesiącach wszystkie kraje regionu. Same się w razie potrzeby pacyfikowały. Chiny stoczyły krótką wojnę z Wietnamem, Wietnam z kolei spacyfikował Czerwonych Khmerów w Kambodży, kto inny Laos. Dziś to kraje nowego kapitalizmu – nie czerwone, lecz tylko różowe, przyjazne Ameryce i Chinom. Główny autor całego zamieszania, Henry Kissinger, otrzymał pod koniec 1973 r. z rąk parlamentu norweskiego Pokojową Nagrodę Nobla za doprowadzenie do zakończenia wojny wietnamskiej. Jego wietnamski partner rozmów paryskich i wspólnik Nobla Le Duc Tho nagrody nie przyjął. Chyba trochę ze wstydu. Milion dolarów za milion poległych to nie brzmi dumnie. Taki był bilans tej fazy rozgrywki.

A Duda wciąż czeka

Od kilku dziesięcioleci trwa nowe rozdanie. Aktorzy ci sami, choć w nowych rolach. Rosja zredukowana do pozycji uboższego krewniaka. Chiny – nowoczesna potęga gospodarcza, technologiczna, militarna – stały się szybko rosnącym rywalem USA. Tylko Stany Zjednoczone to niezmienne główne supermocarstwo, choć już nieco mniej wszechmocne i po przejściach.

Bieg wydarzeń skomplikowała wojna w Ukrainie lekkomyślnie wywołana przez Putina i dość nieoczekiwanie przez Rosję kompromitująca przegrana. W rezultacie w łonie NATO sformowała się niewielka grupa państw, z Polską na czele, które dostrzegły okazję pozbycia się raz na zawsze rosyjskiego wroga. Ta frakcja jastrzębi przeży muskuły, zbroi się na potęgę, kibicuje czynnie Ukrainie, ale nie na wiele może sobie pozwolić bez zgody i asystencji Stanów Zjednoczonych. A te

zgody na zniszczenie Rosji nie dają z dwóch powodów: groziłoby to w fazie krytycznej wojny nuklearną o trudnych do przewidzenia konsekwencjach, a ponadto Rosja – mimo osłabienia – jest Stanom Zjednoczonym potrzebna w układance mającej pohamować Chiny.

Większość państw NATO, wraz z Francją i Niemcami, skłania się ku polityce umiaru i ku stawce na kompromisowe zakończenie wojny, Polska chętnie występuje w roli głównego sojusznika Ukrainy i Stanów Zjednoczonych w Europie Środkowo-Wschodniej. Choć realia co pewien czas ten obraz korygują, jak choćby teraz. Olaf Scholz, piętnowany u nas za kunktatorstwo, miał już swoją oficjalną wizytę w Waszyngtonie i od tygodni jest konsultantem w sprawie przygotowań do wileńskiego szczytu NATO planowanego na lipiec. Andrzej Duda wciąż czeka na zaproszenie.

M.Z

Dalajlama – który ze względu na jego status obecnego wcielenia Buddy ma szczególny tytuł do przemawiania do buddystów – ograniczył się do dość powściągliwego wezwania, adresowanego do tych, którzy „nękają niektórych mużulanów”, żeby „pamiętali Buddę”, dodając, że sytuacja jest „bardzo, bardzo smutna”. Ocean Mądrości użył tu słowa „harassing” – co może oznaczać nękanie, przeszkadzanie, zakłócanie czyjegoś spokoju – a także molestowanie seksualne. Można odnieść wrażenie, że nie jest ono miarodajne w przypadku ludobójstwa.

Nieco szemrany

Z nieco lżejszych historii warto wspomnieć odwiedziny dalajlamy na kongresie amerykańskiej organizacji o nazwie NXIVM w Albany w stanie Nowy Jork w 2009 r. Przedstawiający się jako ruch na rzecz oświecenia i samodoskonalenia NXIVM w istocie rzeczy był z jednej strony piramidą finansową, z drugiej zaś – sektą o dość radykalnie seksualnym charakterze. W jednej z jego komórek kobiety – określane jako „niewolnice” służące liderowi kultu, nazywanemu „Mistrzem” – były piętnowane jego inicjałami, wypalany na żywcą urządzeniem do kauteryzacji parę centymetrów nad lewą pachwiną.

Twórca kultu Keith Raniere odsiaduje obecnie karę 120 lat więzienia za handel ludźmi w celu wykorzystywania seksualnego, zmuszanie do pracy niewolniczej i kilkanaście innych przestępstw. Podczas swojej wizyty w USA dalajlama osobiście ozdobił go tradycyjnym tybetańskim szalem ceremonialnym khata. Trzeba przyznać, że wówczas,

w 2009 r., te szczegóły nie były jeszcze publicznie znane. Ale już wtedy dwa lokalne uniwersytety odmówiły Raniere’owi wynajęcia sali i panowała ogólne rezerwowanie, że jego organizacja jest cokolwiek szemrana. Do tego stopnia, że dalajlama w jakimś momencie odwołał swój występ na konferencji pt. „Światowe Konsorcjum Podstaw Etycznych” – bo tak nazwał swój event sex-guru – ale dwie dziedziczki alkoholowej fortuny Seagram, Sara i Clare Bronfman, zdołały go przekonać do zmiany zdania. Media donosiły, że zaszczyt ten kosztował milion dolarów – choć biuro dalajlamy kategorycznie zaprzecza, żeby przyjął jakiegokolwiek pieniądze.

Marksista z teokracji

Pod tym wszystkim jest jeszcze jedna warstwa, kompletnie nieczytelna na Zachodzie, gdzie dalajlama prezentuje się jako „marksista” i surowy krytyk kapitalizmu. Ale w bardziej lokalnych kontekstach zdarza mu się wygłosić pochwałę „starego szczęśliwego Tybetu” – jednego z najbardziej nieegalitarnych i niedemokratycznych miejsc na Ziemi. Stary Tybet była to zarządzana przez mnichów i garstkę arystokratycznych rodzin teokracja, gdzie quasi-feudalna forma niewolnictwa istniała jeszcze w latach 40. XX w., a biedacy nie mieli prawa narzekać, bo zasłużyli sobie na taki los złymi uczynkami z poprzednich wcieleń.

W tym kontekście oblizanie dzieciaka, niezależnie od intencji, rzeczywiście jest niewinną zabawą. Dzięki bogu nieistnjącemu za katolską pedofilię – inaczej nigdy nie spojrzelibyśmy na buddyjskie guru trzeźwym okiem.

AWŁ

Środek świata jest w Pekinie.

Kiedy francuski prezydent Macron udał się w kwietniu br. do Chin, mało kto się spodziewał, że trzydniowa wizyta odbije się tak głośnym echem w Ameryce i Europie. A wszystko przez jego wypowiedź, że Europa nie powinna być wasalem w konflikcie USA i Chin o Tajwan. Że kiedy da się UE parę lat, będzie trzecim po Ameryce i Państwie Środka biegunem światowym.

Wypowiedź Macrona, tego bardzo małego Napoleona, który przed kłopotami w kraju ucieka w politykę zagraniczną, gdzie traktuje się go jako wielką szychę, jest świadectwem tego, że Chińska Republika Ludowa (ChRL) to globalna potęga dyplomatyczna. A jeszcze nie tak dawno była jedynie ludnościowym gigantem, rosnącą siłą ekonomiczną, lecz karłem dyplomatycznym – państwem nie tylko izolowanym, ale i samoizolującym się.

Opowieść o sukcesach chińskiej polityki zagranicznej zaczniemy od końca, czyli od jej niedawnego osiągnięcia, które wstrząsnęło blisko-wschodnią i amerykańską polityką.

Żółty między Arabami

10 marca, jak czytamy na łamach anglojęzycznej edycji czasopisma „Le Monde diplomatique”, obfitował w dwie niespodzianki.

Po pierwsze, Arabia Saudyjska i Iran, regionalni rywale od ponad pół wieku, zgodziły się na wznowienie stosunków dyplomatycznych. Zwrano je w 2016 r. po tym, jak egzekucja przez Arabię Saudyjską kilku szyickich dygnitarzy doprowadziła do szturmu saudyjskiej ambasady w Teheranie.

Po drugie, w porozumieniu – z trudem wywalczonym w wyniku kilku rund tajnych rozmów w ciągu dwóch lat – pośredniczyły Chiny, które rzekomo były izolowane na arenie międzynarodowej. Był to ich spektakularny debiut w bliskowschodniej wielkiej grze.

Administracja Bidena początkowo lekceważyła tę sprawę. Niemniej jednak szybko ważne think tanki amerykańskie zwróciły uwagę, że pojawił się nowy gracz na bliskowschodniej scenie, na której od wielu dekad był tylko jeden aktor pierwszoplanowy, skutecznie realizujący swoje interesy i rozdający karty. Co ważne, ChRL po raz pierwszy uczestniczyła w wypracowaniu porozumienia międzynarodowego, i to od razu zaczęła z wysokiego C.

Gwoli ścisłości, nie oznacza to – przynajmniej na razie – końca wojny zastępczej między Rijadem a Teheranem w Jemenie. Pokazuje jednak, że w regionie może dziać się coś istotnego bez udziału USA.

Na szlaku ku Europie

Inicjatywa Pasa i Drogi (BRI), zwana też Nowym Jedwabnym Szlakiem, to jeden z najambitniejszych projektów infrastrukturalnych w dziejach gatunku ludzkiego. Zapoczątkował go równo dekadę temu prezydent Xi Jinping, proponując szereg inicjatyw inwestycyjnych i rozwojowych.

Jak czytamy na stronie internetowej prestiżowego think tanku z USA, Council on Foreign Relations, BRI „została pierwotnie opracowana w celu połączenia Azji Wschodniej i Europy za pomocą infrastruktury fizycznej. W ciągu dekad od tego czasu projekt rozszerzył się na Afrykę, Oceanie i Amerykę Łacińską, znacznie poszerzając wpływy gospodarcze i polityczne Chin”. Znamienne, że amerykańscy przywódcy próbują odstręczyć wiele krajów od BRI, lecz nie mają dla nich żadnej ekonomicznej alternatywy.

Xi poza infrastrukturą fizyczną – sieć kolejowa, transport morski, autostrady itd. – postawił na finansowanie w innych krajach specjalnych stref ekonomicznych, obszarów przemysłowych tworzących nowe miejsca pracy, promując przyjęcie własnej oferty technologicznej, w tym sieci 5G rozwijanej przez potentata telekomunikacyjnego – reklamowanego skądinąd przez Lewandowskiego – korporację Huawei.

Jak mawiali z nutą podziwu i zaniepokojenia o stalinowskim ZSRR jego przeciwnicy: mają rozmach, skurwysyni. Umowy na udział w BRI i zainteresowanie uczestnictwem w projekcie zgłosiło prawie 150 państw, reprezentujących 2/3 populacji Ziemi i 40 proc. globalnego PKB. W ten sposób Chiny stymulują swoje mniej rozwinięte zachodnie regiony – co ma osłabić separatystów z prowincji Xinjiang, zabezpieczając zarazem długoterminowe dostawy ropy i gazu z Azji Środkowej i Bliskiego Wschodu.

Chińczyk na Czarnym Lądzie

Obecnie Afryka ma ok. 1,5 mld mieszkańców, lecz w 2050 r. będzie ich już pewnie prawie 2,5 mld. Chiny bardzo by chciały pozyskać przychylność tej ludności Czarnego Lądu. Cel ten próbują osiągnąć na wiele sposobów. Inwestując w wielu krajach afrykańskich, których populacje mają się uczyć od ChRL pozytywnych cech.

Chińczykom sprzyja historia. Nie uczestniczyli w kolonializmie europejskim, jakże znienawidzo-

nej dominacji białego człowieka. Wspierały dekolonizację. Ciągłe podkreślają, że same były pod butem obcych mocarstw – czy to zachodnich, czy to Japonii. No i – co ważne – otwarcie mówią o „poszanowaniu suwerenności” innych krajów, co w przełożeniu na język mniej dyplomatyczny oznacza, że mają w dupie, że wspierają łamiących prawa człowieka dyktatorów. Jak mawiają Amerykanie, biznes to biznes.

Afryka jest kontynentem, na którym Chiny próbują czegoś, co w literaturze naukowej zwie się imperializmem kulturowym czy medialnym. Państwowa agencja Xinhua jest tam bardziej aktywna niż francuska AFP.

Chińczycy szkolą dziennikarzy, wspierają lokalne systemy medialne, zapożnione w stosunku do innych części

świata. Starają się kreować pozytywny wizerunek Państwa Środka. Bo tzw. miękka siła (*soft power*) jest ważnym uzupełnieniem siły militarnej i politycznej.

Wiadomo, czego Chiny chcą, ale nie jest do końca oczywiste, na ile są skuteczne. Dani Madrid-Morales i Herman Wasserman w tekście zamieszczonym kilka miesięcy temu w czasopiśmie „Online Media and Global Communication” analizują fałowe badania respondentów w Afryce. Z sondaży płyną dwa wnioski. Pierwszy: chińskie media nadal mają ograniczone zasięgi, po prostu nie docierają do setek milionów ludzi. Po drugie: pośród tych, którzy czerpią wiedzę o Państwie Środka z chińskich mediów, stosunek do tego państwa jest bardziej pozytywny niż u reszty społeczeństwa.

Oczywiście nie jest tak, że konkurenci ChRL spokojnie patrzą na Pekin. I tak Japonia i Indie w 2017 r. ogłosiły inicjatywę Korytarza Wzrostu Azja-Afryka: plan rozwoju i połączenia portów od Myanmaru do Afryki Wschodniej. Ale w odróżnieniu od Chin, które mało mówią, a dużo robią, ich konkurenci dużo gadają, a robią niewiele.

Między biegunami

Państwo Środka jest motorem napędowym BRICS – grupy nowych/starych potęg ekonomicznych i politycznych: Brazylii, Rosji, Indii, Chin i RPA. Jak wiadomo, w kupie siła i rozwijanie współpracy poza mocnym uściskiem Stanów Zjednoczonych otwiera nowe możliwości.

Wielu uważa, że zbliżamy się – a może już go mamy, przynajmniej w załączku, tu opinie są rozbieżne – do świata wielobiegunowego, który już nie będzie się kręcił wokół USA. Wielu radykalnych lewicowców, w tym tradycyjnie antyamerykańskich Francuzów, nie może się tego doczekać. Inna rzecz, że konkurencja mocarstw nie musi być niczym dobrym, o czym świadczy rywalizacja europejskich potęg z przełomu XIX i XX w., zakończona rzezią na polach bitew I wojny światowej.

Okazało się, że kiedy Europa wykrwawiała się i sama marginalizowała, za Atlantykiem powstał nowy globalny lider, początkowo gospodarczy i izolujący się od szaleństw. Ameryka wolała handlować niż wojować.

Jeśli Chiny będą trzymać się z dala od awanturnictwa militarnego – czy to amerykańskiego (Irak, Afganistan), czy rosyjskiego (Ukraina) – mogą tylko zyskać. Czy zyska na tym świat – to się jeszcze okaże.

Tak czy inaczej, na naszych oczach spełnia się stare chińskie przekleństwo – obyś żył w ciekawych czasach!

KATARZYNA KOENIG

Czy Chińczycy wejdą na Tajwan? – czytaj na następnej stronie.

Czego Chiny chcą od Tajwanu, a czego Tajwan chce od Chin?

Wejda – nie wejda

Można dość krótko odpowiedzieć na zadane pytanie: Chiny chciałyby Tajwan po prostu mieć, ponieważ prezentują XIX-wieczną mentalność i wydaje im się, że niepodległość i niezależność Tajwanu narusza chińską dumę i honor, Tajwan zaś chce, aby Chińczycy się od niego po prostu odpięli, bo lepiej mu po zachodniej stronie kultury ze świadomością, że Chińczyk nie musi być biednym komunistą.

Morawiecki, nie pierdol

„Ryżowe pola, na nich ludzi rój. Gdzieś tam być musi na pewno chłopiec mój. Który, który, który, który, który to może być z nich? Skośnoki casanova z marzeń mych. *China boys*” – śpiewała Elżbieta Dmoch z zespołu 2 plus 1. Piosenka pochodzi z płyty „Bez limitu” z 1983 r. Wspominam ją, aby już nie zaczynać od tysięcy razy zgranego cytatu z Wyspiańskiego i „Wesela” poświęconego Chinom.

Gdy 24 lutego 2022 r. Władimir Władimirowicz Putin rozpoczął swoją specjalną operację wojskową na Ukrainie, czyli – inaczej mówiąc – dokonał inwazji, jak Polska długa i szeroka nasi spece od geopolityki zaczęli jęczeć, że teraz Chiny wjadą na Tajwan, USA polecą bronić Tajwanu i zostawią Europę, Ruski zadławią błyskawicznie Ukrainę, a chwilę potem nas tutaj zajądą. III wojna światowa.

Sam – nie ukrywam – uległem tej panice, słuchałem z wypiekami kasandrycznych wizji Jacka Bartosiaka, wrzuciłem paszport i kilkaset dolarów w woreczek foliowy, który zawiesiłem na sznurku na szyi, do kieszeni włożyłem paczkę sucharów, wydzwoniłem przyjaciółkę z Zielonej Góry, że najpierw spierdalam do niej, a potem wspólnie „przejdziem Odrę”.

No i – jak to mówią na Kociewiu – po kacaku. Chiny na Tajwan nie najechały, USA zaznaczają najsilniej swoją obecność w Europie od czasów lądowania w Normandii latem 1944 r., nikt nas nie zajął oprócz PiS-u. Na

razie oczywiście. Ale wszelkie znaki na niebie i ziemi, a najbardziej odzyskana trzeźwość osądu, wskazują, że Chińczycy na Tajwan w najbliższym czasie nie najądą, Amerykanie siedzą w Rzeszowie, a Rosjanie mają kłopot sami ze sobą.

No ale nie wszyscy tak myślą, a niektórzy myślą nawet odwrotnie i myślami swoimi się dzielą. Np. premier Mateusz Morawiecki poleciał do Ameryki i tam powiedział, że „nie można dzisiaj i jutro ochronić Ukrainy, mówiąc, że Tajwan to nie jest nasza sprawa. Trzeba wspierać Ukrainę, jeżeli chcemy, aby Tajwan pozostał niezależny. Jeżeli Ukraina zostanie podbita, następnego dnia Chiny mogą zaatakować Tajwan. Widzę tutaj bardzo duży związek, dużo zależności pomiędzy sytuacją w Ukrainie a sytuacją na Tajwanie i w Chinach”.

Powiedzmy sobie szczerze i powtórzmy – to, czy Tajwan pozostanie niezależny, to w ogóle nie jest nasz polski interes.

Nasz interes jest tylko taki, aby nie dostać od nikogo wpierdolu i aby ceny towarów i usług były w dobrej korelacji z naszymi zarobkami.

Powiedzmy też sobie szczerze – twierdzenie, że USA oczekują od nas jakiegoś wsparcia w sprawie Tajwanu czy swojej dominacji na Pacyfiku, jest absurdalne. Bo jakże to wsparcie mia-

łoby wyglądać? Chyba że w postaci odprawiania koronek do Matki Boskiej Częstochowskiej. Wtedy tak, owszem.

Piękna i obłożona

Tajwan (historyczna nazwa Formoza pochodzi z języka portugalskiego i znaczy „piękna wyspa”) ma około 36 tys. km kw. Zamieszkują go 24 mln ludzi. Głównie to Chińczycy, choć także mniejszość malajska. Od końca XIX w. do końca II wojny światowej, czyli przez 50 lat, Tajwan był kolonią japońską. Japończycy „ucywiliźowali” ten obszar – stworzyli system szkolnictwa, opieki zdrowotnej, zelektryfikowali. Do dzisiaj wpływy japońskie są tam silne, a Tajwańczycy ciągną ku Japonii. Kulturowo i gospodarczo. Po 1945 r. Tajwan trafił w ręce Chin. Kiedy Mao Zedong podbił Chiny kontynentalne, stronnicy Czang Kaj-Szeka z Kuomintangu uciekli na wyspę Tajwan. Od tamtej pory Tajwan próbuje być niezależny od Chin Ludowych, uciekając się pod protektorat USA. Wyspa jest silnie zmilitaryzowana. Na plażach są umocnienia, zasadzono nawet trujące rośliny.

Jeszcze nie zwariowali

Chiny są zbyt słabe gospodarczo i militarnie oraz zbyt uzależnione od Zachodu, aby przystępować do wojny z USA. To byłoby dla nich samobójstwem, mogłoby podważyć nienaruszalny do tej pory status Komunistycznej Partii Chin i przywództwo Xi Jinpinga, a Xi Jinping nie wygląda ani na idiotę, ani na wariata. W dodatku Chiny w regionie muszą się liczyć nie tylko ze światowym hegemonem, czyli USA, ale też z potęgami lokalnymi – Indiami, Japonią, no i samą Rosją. Indie – podobnie jak

Rosja – mają bomby atomowe, a Japonia w każdej chwili może sobie takie uszykować. Ani Indie, ani Japonia nie pozwolą Chinom na żadne hopszoty. To nie takie proste wysłać statki i samoloty na Tajwan – bo gdyby było, to Chińczycy dawno by je wysłali. Jeśli Putin mógł choć trochę kalkulować,

że jego rajd na Ukrainę jakoś się uda, to Xi Jinping takiej kalkulacji robić absolutnie nie może. Jeśli Putin zachował się lekkomyślnie, to Xi musiałby się wykazać 100 razy większą lekkomyślnością.

Starzy ludzie – słabi ludzie

Panuje przekonanie, że Chiny są potęgą gospodarczą. Pojawia się ono bardzo często w mediach. Sam miałem takie przekonanie. Trochę to wszystko z dupy, bo przecież mało kto tak naprawdę wie, jak jest w Chinach. Część publikacji o tym kraju w Europie – także w Polsce – opłacają sami Chińczycy. I to nie jest moja spekulacja, ale wiedza.

Jak wyliczają ekonomiści, 30 proc. chińskiego PKB to był rynek nieruchomości. Ekonomiści wyliczają także, że rynek deweloperski w Chinach w ostatnich latach przechodzi zapaść. I to olbrzymią, także na poziomie 30 proc. Powód: covid, bieda gospodarstw domowych, problem ze spłacalnością kredytów, wymieranie społeczeństwa chińskiego. Przy czym należy pamiętać, że większość deweloperskich inwestycji to wielkie miasta, a cały kraj to po staremu chaty i pola ryżowe.

Drugim z filarów chińskiego PKB jest eksport towarów. Tego wszystkiego, co każdy z nas ma w nadmiarze

Dzielenie się sekretami zbliża ludzi.

Durszlak w Pentagonie

Dzięki wyciekowi danych Pentagonu (jak dotąd 100 dokumentów) – którego kolejne odsłony zapewne nastąpią w najbliższych dniach i tygodniach – obywatele Ukrainy, Izraela, Wielkiej Brytanii i Korei Południowej dowiedzieli się, że władze grają w chuję oraz ich oszukują. I kryją przed opinią publiczną informacje, które pozyskali amerykańscy wojskowi, szpiegujący nie tylko swoich wrogów, ale i sojuszników. Jak to mówią: trzymaj wrogów blisko, a przyjaciół jeszcze bliżej.

Zanim 5 kwietnia świat usłyszał o ujawnieniu poufnych, a nawet ściśle tajnych dokumentów Pentagonu – jak już dziś wiemy, dzięki organizacji dziennikarzy śledczych Bellingcat – krążyły one na stronach, które niewiele mają wspólnego z polityką. Zaczęły pojawiać się na kanałach używanych przez różne społeczności internetowe, zwłaszcza nastolatków zainteresowanych militariami, gramami wideo, muzyką czy

fundamentalizmem chrześcijańskim. Kluczowe znaczenie miała popularna wśród graczy platforma komunikacyjna Discord.

Dokumenty Pentagonu wydawały się datowane na początek marca br. i pojawiły się właśnie mniej więcej w tym czasie na Discordzie. Członkowie społeczności Discorda powiedzieli Bellingcatowi, iż w ostatnich kilku miesiącach udostępniono o wiele więcej dokumentów.

Wszyscy zafascynowani sprawnością amerykańskich służb powinni zwrócić uwagę, że dokumenty pojawiły się w sieci jako na chybika zrobione zdjęcia kartek leżących obok pudełka z lunetą myśliwską, magazynem myśliwskim i odrobiną kleju. Byli urzędnicy, którzy zobaczyli te foty, stwierdzili, że wydaje się prawdopodobne, że tajna informacja została złożona, włożona do kieszeni, a następnie wyniesiona z bezpiecznego miejsca do sfotografowania (nie, to nie żart).

Jeszcze ciekawsza jest jednak wartość ujawnionych dokumentów.

Jak zauważa londyński „Guardian”, jeden z dokumentów, datowany na 23 lutego i oznaczony jako tajny, szczegółowo pokazuje, że ukraińskie systemy obrony powietrznej z czasów radzieckich S-300 zostałyby

wyczerpane do 2 maja przy obecnym tempie użytkowania. Nie wiadomo, czy od tego czasu Ukraina zmieniła tempo wykorzystania rakiet, czy zapasy zostały uzupełnione, czy też polega teraz bardziej na innych systemach przeciwlotniczych. Ukraińcy podawali w wątpliwość prawdziwość dokumentów, źródeł wycieku szukając na Kremlu.

Britytczyków zaszokowała informacja, iż we wrześniu 2022 r. rosyjski myśliwiec o mało co nie zestrzelił u wybrzeży Krymu brytyjskiego obserwacyjno-rozpoznawczego boeinga RC-135, co mogłoby wciągnąć NATO do wojny.

Izraelskie władze zagotowały się do czerwoności, gdy ujawniono, że rzekomo Mosad miał zachęcać swoich ludzi do protestów przeciwko rządzącej skrajnej prawicy pod przewodnictwem Netanjahu. Mosad, co nie dziwi, temu zaprzeczył.

Ujawniono też wewnętrzne dyskusje w Korei Południowej na temat ewentualnego przekazania USA pocisków artyleryjskich do użycia przez Ukraińców. Południowokoreańscy urzędnicy obawiali się, że Joe Biden zadzwoni do prezydenta Korei Południowej i będzie naciskał na Seul, by dostarczył śmiercionośny towar. Przy okazji okazało się, że CIA zbiera dane o swym sojuszniku metodami wywia-

Zatruty owoc Osamy

Po ataku Al-Kaidy na World Trade Center i Pentagon 11 września 2001 r. powstał raport, który wykazał, że atak doszedł do skutku z powodu braku komunikacji między agendami rządowymi USA. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) nie współpracowała z Federalnym Biurem Śledczym (FBI), które z kolei nie dzieliło się informacjami z Centralną Agencją Wywiadowczą (CIA). Rozwiązanie tego problemu okazało się bardzo proste: do tajnych dokumentów zyskała dostęp licząca setki tysięcy osób reszta wojskowych, analityków wywiadu, pracowników kontrahentów współpracujących ze służbami czy wojskiem USA. Jak podkreślał przy okazji jednego z wcześniejszych skandalów z ujawnianiem wojskowych danych guru bezpieczeństwa kryptograficznego Bruce Schneier, codziennie setki tysięcy dokumentów są pobierane z sieci Pentagonu, co znacząco zwiększa prawdopodobieństwo przecieku. Jak dotąd wszelkie próby uszczelnienia systemu okazały się bezskuteczne.

du elektronicznego – przechwytywanie e-maile czy rozmowy telefoniczne.

Dokumenty pokazują też, jak głęboko wywiad amerykański wnikał w najwyższe kręgi wojskowe Rosji. Niemal każda rosyjska służba bezpieczeństwa jest w jakiś sposób spenetrowana przez USA. I tak np. ściśle tajny dokument omawia plany rosyjskiego sztabu generalnego dotyczące prze-

w szafie z napisem „Made in China”. Główni odbiorcy to USA i Europa.

Faktem jest, że Chiny odnotowują wielki napływ kapitału zagranicznego do siebie i wyprzedziły pod tym względem USA, ale co byłoby z tym kapitałem, jeśli Chiny starłyby się poważnie z Ameryką? Wczoraj wpłynął, jutro wypłynie.

Amerikanie też niewiele robią – poza symbolicznymi naprawdę gestami – aby podejmować rywalizację z Chinami.

Juan – waluta chińska – w obrocie międzynarodowym niemal nie istnieje.

Chiny mają 1,4 mld obywateli. Od lat 60. XX w. do niedawna prowadzono w tym kraju politykę ograniczania dzietności. Efekt – społeczeństwo się starzeje.

Chiny są największym importem gazu i ropy na świecie – w tej kwestii są krajem zależnym od innych. I to nie tylko od Rosji, ale też od Zachodu.

Jeśli chodzi o wyposażenie armii, to Chiny swój przestarzały sprzęt – flotę i lotnictwo – wymieniały przez lata na nowoczesny, ale prawie cały kupowały w Rosji. No i właśnie ten rosyjski sprzęt jest testowany na Ukrainie. I władze chińskie to obserwują.

Czego oczy nie widzą

Owszem, przez kilkadziesiąt lat Chiny leżały na łopatkach, ale udało im się podźwignąć, budując geopolitycznego i gospodarczego giganta, odzyskując wpływy polityczne, ale do tego, aby wyprowadzić cios w splot słoneczny Ameryce, na razie jeszcze daleko. Faktycznie w Chinach – zarówno we władzach, jak i wśród zwykłych obywateli – może panować pogląd, że pewnego dnia wojna o Tajwan wybuchnie, że jest ona narodowi chińskiemu potrzebna, że trzeba się będzie zmierzyć z potęgą USA, i przygotowują się do niej. Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem Tajwańczycy nieustannie starają się na arenie międzynarodowej o uznanie ich niepodległości. Świat ich oficjalnie nie uznaje, aby nie drażnić Chin. Tajwan nie ma swoich ambasad i konsulatów. Ale ma... przedstawicielstwa handlowe. I świat z tymi przedstawicielstwami handlowymi Tajwanu nawiązuje wszelkie potrzebne relacje. Taka światowa udawanka.

W.K.

ciwdziałania natowskim czołgom przekazanym Ukrainie.

Internet w sferze ujawniania wszelkich tajemnic, w tym dotyczących bezpieczeństwa narodowego, jest czynnikiem, który zmienił zasady gry. Potężne media, które – jak pokazuje historia – po wielokroć rezygnowały z publikacji na życzenie (jeśli nie żądanie) instytucji aparatu bezpieczeństwa, stanęły przed ścianą. Jeśli one nie wspomną o danym przecieku, uczynią to inne media, aby zyskać rozgłos i zwiększyć swoje zasięgi. Z tego względu z mediów głównego nurtu pierwszym, które ujawniło przeciek, był „New York Times”.

Kiedy przywódca Związku Radzieckiego Michaił Gorbaczow skarżył się w rozmowie z amerykańskim prezydentem na brak zaufania do niego, Ronald Reagan wygłosił pamiętną uwagę: „Ufam, ale kontroluję”. Do ujawnionych przecieków mamy podobny stosunek jak Reagan do Gorbaczowa.

Dziuraw jak obrona polskiej reprezentacji piłkarskiej Pentagon będzie zapewne jeszcze nieraz źródłem wiarygodnej – choć najczęściej oficjalnie niepotwierdzonej – informacji o tym, co dzieje się w różnych miejscach na świecie.

Ludzie będą mieli okazję dowiedzieć się czegoś o swoich rządzących szpiegowanych przez wielkiego brata z Waszyngtonu. A to wszystko m.in. dzięki nastolatkom kochającym strzelanki i gry komputerowe.

Z.J.

Bohater, który został zdrajcą – bajeczka dla pismaków.

Zamknąć mordę

Urodzony w Australii w 1971 r. Julian Assange, zanim – jak brzmi tytuł pewnej książki o nim – stał się najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie, zamiast formalnej edukacji w dzieciństwie czytał dużo książek. Był zafascynowany komputerami i informatyką. Świat bitów i komputera Commodore 64 nie stępiał jego wrażliwości: jako 22-latek pomógł australijskiej jednostce policyjnej odpowiedzialnej za zwalczanie pornografii dziecięcej w sieci. Wykorzystał swe umiejętności, aby zidentyfikować pedofilów publikujących i dystrybuujących swoje materiały w internecie. Nic w zamian nie chciał.

Ciekawość świata doprowadziła hakera do włamania się do kanadyjskiej korporacji telekomunikacyjnej Nortel. Sędzia był dla niego łaskawy, nakazał mu zapłacenie grzywny. W wyroku podkreślono, że 25-letni Assange nie działał dla własnej korzyści. Gdyby chciał zarobić na włamaniu, mógłby dostać nawet 10 lat paki.

Obecnie, jeśli Brytyjczycy deportują Assange’a do USA, raczej nie zostanie potraktowany łagodnie: grozi mu 175 lat więzienia!

Cypherpunk

Włoska dziennikarka Stefania Maurizi w swej książce „Secret Power: WikiLeaks and Its Enemies” zwraca uwagę, że Assange wywodzi się z kręgów tzw. cypherpunków, którzy od ostatniej dekady XX w. sprzeciwiali się masowej inwigilacji ze strony państwa i – przynajmniej niektórzy z nich – korporacji. Cypherpunki byli zainteresowane rozwojem narzędzi do obrony osobistej prywatności i anonimowości, w tym anonimowych systemów płatniczych, chroniących jednostkę przed absolutną kontrolą państwa.

Jak zauważa w swoim „Manifestie cypherpunka” z 1993 r. Eric Hughes, matematyk z prestiżowego Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley: „Prywatność jest konieczna dla otwartego społeczeństwa w erze elektronicznej” i „prywatność jest mocą selektywnego ujawniania się światu”. Hughes przekonuje, że gdy kupujemy czasopismo i wręczamy gotówkę sprzedawcy, nie ma potrzeby, aby on wiedział, kim jesteśmy. To zapewnia nam prywatność. W erze informacyjnej i płatności elektronicznych konieczne jest zachowanie prywatności poprzez anonimowe systemy transakcyjne.

Cypherpunki byli zakochani w libertarianizmie i anarchizmie, przy czym jedni optowali za ich pravicową wersją (jak Timothy May), inni – za bardziej lewicową. Wszyscy uwielbiali techniki cyfrowe, ale miały one służyć dobru człowieka, a nie inwigilacji i coraz ściślejszej kontroli nad nim. Assange w pierwszej dekadzie XXI w. postanowił założyć Wikipedię dla tzw. sygnalistów, czyli WikiLeaks.

Sygnaliści

W 2007 r. magazyn „Time” zachwycił się WikiLeaks i uznał ten portal za „nowy, śmiały, kolektywny eksperyment w dziedzinie sygnalizmu”, system, który „chroniłby tożsamość osób ujawniających informacje, jednocześnie demaskując korupcję w rządach i korporacjach na całym świecie”.

WikiLeaks zaczęło być ważnym źródłem materiałów dziennikarskich, ujawniło choćby podłe traktowanie przez Amerykę uwięzionych w bazie w zatoce Guantanamo na Kubie, korupcję w banku z siedzibą w Szwajcarii, tajne informacje na temat Kościoła scientologicznego czy szczegóły dotyczące członkostwa w skrajnie pravicowej Brytyjskiej Partii Narodowej.

Strona Assange’a została dostrzeżona. I doceniona. Dostała nagrodę „Economista” za rok 2008 w kategorii nowych mediów. Walcząc o wolność wypowiedzi organizacja Index on Censorship pochwalała WikiLeaks za bycie „nieocenionym źródłem

dłem informacji dla anonimowych informatorów i dziennikarzy śledczych”. Amnesty International w 2009 r. przyznała witrynie nagrodę za ujawnienie pozasądowych zabójstw i zaginięć w Kenii.

Ale prawdziwe dni sławy lub – jak kto woli – niesławy nadeszły w 2010 r.

Morderstwo

WikiLeaks zaszokowało świat, publikując nagranie z helikoptera Apache, na którym widać, jak amerykańscy żołnierze zabijają grupę cywilów w Iraku, w tym dwóch dziennikarzy Reutersa. Przez kilka lat agencja prasowa bezskutecznie starała się uzyskać od US Army nagranie z tego ataku – wojsko twierdziło, że żołnierze byli zaangażowani w wymianę ognia, a zabici byli powstańcami. Wyciek podważył tę wersję. Tylko dzięki umieszczeniu w sieci „Collateral Murder” (jak nazwano wideo) ujawniono prawdę.

Londyński dziennik „Guardian” skontaktował się z Assange’em, aby wraz z innymi globalnymi mediami współpracować nad licznymi w setkach tysięcy dokumentami o wojnie w Afganistanie (tzw. Afgańskie Dzienniki Wojenne) i Iraku (Irackie Dzienniki Wojenne). WikiLeaks w tym samym roku 2010 rozpoczęło publikację Cablegate (afery depeszowej), czyli ponad ćwierć miliona (!) poufnych depesz dyplomatycznych z 274 ambasad USA na całym świecie. Wśród partnerów medialnych Assange’a znalazły się m.in. Al-Jazeera, brytyjskie Bureau of Investigative Journalism, hiszpański „El País” i francuski „Le Monde”.

Początkowo miłe relacje między Assange’em a „New York Timesem” i „Guardianem” zakończyły się ostrym konfliktem. Tradycyjne media podkreślały swój profesjonalizm, polegający na weryfikacji prawdziwości dokumentów, i przyjęcie zasady, że nie publikuje się niczego, co mogłoby zagrozić cystemukolwiek życiu (np. współpracujących z siłami NATO Afgańczyków).

Nick Davies z „Guardiana”, który pośredniczył w uzyskaniu dostępu do dokumentów WikiLeaks, stwierdził: „Naszym zadaniem nie jest doprowadzanie do śmierci ludzi i nie jestem zainteresowany publikowaniem czegokolwiek, co mogłoby doprowadzić do czyjejś śmierci. Były 92 000 dokumentów, a opublikowaliśmy mniej niż 300 z nich. Każdy z nich był czytany od góry do dołu ze świadomym celem wykluczenia wszystkiego, co mogłoby zagrozić ludziom na miejscu”.

Potężna wrogość oficjeli amerykańskich wobec wycieku danych skupiła się głównie na uchodzącej za źródło przecieku do WikiLeaks szeregowiec Chelsea Manning, która miała się chwalić tym na pewnym czacie. Manning skazano na 35 lat więzienia. Sam Assange schronił się przed długim ramieniem Wujka Sama w ekwadorskiej ambasadzie w Londynie.

Prowokacyjne wywiady Assange’a pojawiły się w Russia Today, czyli tubie propagandowej Putina. Gwoli ścisłości, była to niezależna produkcja, którą Rosjanie po prostu zakupili, a inne media zastanawiały się, czy ją wyemitować. Co ciekawe, poza jedną sytuacją, kremlofskie media nie współpracowały z WikiLeaks, a portal ujawniał materiały sygnalistów rosyjskich.

Onuca

W 2016 r. konserwatyści, wcześniej uznający WikiLeaks za zdrajców, zakochali się w Assange’u. A to przez opublikowanie w gorące przed wyborami prezydenckimi wewnętrznych e-maili Demokratycznego Komitetu Narodowego (DNC) – organu zarządzającego demokratami, a także maili Johna Podestę, przewodniczącego kampanii prezydenckiej Hillary Clinton.

Tym razem wrzucono wszystko za jednym zamachem do internetu.

Kiedy Clinton przegrała, Assange stał się dla liberałów chłopcem do bicia. Oskarżano go, że był pionkiem i pożytecznym idiotą w rękach konserwatystów i rosyjskich służb, które miały mu przekazać e-maile demokratów. A wiadomości DNC ujawniały, że Komitet – rzekomo neutralny – sabotował kandydaturę lewicowego Berniego Sandersa, faworyzując Hillary, która miała wsparcie Wall Street, przemysłu zbrojeniowego i Doliny Krzemowej. Współgrało to z kampanią Donalda Trumpa, który przedstawiał Clinton jako kandydatkę elit, zblatowaną z wielkim biznesem.

Trump powiedział w trakcie kampanii: „Kocham WikiLeaks”, a na Twitterze pojawiły się wymiany zdań między WikiLeaks a synem Trumpa i bliskim przyszłemu prezydentowi Rogerem Stone’em, co sprzyjające kandydatce demokratów media doprowadziło do amoku.

Ekstradycja

Kiedy zmieniły się władze w Ekwadorze, Assange musiał opuścić ambasadę tego kraju i trafił do więzienia Belmarsh w Londynie. Równy rok temu, w kwietniu 2022 r., sąd orzekł, że założyciel WikiLeaks może zostać poddany ekstradycji do USA na podstawie Ustawy o szpiegowstwie. Grozi mu wieloletnie więzienie. A co do uczciwości procesu istnieją poważne wątpliwości.

Co ciekawe, wielu Australijczyków uznaje swego krajana za bohatera. Nie przypadkiem jeden z ówczesnych liderów Zielonych, senator Scott Ludlam, w 2015 r. debatował z Assange’em w trakcie Festiwalu Wolności w Sydney. Wielu australijskich polityków żąda od władz swego kraju zdecydowanych działań, aby sprowadzić Assange’a do kraju.

Los założyciela WikiLeaks jest wysoce niepewny, sporo osób naciska na prezydenta Bidena, aby odstąpił od żądania ekstradycji.

Niech konkluzją będą słowa byłego lidera brytyjskiej Partii Pracy, Jeremy’ego Corbyna, pytającego retorycznie (cytując za „Guardianem”): „Jeśli Julian Assange będzie siedział w więzieniu o maksymalnym rygorze w Stanach Zjednoczonych do końca życia, każdy inny dziennikarz na całym świecie pomyśli: »Czy naprawdę powinienem zgłosić te informacje, które otrzymałem? Czy naprawdę powinienem mówić głośno o tym zaprzeczeniu praw człowieka lub pomyśle wymiaru sprawiedliwości w jakimkolwiek kraju?«”.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

Nietykalni oficjele

Barack Obama wdrożył w życie stosowanie na szeroką skalę Ustawy o szpiegowstwie (uchwalonej w trakcie I wojny światowej!) przeciwko sygnalistom i źródłom dziennikarskich informacji, jakby byli szpiegami i zdrajcami. Jego administracja oskarżyła więcej sygnalistów niż wszyscy prezydenci wcześniej razem wzięci. Oczywiście, jedno prawo jest dla tych, którzy ujawniają nielegalne działania wojska czy służb, inne dla generałów i oficjeli. Ci ostatni nieraz ujawniali tajne dokumenty, aby manipulować opinią publiczną czy też przypisać sobie zasługi za pewne działania. Jak zauważa dziennikarka Stefania Maurizi, nikt nie oskarżył ówczesnego

dyrektora CIA Leona Panetty za to, że pozwoił Markowi Boalowi, scenarzyście filmu „Zero Dark Thirty” w reżyserii Kathryn Bigelow, pójść na zamkniętą dla publiczności ceremonię honorującą zespół, który przeprowadził atak na Osamę bin Ladena. Uczestnicząc w tym wydarzeniu, scenarzysta mógł czerpać z informacji zaklasyfikowanych jako tajne. Ulubieniec Obamy, gen. James E. Cartwright, miał problem z prokuraturą, żądającą dwuletniego wyroku dla niego za wyciek tajnych informacji o użyciu cybernetycznej broni Stuxnet do sabotażu irańskiego programu nuklearnego w styczniu 2017 r. Obama go ulaskawił.

Wspomnienia dziennikarskiego mundurka.

„Niech się święci 1 Maja!” – wzywały transparenty w czasach mojej młodości. I 1 Maja się święcił, ale ja nie zawsze święciłem.

Gdy chodziłem do renomowanego IX Liceum Ogólnokształcącego im. Klementyny Hoffmanowej w Warszawie, cała szkoła obowiązkowo uczestniczyła w pierwszomajowym pochodzie. Cała, ale z dwoma wyjątkami. Ja i mój przyjaciel Romek mieliśmy zakaz pokazywania się choćby w pobliżu manifestacji. Nie chodziło o żadne polityczne względy, po prostu z Romkiem zawsze rozrabialiśmy jak pijane zające w kapuście i grono pedagogiczne zacnego liceum obawiało się, że swoimi wygłupami możemy zakłócić robotnicze święto. A wówczas byłaby to już sprawa polityczna i ściągnęłaby na całą szkołę zagrożenie. Pamiętajmy, jakie to były czasy.

Z Romkiem przyjaźnię się do dziś. W szkole początkowo siedzieliśmy w jednej ławce, później nas rozsadzili i wreszcie mnie przenieśli do innej klasy, ale nawet to niewiele pomogło. Cóż, jak śpiewa zespół Perfect w „Autobiografii”, nieśmiertelnym hymnie mojego pokolenia: „Niecierpliw w nas ciskał się duch”.

Dźwigając woźną

Żyliśmy w niebezpiecznych czasach. Groźba konfliktu nuklearnego między mocarstwami była całkiem realna, wystarczy wspomnieć kryzys kubański. Nasi rodzice, którzy pamiętali wojnę, gromadzili w mieszkaniach cukier i wódkę (ponoć najcenniejsze waluty na trudne czasy), a my bawiliśmy się w najlepsze. Dlaczego nas z Romkiem nie wyrzucili ze szkoły i zadowalali się wpisywaniem do dziennika oceny dostatecznej ze sprawowania (niedostateczna oznaczała właśnie relegowanie z liceum)? Dyrektor Wacław Wawrzyniak, gdy spotkaliśmy się po latach, powiedział, że po prostu nauczyciele nas lubili; rozrabialiśmy, ale nigdy nie chuliganiliśmy. Nawet ich trochę rozbawialiśmy.

W domu, w którym mieszkaliśmy, był schron przeciwatomowy, w szkole uczono nas, że w razie wybuchu bomby jądrowej trzeba się położyć płasko na ziemi i przykryć głowę gazetą. Co jakiś czas przeprowadzano w trybie alarmowym ewakuację budynku szkoły. Podczas jednej z takich ewakuacji zauważyliśmy z Romkiem, że wszystkiemu przysługuje się z okna na piętrze tęga woźna nosząca ksywkę Królowa.

Nie musieliśmy z Romkiem niczego mówić, wystarczyło nam jedno spojrzenie. Wróciliśmy do szkoły, ja złapałem Królową pod pachy, Romek za nogi i tak wynieśliśmy z budynku głośno protestującą i wierzącą tęgą kobietę. Oczywiście następnego dnia zostaliśmy wezwani do gabinetu dyrektora Wawrzyniaka, gdzie skarcono nas za to zachowanie. My z Romkiem tłumaczyliśmy jednak, że należeliśmy się raczej nagrodą, bo uratowaliśmy woźną życie. Przecież z bombą atomową nie ma żartów. Nagrody nie dostaliśmy, ale kary żadnej też nam nie wlepiono.

To tylko jeden z naszych figli, pewnie wcale nie najśmieszniejszy (pamiętam go, bo Królowa podczas całej akcji dotkliwie mnie podrapała), ale takie czyniliśmy codziennie. Nic więc dziwnego, że na pochod pierwszomajowy nas z Romkiem nie zapraszano, a wręcz przeciwnie, kategorycznie zabraniano choćby zbliżania się do świętujących mas.

Nie dopuszczany do wstępniaków

Na studiach na Uniwersytecie Warszawskim nikt nas do pochod nie zapraszał, a tym bardziej nie zmuszał, więc nadal 1 Maja święcił się beze mnie. Sytuacja zmieniła się,

Ratując Królową przed bombą jądrową

gdy zacząłem pracę w „Przeglądzie Sportowym”. Niby za zignorowanie uroczystości nic nie groziło, ale każdy wiedział, że gdzieś tam w aktach pojawi się gruby minus, zwłaszcza że tow. Mietek (pomiędzy nazwisko zmarłego) czułwał i bacznie się rozglądał wkoło. Wszyscy wiedzieli, że jest dobrze umocowany w Komitecie dzielnicowym, a to było groźne.

Robotnicze święto hucznie obchodzono też na łamach „Przeglądu”. Zawsze drukowano na pierwszej stronie okolicznościowy wstępniak, ale ja byłem za młodym dziennikarzem, żeby dopuszczono mnie do tak odpowiedzialnych zadań. Nie wykluczam zresztą, że był to co roku ten sam wstępniak, dla niepoznaki tylko troszkę modyfikowany. I tak nikt oprócz korektorek tego nie czytał.

Po oficjalnym pochodzie odbywała się nieoficjalna część Święta Pracy, zwykle na jakimś skwerku lub w parku. Bodzio Latuszkiwicz, Bogdan Bańka, Mirek Skurzewski, Zbyszek Wójtowicz, Wojtek Gołębiwski, Paweł Smaczny, wszyscy moi kumple – myślę, że gdzieś tam, w zaświatach, nie zapominać o ważnej dacie i pamiętacie, jak ją trzeba czcić. Chłopa-ki, zostawcie choć jedną flaszkę dla młodszego kolegi, który raczej wcześniej niż później do was dołączy.

Najważniejsze są organy

Ktoś by pomyślał, że po moich przenosinach z „Przeglądu Sportowego” do działu sportowego „Trybuny Ludu” zacząć święcić 1 Maja na całego – wszak gazeta była organem prasowym Komitetu Centralnego PZPR. Początkowo na to się zanosilo, raz czy drugi kroczyłem w pierwszomajowym pochodzie z małą córeczką na ramionach, a ona pozdrawiała chorągiewką z gołąbkami pokoju zebranych na try-

bunie honorowej członków najwyższych władz partyjnych i państwowych. „Dziennikarze pozdrawiają towarzysza Gierka!” – grzmiało z głośników, gdy córeczka łopotała papierową chorągiewką.

Ku mojemu zaskoczeniu dział sportowy najważniejszej partyjnej gazety był całkowicie apolityczny. Nie był to wyraz naszego sprzeciwu wobec linii partii, a przeciwnie: jej ścisłe realizowanie. Naszym obowiązkiem było robienie najlepszej strony sportowej spośród wszystkich gazet. Ktoś musiał kupować drukowaną w wielkim nakładzie „Trybunę”. Dbaliśmy o to my w dziale sportowym (rzeczywiście powszechnie uważanym za najlepszy) oraz ludzie przygotowujący w gazecie szczegółowy program telewizyjny. Prognozę pogody pisał słynny z telewizji Wicherek. To wystarczało, żeby zapewnić poczytność organu prasowego KC PZPR. Sprzedawał się w naprawdę imponującym nakładzie.

Pod pewnym względem mieliśmy przewagę nad kolegami z innych działów sportowych, którzy musieli szczegółowo i z entuzjazmem opisywać wszystkie imprezy sportowe, jakie organizowano z okazji 1 Maja. My pisaliśmy o nich tylko wówczas, gdy były tego warte, i bez żadnych ochów i achów. Po prostu traktowaliśmy je jak każde inne zawody. Podkreślę raz jeszcze: nie był to efekt naszych przekonań politycznych (w tamtym czasie wszystkie absurdy PRL wydawały się nam czymś normalnym, co będzie zawsze). Ignorując wydarzenia polityczne, byliśmy w dziale sportowym „Trybuny Ludu” wyrazicielami linii partii, która dzięki nam chciała sprzedawać swoją gazetę. Tak, byłem partyjnym propagandystą. Im ciężiej i lepiej pracowałem, tym bardziej nim byłem, i nic na to nie poradzę.

Nawiasem mówiąc

jakże nieudolni są partyjno-państwowi propagandyści w pisowskiej TVP, którym do głowy nie przychodzi, że aby wciskać ludziom durne idee, najpierw trzeba ich czymś zainteresować. Uroda Magdaleny Ogórek nie przyciągnie uwagi amatorów krągłych kobiecych kształtów.

Zaciekle prawicowa publicystka już lepiej prezentowała się jako kandydatka lewicy na prezydentkę RP. Ale i wówczas nie dostała wielu głosów. Odnoszę nawet wrażenie, że od tamtego czasu – używając sformułowania prezesa NBP Adama Glapińskiego – jeszcze bardziej się wypłaszczyła.

Jedni w pochodach, drudzy w wyścigach

Wkrótce przestałem chodzić na pochody. Wcale nie dlatego, że córka podrosła i trudno by mi ją było nosić na plecach. Po prostu mniej więcej w tym czasie odbywał się (i odbywa do dziś) we Włoszech wyścig Gran Premio della Liberazione i byłem wysyłany do jego obsługi. Podczas gdy koleżanki i koledzy z redakcji maszerowali w pierwszomajowym pochodzie, ja oglądałem zmagania kolarzy.

Nie wiem jak jest teraz, ale za moich czasów była to wspaniała impreza. Kolarze ścigali się w Rzymie w niesamowitej scenarii, wokół Term Kara-

kalli, a w zasadzie ich ruin. Na starcie stawało czasem ponad 300 zawodników, dziś byłoby to niemożliwe, bo ze względów bezpieczeństwa stale zmniejsza się dopuszczalną liczbę uczestników wyścigów kolarskich.

Gran Premio della Liberazione to kryterium uliczne. W takich warunkach trudno urwać się grupie, do mety dojeżdżała spora wataha, co jeszcze potęgowało niebezpieczeństwo. Był wyjątek. Joachim Halupczok, najzdolniejszy kolarz, jaki kiedykolwiek urodził się w Polsce, zwyciężył po samotnej i długiej ucieczce. Kolarze, którzy startowali w tym wyścigu, po prostu nie mogli uwierzyć w to, co się zdarzyło. „On wyglądał, jak gdyby jechał na motocyklu” – kręcili głowami.

Bardzo lubiłem Achima, bo tak wszyscy mówili na Halupczoka. Powodem do dumy był dla mnie fakt, że byłem bodaj pierwszym dziennikarzem, który o nim napisał. Wypatrzyłem go podczas którejś spartakiady młodzieży. Zaimponował mi nie tylko dojrzałą jazdą. Nie mogłem się nadziwić, że ściga się tak ktoś, kto w ogóle nie wygląda na kolarza. Achim nie tylko był szczupły, co jest normą w tej dyscyplinie, ale miał zadziwiająco chude nogi. Skąd w nich taka siła?

Wcale się nie zdziwiłem, że został mistrzem świata, dla mnie było to pewne. Cieszyłem się, gdy przeszedł na zawodowstwo. Niestety, wykryto u niego wadę serca i zabroniono mu uprawiania kolarstwa. Zabronili kolarstwa, ale pogrążyć kolegami w halową piłkę nożną chyba można, czemu nie? Podobno z piłką radził sobie też znakomicie, ale tego już nie widziałem ani nie opisywałem. Podczas rozgrzewki przed amatorskim meczem serce się zatrzymało i mistrza świata nie udało się uratować. Miał tylko 26 lat.

Fake newsy – ciągły prima aprilis

Na łamach prasy czczono nie tylko święto pracy. Dużo wagę przykładano do świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Niech nikt więc nie mówi, że w realnym socjalizmie nie było pluralizmu. Kiedy przeglądam obecną prasę, odnoszę wrażenie, że gdzieś zaginęła tradycja. Możliwe jednak, że się mylę i patrzę na świat z perspektywy dziadka, który upiera się, że za jego czasów wszystko było lepsze; nawet komputery, choć ich jeszcze w powszechnym użytku w ogóle nie było.

Spośród wszystkich okoliczności uwiecznianych w gazetach szczególne miejsce zajmował zawsze prima aprilis. Wiadomo, to dzień żartów. Na długo przed końcem marca wszyscy się zastanawiali, czym zaskoczyć czytelników. „Trybuna Ludu” była gazetą śmiertelnie poważną. Tylko na ostatniej stronie, na której drukowaliśmy wiadomości sportowe, można sobie było pozwolić na jakiś delikatny żart. Ale naprawdę bardzo delikatny, żeby nie zakłócać partyjnej powagi całosci. Dlatego więcej wspomnień na ten temat mam z pracy w „Przeglądzie Sportowym”. Najtęższe głowy myślały nad koncepcją, która z jednej strony wydawała się wiarygodna, z drugiej zabawna, a z trzeciej – już nie wiadomo jaka...

Najfajniejszy primaaprilisowy żart związany ze sportem pamiętam jednak z „NIE”, gdzie ukazała się informacja o zdyskwalifikowaniu ówczesnego bożyszcza Polek i Polaków Adama Małysza za stosowanie medycznego zaspomagania. Było tam mnóstwo technicznych szczegółów, chemik także znalazłby coś interesującego. Wszystko wyglądało tak wiarygodnie, że początkowo też się na to nabrałem, co stanowi dowód, że nie byłem autorem tego artykułu.

W ogóle, przyznaję bez bicia, nie mam talentu do wymyślania primaaprilisowych żartów. W redakcjach, w których pracowałem, nie stroniłem od żartów, ale gdy zbliżał się 1 kwietnia i trzeba było wymyślić coś, co wkroczy czytelników, na mózg spływała mi mgła. W epoce powszechnych fake newsów nie mogłbym zrobić błyskotliwej kariery.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

Wspomnienia dziennikarskiego mundurka cd.

Gdzie te płaszcze z dawnych lat

Coś mnie naszło, żeby opowiedzieć o znakomitym i trochę zapomnianym dziennikarzu sportowym, a przy okazji na własnym przykładzie opisać, jak kiedyś wchodziło się do tego zawodu.

Ale zacznijmy od początku.

Jak daleko do kiosku, jak blisko

W każdej redakcji byli młodzi adepci, którzy przyuczali się do pracy. Nauczyciele bywali różni, zazwyczaj surowi niczym majstrowie szkolący rzemieślników.

Red. Stefan Sieniarski, szef działu sportowego „Życia Warszawy”, był zwolennikiem twardej szkoły wychowawczej. Nie, kar cielesnych nie wprowadził, epoka ministra Czarnka jeszcze nie nastąpiła, ale lubił, żeby młodzi ludzie, których miał pod opieką, stale czuli przed nim respekt. Andrzej Fąfara opowiadał mi, że najbardziej ich wkurwiał brak grafiku nocnych dyżurów w drukarni. Stefan Sieniarski wyznaczał dyżurnego dopiero w chwili, gdy wkładał płaszcz, wychodząc z redakcji. Wiedział, że młodzi nie lubią się wyszumieć, tymczasem nie było jak się umawiać na hulanki, co nie znaczy, że dziennikarze z „Życia Warszawy” byli abstynentami. Raczej przeciwnie. Ale nawet z dziewczyną do kina nie było jak pójść.

W „Przeglądzie Sportowym”, w którym stawałem pierwsze zawodowe kroki, niektórzy opiekunowie młodych dziennikarzy także wprowadzali surowy rygor. Szef działu piłki nożnej Grzegorz Aleksandrowicz, sam niegdyś piłkarz, a później działacz i sędzia futbolowy, podobnie jak Stefan Sieniarski

nie pozwalał żadnemu z młodych dziennikarzy na krok ruszyć się z redakcji, dopóki na wieszaku wisiał jego płaszcz.

W największym polskim dzienniku sportowym na noc do drukarnijechała stała ekipa techniczna, podopieczni Aleksandrowicza mogli więc bez przeszkód zawczasu umawiać się na wieczorne popijawy. Dramat zaczynał się następnego dnia. Kac męczył strasznie, kiosk z piwem był tuż obok redakcji, ale płaszcz szefa tkwił na wieszaku nierzadko do późnych godzin popołudniowych.

Ja miałem olbrzymie szczęście. Po odbyciu półrocznej próby w dziale informacji, gdzie zbieraliśmy sportowe wyniki z różnych miejsc Polski i świata, stanąłem przed kolegium redakcyjnym, które zdecydowało, że dobrze rokuję, i przyznało mi etat stażysty. Były to jakieś grosze, ale nie to się liczyło. Mogłem wreszcie poczuć się dziennikarzem.

Wystaw rękę za okno

Liczyłem na to, że będę pisać o piłce ręcznej, bo wcześniej sam w nią trochę grałem. O futbolu nawet nie miałem co marzyć, bo zarezerwowany

był dla nielicznych. O piłce ręcznej w „Przeglądzie Sportowym” pisała Aleksandra Korolkiewicz i trochę się bałem, że wpadnę pod jej skrzydła. Była to kobieta ostra, bezkompromisowa, nie mogła być inna, inaczej nie poradziłaby sobie w gronie niemal samych mężczyzn, bo dziennikarek w tamtych czasach prawie nie było. Rygor u niej byłby taki jak u Sieniarskiego i Aleksandrowicza.

Członkowie kolegium redakcyjnego uznali jednak, że moim nauczycielem zawodu zostanie red. Lech Cergowski, specjalista od kolarstwa. W ten sposób musiałem zacząć się uczyć nie tylko pisania do gazety, ale także kolarstwa, o którym nie miałem zielonego pojęcia, prócz tego, że jako chłopak pasjonowałem się Wyścigiem Pokoju. Czy mogłem przypuszczać, że w przyszłości spędzę w sumie na tej imprezie rok życia w roli sprawozdawcy (na czternastu trzytygodniowych edycjach)?

Doświadczeń kolarskich nie miałem żadnych, nie licząc krótkich rowerowych wycieczek nad Zalew Zegrzyński pod Warszawą. Zresztą i tego nie było za wiele, bo któregoś razu, gdy kapąłem się w zalewie, ukradli mi rower i musiałem przejsię się do autobusu.

Lech Cergowski był wspaniałym nauczycielem. Wysyłał mnie na małe krajowe wyścigi, czasem zabierał do swojego samochodu i wyjaśniał, na czym polega jazda w wachlarzyku, na rantach, trzymanie koła i inne zawiłości kolarstwa. Gdy dziwiłem się, dlaczego prowadzący peleton zawodnik szybko się męczy, a jadący za nim wkładają w jazdę mniej wysiłku, kazał wystawić rękę za okno auta, żebym poczuł, jaki opór stawia powietrze przy prędkości 50 km/godz.

Najwięcej Lech Cergowski napracował się, poprawiając moje teksty. Zdarzyło się, że napisał cały od nowa, ale w podpisie – mimo moich protestów – zostawił nazwisko praktykanta. Na duże imprezy, takie jak wspomniany Wyścig Pokoju czy mistrzostwa świata, wyjeżdżał oczywiście szef, a ja z podziwem czytałem jego sprawozdania. Były barwne i dowcipne, bo Cergo, jak powszechnie nazywano Lecha Cergowskiego (on sam także w ten sposób podpisywał swoje krótkie teksty), był człowiekiem z wielkim poczuciem humoru.

Humor Cergi objawiał się nie tylko w tekstach, uwielbiał robić dowcipy, zwłaszcza podczas wyjazdów na imprezy. Właśnie jego żart podczas Wyścigu Pokoju sprawił, że niespodziewanie dla siebie wyjechałem na tę wielką kolarską imprezę.

Z Hitlerem na wyścigi

Tradycją majowej imprezy były wystawne bankiety wyprawiane dla dziennikarzy przez gospodarzy kolejnych miast etapowych. Pod-



rys. TOMASZ WOŁOZYN

na duże imprezy”. „Jak to, szefie, to szef mnie lubi? Przecież ciągle mnie opierdala” – zdziwiłem się. „Gdybym cię nie lubił i nie wierzył w ciebie, to szkoda by mi było nerwów na opierdalanie”. Ciepło mi się zrobiło na sercu, zwłaszcza że od teraz miałem się zwracać do Cergi po imieniu. Jeszcze długo nie potrafiłem jednak powiedzieć inaczej niż „szefie”, co – a może tylko mi się zdaje – denerwowało trochę mojego nowego szefa w dziale sportowym „Trybuny”.

Kiedy puściły hamulce

Leszek (w końcu zacząłem mówić do niego po imieniu) miał niesamowity życiorys. W powstaniu warszawskim został ciężko ranny i czasem, zwłaszcza po pijaku, pokazywał odłamek pociśku, który wciąż tkwił mu w klatce piersiowej. Pracę w dziennikarstwie zaczął po wojnie. Redakcja „Przeglądu Sportowego”, której pozostał wierny do śmierci, wysłała go w 1949 r. na zawody rozgrywane na Zachodzie, aby uratować go przed aresztowaniem, które stało się udziałem wielu powstańców. Wszyscy mieli nadzieję, że do kraju nie wróci, ktoś zajął nawet jego biurko. Leszek jednak stwierdził, że wraca, bo przecież nic złego nie zrobił. Aresztowano go i skazano na 12 lat więzienia za próbę obalenia siłą ustroju socjalistycznego. We Wronkach przesiedział 6 lat, zwolniono go po odwilży w 1956 r.

Leszek czasem opowiadał o śledztwie w złowrogim budynku przy ul. Koszykowej w Warszawie, odsiadce w jednym z najcięższych więzień w Polsce, ale – jak to on – we wszystkim starał się znaleźć coś śmiesznego. Cergo i martyrologia to były przeciwieństwa. Podczas pogrzebu Leszka przemawiali kombatanci, padały ciężkie i ostre słowa. Dla tych, którzy dobrze znali Cergę, były one jakoś nie na miejscu.

Z pobytu we Wronkach został m. zwyczaj układania ubrania w kostkę nawet po wielkim pijaństwie na etapowym bankiecie.

Zwykle mieszkaliśmy w hotelowych pokojach razem. Rano nasz pokój przedstawiał zabawny widok. Moje ciuchy porzucane od drzwi do łóżka, a jego w idealnym porządku. Koledzy po fachu przychodzili to obejrzeć i rzyli ze śmiechu.

Co ciekawe (chyba już kiedyś o tym pisałem), Cergo nie uznawał pijaństwa w redakcji. Zabraniał mi zaglądania do kieliszka w Warszawie i jako dobry uczeń byłem mu posłuszny. Tak weszło mi to w krew, że nie zmieniłem zwyczaju w nowym miejscu pracy. Podczas wyjazdów na zawody puszczały nam natomiast wszystkie hamulce...

Po moich przenosinach do „Trybuny” nadal się przyjaźniliśmy. Niemal codziennie wpadałem z żoną do Leszka na kawę. Kiedyś zatelefonował do mnie: „Wojtuś, przejeżdżaj, dostałem zawału serca”. Pojawiłem się w jego domu niemal równo z karetką. Leszek poprosił, żeby na chwilę zostawić go samego z mną. Zapalił papierosa i wypił kieliszek koniaku. „Bo w szpitalu mi nie pozwolą” – wyjaśnił. Trzeciego zawału nie przeżył.

Po śmierci Leszka władze Grudziądza, z którym był związany jako przedwojenny podchorąży tamtejszego Centrum Wyszczolenia Kawalerii, wraz z redakcją „Przeglądu Sportowego” zorganizowały kolarski Memoriał Lecha Cergowskiego. Stawili się wszyscy najlepsi polscy zawodnicy oraz przyjaciele Leszka z kraju i nawet zza granicy. Przez jakiś czas wyścig się odbywał, później zmienił się w imprezę dla juniorów, po drodze nazwisko dziennikarza z nazwy zniknęło. Życie.

Ktoś pomyśli, że alkohol odgrywał poczesne miejsce w życiu dawnych dziennikarzy sportowych, zwłaszcza młodych. Coś w tym jest. Dziś młodzież ma tysiące innych rozrywek, również narkotyki. My mieliśmy tylko wódkę. Pijaństwa w redakcjach się skończyły. Gdyby dzisiejsi redaktorzy prowadzili się tak jak my, redakcje by opustoszały, bo większość zatrudnionych wyleciałaby na bruk. Wprowadzono nawet ostatnio przepisy pozwalające pracodawcy sprawdzać trzeźwość pracownika funkcjonującego w domu on-line. Rany Julek, co by się działo, gdyby tak nas sprawdzali w domach...

Co tu dużo mówić. Czasy się zmieniają. Dla nas pół litra wódki było tym, czym dla dzisiejszej młodzieży jest puszka red bulla; dopiero zaczynały wyrastać nam skrzydła.

WOJCIECH MITTELSTAED
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny (zastępca red. nac.), Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Kanada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–32 – 18.04.2023 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

„Balladyna” – dramat romantyczny w pięciu aktach, napisany przez Juliusza Słowackiego w roku 1834, streszczenie wersji współczesnej

W skromnej chatynce na skraju lasu mieszka uboga wdowa (w tej roli Jarosław Kaczyński). Ma dwie córki: ambitną, zawziętą i nienawistną Alinę (Elżbieta Witek) oraz ambitną, zawziętą i nienawistną Balladynę (Beata Szydło).

Wyborcy Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy uważają, że los sprawił, iż przez las przejeżdża książę Kirkor (Zbigniew Ziobro). Elektorat Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza sądzi, że Kirkora zesłał Bóg, a wyznawcy Konfederacji – że Goplana.

Kirkor oświadcza, że ta córka zostanie kandydatką na prezydentkę Prawa i Sprawiedliwości, która pokona drugą w zawodach.

– Wygra ta z moich córek, która nazbiera najwięcej malin – proponuje wdowa Kaczyński.

– Taki chuj jak słonina nos – oponuje książę Ziobro. – Wygra ta, która nazbiera najwięcej haków na rywalkę.

Idą dwie siostry przez las, jedna spogląda na drugą spoje łba, każda niesie za pazuchą tyżkę wody, w której zamierza utopić konkurentkę.

Dobre duszki z „Gazety Wyborczej” donoszą Alinę, że mąż Balladyny, Edward Szydło, tłucze kasę na posadach załatwionych przez żonę. Szmalu ma tyle, ile waży, a tymczasem wdowa jest biedna jak mysz kościelna.

W odwecie zły duch z Radia Zet informuje Balladynę: – Twój nepotyzm to małe miki w porównaniu z nepotyzmem Aliny. Jej mąż od dwóch lat leży bez czucia na zamku Oiom, zajmując łóżko pacjentom bardziej potrzebującym pomocy.

Zacierając ręce, Balladyna wyobraża sobie, że Kirkor zaciera ręce z radości, bo wygra ona, a nie Alina. Hak z zamku Oiom jest ponad wszystkie inne haki.

Balladyna Szydło zostaje kandydatką na prezydentkę, ale nie chce jej się czekać na wybory. Władzę zdobywa, usuwając z tronu Pustelnika (Andrzej Duda) za pomocą misternej intrygi wymyślonej przez Kirkora.

Prezydentka Balladyna wstydy się starej matki, dlatego wypędza ją z pałacu. Ubogi Kaczyński nie odnajduje się w roli banity – i umiera. Żywota dokonuje również książę Ziobro, który pije o jedną kroplę trucizny za dużo. Balladyna pozbywa się nawet męża Edwarda, odcinając go od powietrza, czyli od wszystkich posad w spółkach skarbu państwa.

Prezydentka zostaje sama jak palec. Dnie spędza na knuciu spisków przeciwko nieistniejącym wrogom, nocami straszy poddanych swoją nienachalną urodą z Przecieszyna.

Koniec

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

GOŚKA DANISZEWSKA siedzi i przeklina.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA przymierza kamasze, bo idzie na pochód.

Dialogi dam w drodze do kościoła

Daniszewska: – Jak ja nienawidzę tych świąt!

Wołk-Łaniewska: – Których?

– Wszelkich, łącznie z twoim 1 majem. No bo zaburza rytm życia, przez co burzy przyjemną nieprzyjemność codziennosci. Transparent w dupę. Na ramię broń!

– Na ramię broń to, pozwalam sobie zauważyć, że zgola przeciwnego repertuaru. Ja jestem z opcji „rznij karabinem w bruk ulicy”.

– Ależ rznij, proszę cię bardzo.

– Rznęłabym, tylko nie mam karabinu. Jak ci faceci od Napoleona...

– Jacy faceci?

– No ci, którzy nie przywitali Napoleona salwą armatnią. „Dlaczego?” – zapytał cesarz. „Powodów jest wiele” – odparł przerażony dygnitarz z miasteczka, które Napoleon właśnie wizytował. „Po pierwsze nie mamy armat”... No i ja tak samo.

– Na pocieszenie możesz sobie powiedzieć, że co prawda nie masz czym rznąć, ale nie masz też czego na ramię, w razie gdyby ktoś się domagał.

– Taaa, to jest pewna pociecha. Ale à propos świąt, chciałam odnotować, że ostatnio było kilka. Na przykład 80. rocznica powstania w getcie, która, tak się składa, jest także rocznicą moich urodzin...

– Osiemdziesiątą?

– No nie, jeszcze nie, ale mam zamiar dożyć.

– To co podstawiasz łapę do kucia?

– Nic nie podstawiam, tak tylko wspominam, w razie gdyby

ktos miał ochotę złożyć mi życzenia, przesłać oszałamiający bukiet kwiatów albo kolię ze szmaragdem...

– Dlaczego akurat szmaragdem?

– Pasuje mi do oczu. Ale brylant też może być ostatecznie. Skoro już jesteśmy przy podstawianiu nogi...

– Komu?

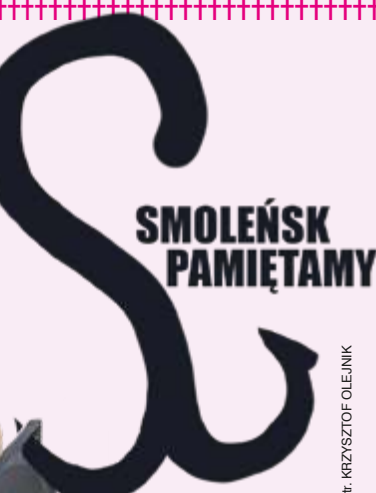
– Nie komu, do czego. Do kucia, przez żabę. Sama wspominałaś.

– Aha.

– No więc, skoro już jesteśmy, to muszę powiedzieć, że z pewnym rozbawieniem śledziłam obchody smoleńskie, przesunięte z 10 na 16 kwietnia z powodu Wielkiej nocy. I w tym samym czasie zaczynały się już obchody gettowe, jakiś panel w TVN24, żonkile na ulicach... I wychodzi Kaczyński i opowiada o straszliwej zbrodni, a ja sobie myślę: z czym do gości? Chcesz pogadać o zbrodni – to popatrz na getto. Samolot się rozbił – bardzo przykre, debeściakom lądowanie nie wyszło, ale tam masz 56 tysięcy ludzi bezwzględnie i celowo wymordowanych, a za murem kręciła się karuzela...

– Tu uważaj z tymi debeściami, prezes zapowiada, że będzie kara nie tylko zbrodni smoleńskiej, ale też oszustwo. Jeszcze mnie też zamkną z rozpędu. Na wszelki wypadek zmienię temat.

– Dawaj.



SMOLEŃSK
PAMIĘTAMY

– Mam jedną znajomą. Udaje wierzącą. Chociaż znam ją od urodzenia.

– Ale tak od urodzenia udaje?

– Nie no, może trochę później. Jak zaczęła mówić. Ale wtedy już na całego. Nawet jedną córeczkę wypchnęła do klasztoru. Otóż ma ona jeszcze dwójkę pacholąt: samca i samiczkę. Szczęść Boże! Tylko nie wiem, czy te bachory wiedzą, że dziadek Sergiusz nie jest ich biologicznym dziadkiem. Nie sądzę, żeby ich biologiczna babcia im o tym powiedziała.

– A jakie to ma znaczenie?

– W sumie żadne, tak tylko sobie myślę, ile jest zakłamania w religiach... A może ta była znajoma przewala równo swoje dzieci, a teraz wnuki. A ja jestem wrogiem. Zakożonym przez Urbana.

– To się już raczej nie wyleczysz.

– Nawet nie planuję.
– To teraz ja zmienię temat. Na weselszy. Otóż na niemiec-

kim kanale oglądałam prezydenta Francji mówiącego po angielsku. I jakoś nie mogłam go pojąć, choć w zasadzie znam i angielski, i francuski...

– A niemiecki?

– Niemieckiego ni w ząb, ale to był anglojęzyczny kanał niemiecki: Deutsche Welle English. A najbardziej mnie intrygowało, dlaczego prezydent Francji, mówiąc w Hadze o przyszłości Europy, ciągle wspomina o cabernecie.

– O czym, przepraszam?

– O cabernecie. Bez sauvignon. Ja rozumiem, że to szlachetne wino, nawet mogę się zgodzić, że ma pozytywny wpływ na ogląd przyszłości generalnie, ale żeby tak otwarcie o alkoholu do studentów? A potem posłuchałam tego fragmentu drugi raz, i trzeci, i czwarty – i się okazało, że on nie mówi „cabernet”, tylko „carbon neutrality”, czyli „neutralność węglowa”.

– Z francuskim akcentem wszystko brzmi przyjemniej...

– A przynajmniej bardziej zabawowo. Co powiedziawszy, chciałam nadmienić, że nie jestem zwolenniczką prezydenta Macrona i jego aroganckiej metody reformowania systemu emerytur bez głosowania w parlamencie...

– A ja jestem zwolenniczką Łysego. Kto miał takiego drugiego?

– No, na pewno nie Francuzi. Oni mają tylko cabernet. I jeszcze Macrona.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 245

